

Noël Randon

Cały ogień na Laleczkę

"Wydawnictwo Literackie", Kraków 1990

|

— To mi wygląda na zabójstwo na tle miłosnym — odezwał się nieśmiało sierżant Marly. Inspektor Merlin spojrzał na niego z zaciekawieniem, lecz nie powiedział ani słowa. Jechali już dobre kilka minut i milczenie ciążyło sierżantowi, który za wszelką cenę chciał wyrazić swój pogląd na przyczynę morderstwa, dokonanego ubiegłej nocy na osobie Cezarego Pierri, właściciela niewielkiego handelku z owocami.

— Tak — ciągnął dalej nie zrażony zachowaniem inspektora Marly — Pierri miał opinię niepoprawnego kobieciarza. Złamał jakiejś damulce serce i kropnęła go z zemsty.

Kobiety to potrafią. Co pan na to, inspektorze?

Merlin poprawił się na siedzeniu samochodu i nie wykazywał ochoty do wyrażania swego zdania o tym, co widzieli przed chwilą w mieszkaniu Pierriego.

Marly przygryzł wargi. Od paru lat starał się przekonać swoich przełożonych, że jego kwalifikacje funkcjonariusza policji zasługują na lepszy los aniżeli na skromny stopień sierżanta, ale nie miał szczęścia. Zawsze znalazł się jakiś bubek, który zbierał owoce jego ciężkiej i ofiarnej pracy. Choćby taki wypadek z szajką szulerów w kasynie gry w Monte Carlo. Wpadł na ślad, poczynił odpowiednie przygotowania do ujęcia szulerów, banda znalazła się w potrzasku, a wszystko przypisano Carpeau, który doskoczył do roboty w ostatniej chwili.

— Moją tezę potrafię poprzeć jeszcze innymi dowodami... — dorzucił chcąc wzbudzić zainteresowanie inspektora. Urwał chytrze zdanie i czekał na pytania Merlina.

Inspektor oderwał wzrok od szyby i spojrzał znowu na sierżanta.

— To bardzo ciekawe — powiedział cicho.

Marly zabierał się do wyłuszczenia swoich przypuszczeń i dowodów. Merlin położył mu rękę na ramieniu.

— Jeśli nie będę czegoś wiedział, zwrócę się do ciebie. A teraz do widzenia! — kazał szoferowi zatrzymać samochód i wysiadł przy najbliższej przecznicy.

— Nie pozwolą się człowiekowi wybić — poskarżył się sierżant szoferowi, który patrzył na niego z drwiącym uśmiechem z lusterka nad kierownicą.

— Trzymaj się, stary — rzekł szofer. — Znasz go przecież. On ma już swoją koncepcję. Na pewno jest przekonany, że tego faceta zamordował generał de Gaulle.

— Głupie żarty — obruszył się Marly. — Stań, ja też wysiadam.

Policyjny citroen przepchnął się przez ciżbę samochodów i przypadł do chodnika.

— A od de Gaulle'a się odczep — rzucił Marly wyskakując na ulicę. — Zobaczysz, kto ma słuszność. Nawet głupiec by poznał, że idzie tu o miłość — przyłożył dwa palce do skroni i strzelił ustami.

— Namów ją, żeby się przyznała. Sukces będzie pewniejszy — szofer nie czekał na odpowiedź i odjechał pełnym gazem. Marly posłał za nim przekleństwo, potem zły wstąpił

do najbliższego bistro i zamówił dzin.

Inspektor Merlin wylądował również w barze na placu Wilsona niedaleko gmachu poczty. Usiadł pod oknem i popijając powoli pernod robił, jak to było w jego zwyczaju, szczegółowe notatki z oględzin zwłok i miejsca morderstwa.

"Cezary Pierri, lat 43, właściciel handlu owocami przy ulicy Gounoda, samotny, mieszka w małej willi. Szerokie oszklone drzwi dzielące pokoje, zwłoki na fotelu, w piersiach dziewięć kul z pistoletu maszynowego, wszystkie w okolicy serca. W mieszkaniu nic nie tknięte. Kluczy od mieszkania brak. W szufladzie stołu siedemdziesiąt trzy tysiące franków i kilka sztonów kasyna gry. Morderstwa dokonano między dwunastą a trzecią rano. Powierzchnowe badania nie wykazują żadnych śladów osób obcych. Zwłoki odkryła Maria Louis, dochodząca sprzątaczką, zamieszkała przy ulicy Trachel 18. Pracuje u Pierriego od roku. Twierdzi, że zamordowany przyjmował u siebie wiele kobiet, lecz żadną nie interesował się bliżej. Pił wiele, lecz nigdy się nie upijał. Jeszcze przed ósmą rano wychodził z domu, zostawiając jej klucze w skrytce ogrodowej. Louis dzisiaj kluczy nie znalazła i tknięta "złym przeczuciem" zajrzała przez okno do wnętrza pokoju. Ujrawszy Pierriego całego we krwi na fotelu zaalarmowała policję. Pierri mieszkał w Nicei od roku! Skąd przyjechał? Z kim się kontaktował w życiu prywatnym? Dlaczego pistolet automatyczny i dziewięć kul? Zaskoczenie, fotel, szklanka soku pomarańczowego na stole?"

— Dzień dobry, inspektorze! — do stolika podszedł przystojny mężczyzna w tweedowym ubraniu.

— Dzień dobry, Carpeau! — Merlin zamknął notes i podał rękę przybyszowi, który usiadł naprzeciw.

— Sprawa dobiega końca — rzekł Alain Carpeau. — Tak jak przypuszczałem, żona pułkownika Herpe zamieszana jest w aferę, i sądzę, że władze zechcą wszystko zatuszować. Zrobiłem swoje. Reszta nie należy już do mnie.

— Ani do mnie — zaśmiał się Merlin. — A panu gratuluję.

— Nie ma czego. Partacka robota. Stara baba nie miała pojęcia, jak się takie rzeczy robi. Popełniła szereg głupstw. Co słyhać nowego?

— Mam nowe zajęcie. Ktoś sprzątnął sklepikarza, i to z automatu.

— Czyżby gruba zwierzyna? — gwizdnął Carpeau.

— Jeszcze nic nie wiem. Wygląda dosyć podejrzanie, bo śladów nie ma żadnych. Zupełnie jakby anioł zleciał z nieba, wypuścił serię, po czym się ulotnił drogą powietrzną.

— Zatem powodzenia! — uśmiechnął się Carpeau. — Liczę, że pozwoli mi pan trochę odetchnąć. Mierzi mnie już to kasyno.

— Tak, tak. Należy się panu. Zazdroszczę. Żonę pułkownika pewnie odeślą z honorami do Anglii.

— To już nie nasz interes. Teraz marzę, żeby wyjechać do jakiejś miejscowości niedaleko od Cannes i popływać. Najlepiej odpoczywam w wodzie. — Carpeau pochylił się nad stolikiem. — Widzę, że akcja się zaczęła. Notes się zapełnia.

— Nie wszystko powierzam pamięci.

— No, a jak pan zgubi te notatki?

— Nie zdarzyło mi się dotychczas. I nigdy się nad tym nie zastanawiałem — inspektor

wsadził notes do kieszeni. — Biorę tę sprawę, bo podoba mi się ten automat. Mam dość już trucizn, pistoletów i łomów. Robota z automatem wygląda mi na aferę w lepszym stylu. "Grubsza zwierzyna", jak się pan wyraził.

— Widzę z tego, że wpadłby pan dopiero w entuzjazm, gdyby kogoś zabito z armaty.

— Niestety na ogół mordercy nie mają wyobraźni ani armat.

Carpeau zapalił papierosa.

— Ma pan słuszność. Nieraz mnie złości, jak sami beznadziejnie naiwnie oddają się w nasze ręce. Ja też marzę o walce z kimś o wielkiej inteligencji. A tu taka żona pułkownika pcha się sama do więzienia. Albo ci szulerzy. Ręczę panu, że Marrly, który już nieraz wiele głupstw narobił, dałby sobie z nimi radę.

— Pan śni o nadinteligencjach, a ja o jakimś nowym Landru, tak to bywa. Każdy pragnie więcej, niż ma. Trudno, muszę się zadowolić mordercą z automatem.

— Ma pan już jakieś bliższe szczegóły?

— Pierwsze spojrzenia są zwykle złudne. Lubię, jak mi się sprawa uleży. Na gorąco popełnia się błędy. Prędzej czy później będę znał mordercę. No, ale to już pana nie dotyczy. Pan pojedzie moczyć swe ciało w morzu.

— Marzę o tym. Lubię wypłynąć daleko w morze, położyć się na wznak i obserwować chmury. Nazywam to słuchaniem muzyki chmur.

— To już oczywista poezja. Gdy spojrzę na chmury, zawsze dopatruję się konturów poszukiwanych przestępców. Pan ma widocznie duszę poety, a ja policjanta profesjonalisty.

— Krzywdzi pan siebie — zaśmiał się Carpeau kiwając się wygodnie na foteliku. — Widziałem pana w akcji. Czysta poezja.

— Raczej nauki ścisłe. Logika.

— A zatem logika na usługach poetyckiej wyobraźni. Zgodzi się pan przecież, że czasem zdawałoby się absurdalny, wręcz fantastyczny i poetycki pomysł naprowadził pana na właściwy ślad.

Merlin nachylił się i powiedział żartobliwie, osłaniając dłonią usta od strony baru:

— Przyznam się panu, że nic mnie tak nie męczy, jak logiczne myślenie. Po prostu nie cierpię konsekwentnie myśleć.

— W takim razie jest pan genialny, inspektorze.

— Ale niech pan nie mówi o tym nikomu — pogroził palcem inspektor.

— Naturalnie. Zresztą ważne są wyniki. A te — Carpeau skłonił głowę z szacunkiem — wzbudzają ogólny podziw. Ręczę panu, że gdyby mordercy wiedzieli, że ich sprawy weźmie pan w swe ręce, wielu zaniechałoby swych planów.

— To mi pochlebia, ale i usypia moją czujność. Stanę się zarozumiały.

— Co cesarskie cesarzowi, panie inspektorze. — Carpeau rzucił dyskretne spojrzenie na zegarek. — Teczka z materiałami pułkownikowej Herpe zamknięta. Zgłoszę się do starego o urlop.

Podali sobie ręce.

— Życzę pięknych obłoków.

— A ja klucza do automatu.

— Ano, zobaczymy.

— Powodzenia.

Carpeau kiwnął ręką i wyszedł z baru kierując się w stronę gmachu poczty.

Inspektor ciągnął jeszcze przez chwilę małymi tyczkami swój pernod i patrzył przed siebie wzrokiem, z którego łatwo można było wyczytać, iż nic nie dostrzega, lecz pomaga jedynie intensywnemu skupieniu.

Gdy zegar w barze wydzwonił jedenastą, Merlin ocknął się z zamyślenia, wyciągnął notes i napisał:

"Z automatu strzela się z większej odległości celniej aniżeli z pistoletu".

Potem jakiś czas gryzł koniec długopisu i dodał jeszcze jedno zdanie:

"Kto na taką pogodę chodzi w Nicei w płaszczu?"

Schował notes, uregulował rachunek i cicho gwizdząc przez zęby stanął na ulicy. Słońce piekło dotkliwie i Merlin nałożył przeciwsłoneczne okulary. Na najbliższym przystanku wsiadł do autobusu.

II

Stary, którego w urzędzie policji nazywano pułkownikiem, gdyż w czasie ostatniej wojny dochrapał się tego stopnia gdzieś w ruchu oporu, lubił załatwiać sto spraw naraz.

Podziwiano go, gdyż miał głowę na karku i nigdy nie pomylił szczegółów kradzieży z poszlakami zabójstwa czy motywów szantażu z zeznaniami bigamisty.

Merlin spoczywał w wygodnym fotelu naprzeciw biurka starego i obserwował jego misterną robotę z trzema telefonami. Mówił prawie jednocześnie do trzech słuchawek i słuchał z uwagą swoich rozmówców, zręcznie przerzucając to jedną, to drugą słuchawkę do ucha. Mrugał przy tym do inspektora na znak, że uważnie śledzi przebieg zdarzeń, które mu Merlin relacjonował.

— Wdowę Raboux wsadźcie tymczasem do aresztu — mówił do słuchawki w lewej ręce, a do słuchawki w prawej niemal natychmiast: — Dolary sprawdzone. Amerykański bank potwierdził numery. — Do trzeciej grzmiał: — Ja was każę, sierżancie, wykastrować, jak mi będziecie tak partolić wszystko, co wam się poleci. — I znowu druga słuchawka podjechała blisko ust. — W najbliższym czasie bank poda nam bliższe dane co do tych dolarów. Szukajcie dalej, powinno być ich więcej...

I tak ciągle. Merlin skończył i czekał na swoją kolejkę między telefonami. Kiedy aparaty uspokoiły się, stary opadł na krzesło, ale nie przestał mówić.

— Morderstwo Pierriego składam wam w upominku. Nareszcie coś ciekawego w naszym spokojnym życiu. Można skonać z nudów z tymi dolarami, niewydarzonymi tróćicielami i samobójcami z Monte. Więc co? Rodzaj automatu, kaliber, odległość, skąd oddano strzał, pewnie pan już zna, czekam w najbliższych dniach na przedstawienie mi mordercy. Bardzo lubię oglądać ich za kratkami. Wydają mi się wtedy najmilszymi ludźmi pod słońcem.

Merlin nie zdążył odpowiedzieć, gdy dźwięknął najpierw jeden telefon, potem drugi i stary na powrót zaczął uprawiać żonglerkę ze słuchawkami.

— Do widzenia, panie pułkowniku — inspektor dźwignął się z fotela.

— To jeszcze nie wyjaśnione? Co u diabła, wymagacie chyba cudów. Do widzenia, inspektorze. Co? Porwano dziecko miss Francji? Niemożliwe. Miss według regulaminu musi być dziewicą, to jest, chciałem powiedzieć, panną — uśmiech starego pożegnał

Merlina, gdy zamykał za sobą drzwi gabinetu.

W hali maszynistek Merlin przywitał się z panną Rouy całując ją w rękę, a pannie Camlis posłał gorące spojrzenie. Reszta dziewcząt oderwała się od maszyn i wodziła za nim wzrokiem pełnym uwielbienia.

Inspektor był rzeczywiście przystojnym mężczyzną w wieku, który skłania dwudziestokilkuletnie kobiety do westchnień i umotywowanych nadziei. Pasemka siwych włosów na skroniach dodawały mu uroku, tak jak dobremu dżinowi dodaje prawdziwego smaku kilka kropel vermouthu. Maszynistki uwielbiały inspektora i niejedna skrycie marzyła o zajęciu niepośledniego miejsca w jego sercu.

Paczka czekoladek została w lot rozchwyтана i Merlin z uśmiechem zmiął firmową torebkę. Codzienna porcja czekoladek, którą składał w ofierze sekretarkom, pogłębiała ich uczucia i pozwalała mu również zyskać ich przychyłność.

Pannie Rouy okazywał szczególne względy, to całując jej dłoń, to zakrywając oczy, gdy udało mu się zaskoczyć ją znieca nad maszyną, to dmuchnąwszy w jej jasne włosy. Była na pewno najbrzydsza spośród wszystkich, i w dodatku najstarsza, lecz inspektor hołdował żelaznej zasadzie: "Skoro znajdziesz się w jaskini lwów, wybierz na przyjaciela najgroźniejszego". A panna Rouy miała przykry charakter połączony z nadczynnością tarczycy, które to elementy w symbiozie czynią z człowieka wieczny huragan, zmiatający wszystko, co na drodze.

— Mamy dzisiaj ładną pogodę — powiedział inspektor poprawiając krawat — aż przykro patrzeć, że tak marniejecie w tych murach.

— Zapraszam pana po czwartej na plażę! — zawołała panna Camlis przekrzywiając filuternie głowę w jasnych lokach.

— Nie umiem pływać — Merlin podniósł bezradnie ręce do góry.

— Nauczmy pana! — wrzasnęły chórem pozostałe. — To nie taka wielka sztuka.

Panna Rouy odezwała się z wyrzutem w głosie!

— Wstyd, żeby taki człowiek jak pan, inspektorze, nie umiał pływać.

— Może kiedyś jeszcze poproszę o lekcję — powiedział Merlin udając zawstydzonego. Skierował się ku drzwiom.

— Niech pan zapamięta. Byłam mistrzynią pływacką, zdobyłam złoty medal na konkursie! — krzyknęła panna Camlis.

— To świetnie! — Merlin pożegnał dziewczęta skinieniem ręki i wyszedł na korytarz. W swoim pokoju wezwał telefonicznie detektywa Bartou. Czekaając na jego przyjście przejrzał jeszcze notatki.

Zjawił się Bartou, niepozorny mężczyzna w szarym urzędniczym ubraniu. Z uszanowaniem skłonił się inspektorowi.

— Jestem do dyspozycji.

— Panie Bartou — rzekł Merlin zapraszając go do zajęcia miejsca obok biurka — czy w pańskiej ewidencji figuruje człowiek o nazwisku Pierri? Cezary Pierri.

Bartou zamyślił się, po czym wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki niewielki zeszyt. Chwilę szperał w kartkach, zapisanych maczkiem.

— Nie, panie inspektorze. Człowiek o takim nazwisku nie był nigdy w konflikcie z policją. Nie widzę go również na mojej liście ludzi podejrzanych — podniósł na Merlina

zatroskane oczy.

— Zatem to nazwisko nic panu nie mówi na terenie kasyna?

— Niestety, nie.

— Średniego wzrostu, przystojny mężczyzna po czterdziestce, z pochodzenia Włoch, czarne włosy, lekko kręcone — Merlin próbował opisać Pierriego. — O, tak wyglądał — wyjął niewielką fotografię zamordowanego i wręczył detektywowi.

Bartou pokręcił przecząco głową.

— Nie widziałem. Widocznie nie był w kasynie.

— Raczej był.

Detektyw rozłożył bezradnie ręce.

— Ja go nie widziałem na oczy. Zresztą trudno znać wszystkich bywalców kasyna. Interesujemy się tylko szczególnymi osobami. Sam pan wie o tym najlepiej, panie inspektorze.

— No nic. Dziękuję panu.

Bartou wycofał się z pokoju z uniżonym ukłonem. Merlin przetarł oczy, poprawił machinalnym ruchem popielniczkę na biurku. W pokoju było duszno i mroczno. Okna wychodziły na wysoką ścianę budynku, który oficyną przylegał do oficyny prefektury. Po chwili wrócił do pokoju maszynistek. Panna Rouy oznajmiła mu, że szukał go Carpeau.

— Carpeau świetnie pływa — powiedział żartobliwie Merlin. — Coś dla pani, panno Camlis...

— Ona woli uczyć — zauważyła nie bez złośliwości panna Rouy.

— Carpeau, bardzo przystojny chłopak — wtrąciła jedna z maszynistek.

— Nie w moim typie — panna Camlis wydeła pogardliwie wargi.

— A mnie się podoba — orzekła panna Rouy.

— Wygląda jak swój własny syn — oświadczyła przekornie panna Camlis — cerę ma jak przed pierwszą komunią.

Dziewczęta zachichotały rzucając na siebie porozumiewawcze spojrzenia.

— Ładny, ładny — uciał dyskusję inspektor. — Z takim warto zgrzeszyć. I z góry udzielam rozgrzeszenia — wykonał w powietrzu gest absencji.

Gdzieś z kąta padło pytanie.

— A pan nigdy nie grzeszy?

Inspektor zaśmiał się wesoło.

— W moim wieku grzech w oczach Pana Boga przemienia się w śmieszność.

— Cóż za skromność! — obruszyła się z udawaną powagą panna Camlis.

— No, dzieci — inspektor rozłożył ramiona — radzę wam zainteresować się Carpeau.

Chłopak na wydaniu. Przeanalizujcie to sobie, a ja muszę zmykać. Życzę dobrej wody — przeciskając się między stolikami przeszedł do pokoju dyżurnego oficera.

— Samochód. Wyjeżdżam do kasyna. Coś masz skwaszoną minę, Jakubku?

Oficer połączył się z garażami i wydał polecenie.

— Żona rodzi, a ja tu siedzę na dyżurce.

— Idź do starego i powiedz mu, że wykonałeś wyższe zadanie z punktu widzenia polityki populacyjnej i żądasz nagrody za udany w pełni efekt.

Oficer machnął ręką.

— Stary nie cierpi bachorów. Gotów mi wrzeć jeszcze coś w nocy. Za karę.

— Zwróć się do premiera. On lubi.

— Nie jestem usposobiony do żartów.

— Ja też nie. Bywaj.

Przed gmachem czekał już czarny citroen. Merlin kazał się wieźć do Monte Carlo. Szofer bez słowa wpełznął się w sznur samochodów i w parę minut później wypadł na wspaniałą drogę prowadzącą do Monte Carlo.

Merlin, mimo iż znał te dwadzieścia kilometrów drogi łączącej Niceę z Monte prawie na pamięć, z przyjemnością wpatrywał się w ciemną linię Alp, z dala robiących wrażenie dzikości i naturalnego piękna.

Szofer nie żałował samochodu i pędził kładąc się miękko na ostrych zakrętach szosy, wijącej się wzdłuż brzegu. Merlin z zadowoleniem uśmiechał się, gdy spadali z góry w dół, zdawać by się mogło prosto w pianę morską, by nagle skręcić o siedemdziesiąt stopni i mknąć szybciej od wiatru. Czasem mijali wagony elektryczne, które z hukiem wpadały w mroczne tunele, wykute w litej skale.

Minęli Cap Ferrat, potem Beaulieu. Morze błyszczało w słońcu jakby powleczone warstwą złota. Palmy jak baletnice tańczyły wzdłuż drogi. Merlin mógł na to patrzeć setki razy.

Monte Carlo powitało ich policjantami w białych mundurach, bogato upstrzonych złotymi galonami. Byli tak malowniczy jak okolica, w której żyli. Wysokie czaka z pióropuszcami podkreślały ich operetkowy wygląd, ale jeśli człowiek rozejrzył się tylko baczniej wokoło, szybko pojmował, że znajduje się w kraju z baśni, w czymś, co zostało wymyślone dla zabawy, po prostu dokomponowane do przyrody, by było jeszcze weselej i śmieszniej. A kasyno? Inspektor niejednokrotnie porównywał je już do niemodnej szkatułki, jaką otrzymuje się w spadku po krewnym o nie najlepszym smaku artystycznym. Ale wspaniała, egzotyczna oranżeria przed budynkiem kasyna, olbrzymia kawiarnia, obok dziesiątki sklepów z najdroższą biżuterią i kioski sprzedające z wielkim powodzeniem tysiące broszur z niezawodnymi wskazówkami, jak należy grać, by w krótkim czasie stać się milionerem — wzruszały go. To wszystko razem miało w sobie coś urzekającego, coś z zamierzchłej przeszłości, która jeszcze trzyma się kurczowo życia, utrwalona snobizmem i namiętnością ludzi bogatych.

Szofer zaparkował tuż przy zwalistych samochodach amerykańskich. Merlin udał się do biur kasyna. W kilka minut później rozmawiał już w jednym z gabinetów z Blockiem, detektywem kasyna, wytwornym starszym panem ubranym z angielska, z białym goździkiem w klapie.

— Panie Block — zaczął Merlin przyjmując papierosa — czy nie przypomina pan sobie przypadkiem człowieka o nazwisku Pierri? Cezary Pierri — to mówiąc podsunął detektywowi zdjęcie.

Bloc przyjrzał się fotografii, po czym utkwiał wzrok w suficie i tak skupiony myślał kilkadziesiąt sekund. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła. Wiedział, o kogo chodzi.

— Tak — rzekł głaszcząc starannie wygoloną brodę — przypominam sobie. Kilka razy grał bez powodzenia. Przegrał w sumie około stu tysięcy franków.

— Czy pan jest tego pewien?

Detektyw spojrział na inspektora zdumiony.

— Nie rozumiem pytania, panie inspektorze. Nie zdarzyło się, aby pamięć mnie kiedykolwiek zawiodła.

Merlin zaśmiał się dobrodusznie.

— Wiem, że pan ma genialną pamięć. I kto dwa razy przekroczy progi kasyna, pozostaje na stałe w pańskiej ewidencji. O tym, kto gra trzy razy, wie pan wszystko.

— Pierri grał sześć razy — rzekł Block, oglądając sobie czubki butów — zanim został zamordowany.

— O, już pan wie?

Block wskazał na południową gazetę leżącą na stole.

— To chyba jasne, inspektorze, że ten, kto ginie w okolicach kasyna, bardzo nas interesuje. Dbamy o reputację.

— Na to liczę. Potrzebuję bliższych danych. Kto mieszka blisko Monte Carlo i ma pieniądze, grywa zwykle w kasynie. W kasynie załatwia się również wiele interesów pomiędzy rozegraniem dwóch banków.

— Po to tam właściwie jesteśmy, ażeby coś wiedzieć o tych interesach.

— Doskonale. Stąd każda wiadomość, pewna wiadomość o osobie zamordowanego może przysłużyć się śledztwu. Co pan sobie jeszcze przypomina?

Wzrok Blocka powędrował na sufit. Merlin cierpliwie czekał. Po chwili detektyw ożywił się.

— Pierri był raz tylko w towarzystwie drugiego osobnika. Tak, ten drugi był wyższy od niego, nosił wąsy ufarbowane na czarno i miał na palcu sygnet z niezłym topazem.

— Nie wie pan, kim był ten drugi?

Block odpowiedział z grymasem niezadowolenia:

— Powiedziałem panu, że drugiego widziałem tylko jeden raz.

Inspektor poskrobał się ołówkiem po policzku.

— No to nadal nic nie wiemy.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro. Sprawa ta nas nie interesuje. Dowiedzieliśmy się, że był to właściciel sklepu i przegrana stu tysięcy wyklucza samobójstwo. Morderca nie należy do naszych kompetencji.

— A czy w stosunku jednego do drugiego nie zauważył pan czegoś szczególnego? Czy byli to starzy znajomi, czy też znajomość zawarta niedawno? To da się wyczuć ze sposobu bycia, prawda?

— Zachowywali się jak dobrzy znajomi. Wyszli w najlepszej zgodzie, w dobrych humorach.

— Dziękuję, panie Block. To na razie wszystko.

— Przykro mi, że nie zdołałem pana zadowolić — rzekł detektyw z lekką ironią. Wstał i elegancko skinął głową. — Chciałem jeszcze nadmienić, że z biegiem lat pamięć moja raczej się doskonali.

— Och, panie Block — inspektor potrząsnął jego ręką — cenimy pana jak rzadko kogo. Niejednokrotnie żałowałem, że pan nie pracuje z nami.

Detektyw skrzywił się z niesmakiem.

— Nie lubi pan policji? — zdziwił się z udaną powagą inspektor. — No cóż. Nie każdy lubi.

— Moi pracodawcy zaspokajają moje wymagania w zupełności, panie inspektorze.

— W takim razie powodzenia.

— Powodzenia.

Inspektor wyszedł na dwór i spojrzał z tarasu na mrowie kolorowych ludzi kręcących się po alejach. Wiał lekki wiatr od strony morza, osłabiając żar słońca stojącego wysoko na niebie.

Chwilę sycił oczy barwną panoramą. Potem zszedł do kawiarni. Wypił filiżankę kawy, zapisując uwagi detektywa kasyna gry. Obok przy stolikach różnojęzyczny tłum. Gwar głosów, śmiechu, nawoływań. Do uszu jego dolatywały strzępy rozmów. Słysząc było słowa niemieckie, angielskie, włoskie, czeskie, serbskie.

Zamknawszy notes inspektor wyszedł znowu przed kasyno, odnalazł swój samochód i w niespełną parę minut citroen wiózł go z powrotem do Nicei.

W prefekturze dowiedział się od dyżurnego oficera, że pytał o niego jakiś mężczyzna.

— Czy podał nazwisko?

— Nie.

— Czy nie powiedział, czego chce ode mnie?

— Nie.

Merlin był przyzwyczajony do różnego rodzaju odwiedzin. Codziennie ktoś pragnął dostać się do niego, aby nudzić swoimi podejrzeniami co do trybu życia sąsiadów czy swoimi koncepcjami na temat ostatnich wydarzeń kryminalnych. Machnął ręką. Dyżurni wiedzieli, że mają strzec czasu inspektora i nie dopuszczać nikogo bez poważniejszych powodów.

— Jak wyglądał? — zapytał bez zainteresowania, kierując się do swego pokoju.

Oficer zmarszczył czoło.

— Jak wyglądał? raczej nieciekawie. Szczupły, wysoki, no nieciekawym. W każdym razie nie wyglądał na człowieka, z którym chętnie spędziłby pan weekend.

Inspektor roześmiał się.

— To dobrze, że ominęła mnie ta wizyta.

— Pewnie jakiś goguś — oficer skrzywił się. — Nie znoszę ludzi, którzy czernią sobie wąsy.

Merlin zatrzymał się w drzwiach.

— Miał uczernione wąsy?

— Tak, takie duże — policjant pokazał na swojej twarzy ich długość.

— A na palcu sygnet z topazem?

— Sygnet? Rzeczywiście. Na średnim palcu prawej ręki nosił sygnet. Z żółtym topazem.

Zgadza się. Pański znajomy?

Merlin przytknął palcami.

— Czy zapowiedział, że przyjdzie ponownie?

— Nic nie mówił.

— Niech sobie pan przypomni. Może jednak coś powiedział?

Oficer zaprzeczył ruchem głowy.

Inspektor zaklął pod nosem.

— Gdybym wiedział, że panu zależy na nim, wyciągnąłbym coś z niego — usprawiedliwiał się oficer, widząc, nagle zdenerwowanie inspektora.

— Nie traćmy nadziei — rzekł Merlin — może zjawi się jeszcze raz.

— Teraz już wiem, że trzeba go dać panu.

— Tak, tak — powiedział spieszenie inspektor — trzeba mi go dać natychmiast. A gdyby mnie nie było, poprosić, żeby zaczekał.

— A jak nie będzie chciał czekać?

Merlin spojrzał twardo na oficera.

— Nie wypuścić z budnyku.

— Tak jest, panie inspektorze.

III

W nocy ostry dzwonek telefonu wyrwał inspektora z głębokiego snu. Półprzytomny namacał słuchawkę telefonu stojącego przy łóżku i usłyszał służbisty głos.

— Czy inspektor Merlin?

— Merlin.

— Tu mówi sierżant Gobin. Pan inspektor chciał bliższych wiadomości o człowieku z uczerionymi wąsami i sygnetem na palcu.

— Do diabła z wąsami! — krzyknął Merlin. — Czy zdajecie sobie sprawę, która godzina?

— inspektor dopiero teraz spojrzał na tarczę zegarka z fosforyzowanymi wskazówkami.

Była trzecia czterdzieści osiem.

— Tak jest, panie inspektorze. Miałem rozkaz obudzić pana inspektora. Przepraszam, ale rozkaz to rozkaz.

— Któż wydał takie idiotyczne polecenie. Noc chyba należy do mnie?

— Pułkownik Renaud.

Merlin sapnął z wściekłości.

— No to mów, o co chodzi.

— Przed godziną znaleziono zwłoki niejakiego Candy'ego. Rysopis zgadza się z człowiekiem, którego pan poszukiwał.

Merlin siadł na łóżku i mocniej ścisnął słuchawkę. Głos sierżanta informował dalej.

— Pułkownik oświadczył, że morderstwo to szczególnie zainteresuje pana, gdyż Candy został zastrzelony z pistoletu automatycznego, podobnie jak ten wczoraj.

Inspektor naraz stracił ochotę do spania. Szybko zapalił papierosa i wysłuchał danych dotyczących ulicy i miejsca, gdzie popełniono mord. Gobin dodał, że za kwadrans zjawi się samochodem pod jego mieszkaniem. Candy zajmował parterowy dom w dzielnicy willowej. Kiedy wkroczyli z sierżantem Gobin do ogrodu, przyjął ich policjant strzegący bramy wejściowej.

— Ładna robota — powiedział z uznaniem.

— To się zobaczy — rzekł spokojnie Gobin.

— Zupełnie jak w amerykańskim filmie — dorzucił policjant — przekonacie się.

Weszli do oświetlonego przedpokoju, a potem znaleźli się w obszernym pokoju. Na fotelu, z rękami zwieszonymi bezwładnie, siedział z głową do tyłu odrzuconą mężczyzna

z dużymi czarnymi wąsami. Czujne oko inspektora dojrzało natychmiast gruby sygnet z żółtym kamieniem na średnim palcu prawej ręki. Candy ubrany był w koszulę białą, obecnie całą we krwi i poszarpaną na piersiach od kul.

Od ściany oderwał się urzędnik policji, w płaszczu z postawionym kołnierzem.

— Witam, inspektorze — powiedział przykładając dłoń do czoła. — Jourbet! — zawołał.

— Chodź no tutaj. Inspektor już jest.

Z przedpokoju wyszedł mundurowy policjant. Zasalutował stając na baczność przed inspektorem.

Mężczyzna w płaszczu objaśnił:

— Jurbet upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Opowiedz, jak to było.

Policjant głęboko wciągnął powietrze. Inspektor słuchał obserwując topografię pokoju.

— Było tak. Miałem obchód jak zwykle. O trzeciej przeważnie dochodzę do bistro ojca Jakuba, tam wypijam oranżadę i idę dalej. Nagle nie spodobał mi się jeden taki, co przemykał się przede mną. Już ja mam oko na takich. Udaję, że jestem zajęty czym innym, ale mam go na uwadze. On widział, że ja nie tego, więc buch tu, ja po cichutku za nim. Drzwi były nie domknięte i sączyło się wąskie pasemko światła. On do środka, ja za nim. Często goście po pijanemu zapominają zamknąć drzwi za sobą, wtedy trzeba się zabawić w lokaja, no nie? — zaśmiał się sam do siebie. — Po co ma ich kto skrzywdzić.

Policjant jak dobra gospodyni.

— Do rzeczy, do rzeczy — zniecierpliwił się tajny agent.

— To ja za nim, jestem przy wejściu, już mam wkroczyć do przedpokoju, gdy drzwi się otwierają i ktoś wali się na mnie. Cap ptaszka za kołnierz i mam cię. On coś bredzi i pokazuje ręką na oświetlony korytarz. Znam się na takich sztuczkach. Zobaczyć, owszem, można, ale wpierv ubezpieczenie. Założyłem ptaszkowi kajdanki jak należy i dopiero idę za nim do środka. I zobaczyłem to — pokazał na zwłoki.

— O której to było? — zadał pytanie inspektor.

— Dokładnie druga trzydzieści osiem. Zaraz to sobie zanotowałem w pamięci. A tego tu trzymamy. Czy pan inspektor chce z nim pogadać?

— Później — inspektor zaczął ostrożnie poruszać się po pokoju. Tajny agent objaśnił:

— Candy, tak nazywa się oficjalny podnajemca tego domu, ma w sobie kilkanaście kul. Nie liczyłem, ale tak to wygląda. Na pewno pistolet automatyczny. Nic nie jest naruszone, nawet nie chodziliśmy po dywanie, przypilnowałem tego dokładnie.

Inspektor spojrział na nogi. Stał na miękkim dywanie niebieskiego koloru. Agent i policjant stali pod ścianą nie zbliżając się nawet do dywanu.

— Może odnajdziemy jakieś ciekawe ślady — dodał agent.

Inspektor podszedł do otwartego okna o niskim parapecie. Za oknem był ogród i parę metrów dalej niezbyt wysokie, rozłożyste drzewo mandarynkowe. Odwrócił się twarzą do pokoju. Candy siedział w fotelu, zwrócony akurat przodem do okna. Zatem strzały padły z ogrodu. Drugi fotel stał obok stoliczka z przyborami do kawy. Jedna filiżanka napełniona była do połowy brunatnym napojem.

— Cóż — rzekł inspektor — podobna historia co zeszłej nocy. — Czy znaleźliście klucz od mieszkania?

— Nie, panie inspektorze — wyprężył się policjant. — Specjalnie szukałem.

— Dajcie mi teraz tego osobnika.

— Rozkaz — policjant zrobił w tył zwrot i wymaszerował z pokoju. Zaraz wrócił w towarzystwie chudego mężczyzny ze skutymi rękami.

— To nie ja — aresztowany uderzył od razu w lamentujący ton. — Jak to zobaczyłem, od razu uciekłem. Prawda, że od razu uciekłem? — szukał potwierdzenia u policjanta.

— Zgadza się. Co prawda, to prawda — rzekł zgodnie Jourbet.

— Czego tu szukałeś? — spytał agent.

— Ano tak wstąpiłem — chudzielec spuścił głowę.

— Czy znasz go? — spytał inspektor wskazując na zwłoki.

— Nie, nie znam. Widzę go po raz pierwszy w życiu.

— Czego więc tu szukałeś?

— Czego? — aresztowany miał rozlatane oczy i starał się ukryć strach unikając wzroku inspektora i agenta. — Zobaczyłem, że jest otwarte, więc wstąpiłem, żeby poprosić o... o szklankę wody. Tak, o wodę, bo miałem pragnienie. Napiałem się i miałem pragnienie — odetchnął z ulgą, pewny, że wyjaśnienie to miało bardzo przekonujący argument.

— Złodziejaszek — rzekł z pogardą policjant.

— Pan mnie obraża — podskoczył skutny. — Typowa pomyłka. Proszę zbadać moją kartotekę...

— Jeśli masz czystą hipotekę — zaśmiał się agent — to znaczy, że maczałeś ręce w tym morderstwie.

— Kto ma dzisiaj czystą hipotekę? — rzekł filozoficznie chudzielec — ale ja go nie machnąłem. No, nie wierzycie? Słowo daję.

Inspektor kazał się im wynieść. Policjant wyprowadził aresztowanego. Pozostał agent.

— Będziemy pracować normalnie? — odezwał się agent.

Merlin potaknął.

— Może pan inspektor ma jeszcze jakieś życzenia?

— Nie, przebadacie mi pokój. Oczywiście wszystkie dane personalne, i to jak najszybciej, kontakty towarzyskie, sąsiedzi, miejsce pracy, daktyloskopia.

— Postaram się, aby pan inspektor był zadowolony — rzekł agent. — Na razie znaleźliśmy w kieszeni marynarki tę kartkę. — Podał Merlinowi drukowane zaproszenie do nocnego lokalu "Cacadou", reklamującego nowy program.

— Dobre i to — powiedział inspektor, następnie dłuższą chwilę przyglądał się zwłokom. Nachylił się nad ciałem i badał wloty kul nie dotykając zamordowanego. Potem uśmiechnął się z zawodową uprzejmością do agenta i wyszedł przed dom.

Gobin towarzyszył mu jak cień. Inspektor skierował kroki ku oknu wychodzącemu na ogród. Potem zręcznie wspiął się na drzewo. Gobin patrzył na niego ze zdziwieniem, lecz nie reagował na zachowanie inspektora. Wiedział, że Merlin uchodził za najzdolniejszego inspektora w Nicei i że nieraz wyczyniał takie rzeczy, które jeśliby się nie skończyły pełnym powodzeniem, wyrobiłyby mu opinię wariata. Ale od dawna żadnej sprawy, którą mu powierzono, nie odłożono do akt z napisem: śledztwo umorzone z braku dowodów. Tymczasem inspektor zeskoczył z drzewa i wolno skierował się do furtki.

IV

O godzinie drugiej po południu Merlin powtórnie zjawił się w domu Candy'ego. Policjanci

wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Oho! ma nową koncepcję — szepnął jeden do drugiego.

Inspektor wbiegł do wnętrza mieszkania. Przy stole siedział tajny agent, który zerwał się na jego widok.

— Czy coś się stało? — spytał przerażony.

— Nie — inspektor uspokoił go ruchem ręki.

Zwłoki zamordowanego spoczywały już na tapczanie, przykryte prześcieradłem.

Merlin poprosił agenta, by się usunął, ustawił fotel na tym miejscu, gdzie stał w chwili popełnienia morderstwa. Potem podszedł do okna i przeciął na powrót pokój idąc po linii strzału w kierunku fotela. Ominął go i bacznie począł przyglądać się ścianie za fotelem oraz szafie i kredensowi stojącym z tyłu i po bokach.

— Tak — powiedział sam do siebie — to się potwierdza.

— Coś nowego? — spytał znowu agent zaciekawiony czynnościami inspektora.

— Proszę pana, w śledztwie stale jest coś nowego! — odparł Merlin.

— No, oczywiście — zaczerwienił się agent — ja tylko tak...

Merlin odkrył ciało. Candy leżał nagi i obmyty z zakrzepłej krwi. Jedyne na piersiach poszarpanych kulami widać było jeszcze ślady wylewu. Inspektor nachylił się nad zwłokami i długo przypatrywał się ranom. Nagłym ruchem zarzucił prześcieradło na zwłoki.

Za chwilę zjawił się wezwany ponownie lekarz policyjny, doktor Chapuis. Wbiegł do mieszkania zadyszany.

— Zdaje się, że mój raport dotarł do pana, inspektorze — powiedział z lekką pretensją, że wzywa się go jeszcze raz do tej samej roboty.

— Naturalnie, doktorze Chapuis.

— Czy w moim raporcie było coś niezrozumiałego?

— Nie, wszystko w porządku.

— Zatem?

Inspektor ściągnął znowu prześcieradło.

— Pan napisał, doktorze, że ofiara otrzymała osiem kul z pistoletu maszynowego?

— Tak, proszę policzyć.

Policzyłem. Rachunek się zgadza.

Chapuis uczynił gest zniecierpliwienia.

— Więc?

— A to?

Lekarz pochylił się nad jedną z ran wskazanych przez Merlina. Po czym podniósł zdziwione oczy.

— Wlot jednej z ośmiu kul. Kaliber dziewięć, jak i inne. Rany zostały dokładnie zmierzone. Wiem, co do mnie należy.

— To jasne, doktorze. Tylko ten wlot jest od strony prawej, podczas gdy siedem pozostałych to wloty lewostronne.

Lekarz nie dał się przekonać słowami. Badał ciało na nowo z dokładnością niewiernego. Kiedy wyprostował się, był pokonany.

— Ma pan słusność — stwierdził kiwając głową. — Jakoś przeoczyłem. Byłem

zasugerowany serią z pistoletu.

— Dziękuję — uśmiechnął się inspektor. — Szło mi tylko o pańskie zdanie. Cóż, my się nie znamy na zwłokach. Zajmują nas raczej ludzie żywi.

— Przepraszam — lekarz uściśnął rękę Merlinowi. — Człowiek jest wiecznie taki zagoniony, że czasem spartoli robotę. A panu nic nie ujdzie — dodał z podziwem. — Nawet głupstwo.

— Głupstwo do głupstwa i morderca za kratkami.

Wyszli z domu dyskutując już o nowym gatunku beaujolais, który pojawił się w składach win.

Stary przyjął inspektora natychmiast po zameldowaniu przez sekretarkę.

— I jak? — zagadnął kładąc dłonie na aparatach telefonicznych, na znak, że zamierza poświęcić teraz czas wyłącznie Merlinowi.

— Pierwszy krok zrobiony, ale to mało, bardzo mało.

— Umieram z ciekawości! — rzekł stary uprzejmie.

— Pierri i Candy zostali zastrzeleni w swych mieszkaniach przez człowieka, który stał blisko nich, a więc prawdopodobnie przez kogoś znajomego im dobrze. Dostali po jednej kuli z automatu... prosto w serce.

Dzwonki telefonów terkotały bez przerwy, lecz stary nie reagował. Słuchał z zaciekawieniem inspektora.

— Następnie morderca usadowił tak jednego, jak i później drugiego na fotelu, wyszedł do ogrodu i stamtąd wpakował im serię. Cel był nieruchomy i łatwy do trafienia. Tak w jednym jak i w drugim wypadku nie znalazłem żadnych śladów po kulach, które by utkwily poza celem. Liczył, że seria tak zniszczy ciało, że nikt nie wpadnie na to, że popełniono mord w mieszkaniu, a nie spoza niego. Aby lepiej trafić, morderca przesunął fotel. Nikt mając przy fotelu stolik nie siedzi w takiej od niego odległości, zwłaszcza gdy pije kawę. Candy czekał na kogoś, gdyż stolik był nakryty na dwie osoby. Na kogóż czeka się około drugiej w nocy? Na dobrego znajomego lub na kobietę.

— Kobieta z pistoletem automatycznym? — skrzywił się stary.

Merlin uśmiechnął się zagadkowo.

— Ostatnia wojna nauczyła kobiety obchodzić się z bronią.

— To ciężkie i rzuca się w oczy.

— W tym stanie śledztwa, pułkowniku, to jeszcze nieistotne. Ważniejsze, że Pierri i Candy znali się dobrze. Bywali razem i sprawiali wrażenie, że między nimi istnieją zgodne stosunki towarzyskie.

Stary zagryzł wargi i zasępił się.

— Czy pan podejrzewa, że idzie tu o jakieś porachunki polityczne? Nie lubię polityki. Zaraz będziemy mieli na karku jegomościów z departamentu stanu. Zadzierają nosa i przeszkadzają w śledztwie.

Merlin poskrobał się po uchu.

— Myślę, że nie. Ale wszystko możliwe. Paryż nam trochę rozjaśni sprawę. Okazało się, że obydwaj przed rokiem przybyli do Nicei z Paryża. W każdym razie wykluczam mord na tle rabunkowym, przypadkowy mord dla pieniędzy.

— Nareszcie coś ciekawego. Wolę to od tej codziennej orki ze złodziejami i porywaczami

dzieci. Wytrzymać nie można — porwał naraz dwie słuchawki i przystawił do uszu.

— Tak, to ja. Teraz nie mam czasu. Zadzwoń za chwilę. Dalej trzymać.

Położył słuchawki na biurku.

— A my tymczasem złapaliśmy faceta, który puszczał w obieg kradzione dolary. Wpadł biedak, nie wiedząc, że Amerykanie dali nam numery pewnej serii banknotów zrabowanych w Illinois. To niewątpliwie duży sukces naszej prefektury. Miesiąc nie minął, jak pojawiły się na rynku, i już mamy przestępcę. Jeśli panu uda się szybko wykryć człowieka z automatem — w Paryżu udławia się ze złości. Będą musieli ruszyć szufladę z odznaczeniami — zacierał ręce stary. — Lubię im robić na złość.

— No, ja dopiero poczyniłem wstępne kroki. Wygląda mi to wszystko na trudną zabawę.

— Nic samo nie wpada do ręki. Ale ja wierzę w pana.

— Bardzo dziękuję, pułkowniku.

— Pan ma pomysły! To ważne. Sacrebleu! — wrzsnął nagle łapiąc słuchawki. — Nie mam czasu. — Głos w słuchawce upierał się jednak, aby stary wykazał trochę cierpliwości. Pułkownik sapał z gniewu, lecz nie odłożył słuchawki.

— Będziemy jutro przesłuchiwać — zwrócił się do Merlina. — Idzie znowu o te dolary. Jutro rano.

Inspektor na migi pokazał, że chce już odejść. Stary kiwnął głową, że dziękuje mu za informacje. Merlin wycofał się z pokoju. Stary wrzeszczał do słuchawki:

— Wiem, nazywa się Woschynsky, emigrant. Ja bym tych emigrantów dawno wyprawił do ich domów. Postraszcie go trochę dzisiaj. To dobrze działa w nocy na wyobraźnię. Zmięknie na wosk.

Inspektor zajrzał do hali maszynistek. Dziewczęta, jak zwykle gdy wchodził, przerywały stukanie na maszynach.

— Jak idzie? — pytały jedna przez drugą interesując się zawsze pracami inspektora z największą ciekawością.

— Niedobrze.

— Ech, pan stale tak mówi.

— Słowo daję.

— Nie wierzymy.

— Panno Rouy i panno Camlis, zapraszam panie na skromną kolację.

— Och! — krzyknęły inne, zawiedzinoe tym wyróżnieniem.

Panna Rouy spojrzała zaczerwieniona na inspektora. Panna Camlis odrzuciła do tyłu bujne włosy i przejechała leniwie łapcami po lokach.

— Czy pan obchodzi jakąś uroczystość? — spytała panna Rouy nie bez cienia złośliwości. — Może nas będzie za dużo?

— Och nie, panno Rouy — odparł inspektor. — Dwa jasnoblonde anioły to w sam raz, aby wypić kilka kieliszków wina.

— Gdzie pan je powiezie? — jedna z maszynistek rzuciła pytanie i reszta jej zawtórowała. — Niech pan powie, dokąd? Chcemy wiedzieć.

— O, to tajemnica. — Merlin podniósł palec do góry.

— Ach, więc to kolacja służbowa! — wykrzyknęła triumfalnie pierwsza ciekawska.

Panna Camlis spiorunowała ją wzrokiem.

— Mylicie się, panie — oświadczył Merlin kręcąc się pośrodku pokoju — to kolacyjka dla przyjemności. Mam dosyć morderców, policjantów i kuchni w prefekturze. Zapragnałem trochę uciech, którymi Nicea tak szczerze raczy cudzoziemców. Prawda, panno Rouy, że nie jesteśmy od nich gorsi. Nam też należy się coś od życia. A zatem do wieczora. Przyjeżdżam po panie o dziesiątej — skłonił się z galanterią obu zaproszonym, a reszcie dziewcząt posłał całusa.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, któraś z maszynistek powiedziała z westchnieniem:

— Cóż to za czarujący mężczyzna.

V

Panna Rouy wyglądała imponująco. Inspektor Merlin nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swego podziwu. Miała na sobie najmodniejszą suknię i włosy upięte chyba przez najlepszego fryzjera w Nicei. Uśmiechała się zalotnie, w niczym nie przypominając złośliwej maszynistki z prefektury. Gdy zajechali przed dom panny Camlis, Merlin musiał przyznać, że panna Rouy pobiła młodszą koleżankę na głowę.

Camlis, ujrawszy pannę Rouy, wykrzyknęła:

— Ninon, jesteś piękna jak Grace Kelly.

Panna Rouy odezwała się nader skromnie:

— Nie chciałam, abyście się mnie wstydzili, moi kochani.

— Z takimi kobietami zdobędę świat! — roześmiał się Merlin.

Biła jedenasta, kiedy zajęli stolik w "Cacadou". Ten nocny lokal nie należał do najświetniejszych w mieście, ale była w nim tak zwana atmosfera. Pikantna mieszanina secesyjnych szczegółów i zgoła nowoczesnych urządzeń tonęła w przyćmionym świetle, wydobywającym się spod staroświeckich abażurów. Orkiestra w białych smokingach grała bluesa, na parkiecie tańczyło kilka par.

Usiedli niedaleko wyjścia na taras. Kelnerzy zajęli się nimi szybko i po chwili panie piły już wino, a inspektor studiował kartę naradzając się z szefem lokalu nad zestawem dań.

Panna Rouy rozglądała się dokoła z dużym zainteresowaniem. Widać było, że nieczęsto odwiedza przybytki nocnego życia. Jej oczy wyrażały tak nieklamany zachwyt, że panna Camlis poczuła się w obowiązku wyjaśnić:

— Nie wyobrażaj sobie, moja droga, że to coś nadzwyczajnego. Przeciwnie. — Zniżyła głos. — Lokal raczej podejrzany. Ale ja osobiście wolę takie miejsca od renomowanych restauracji czy dancingów. Tu się coś widzi, nie jest tak sztywno, a jakie scenki można zaobserwować... — Pochwyciwszy zaniepokojone spojrzenie Merlina szybko dodała: — Zresztą ceny słone, jak mało gdzie. Świetne wino, nie uważasz? — zakończyła już wyraźnie na benefis fundatora.

— Tak, świetne — zgodziła się panna Rouy.

— Konferencja skończona — oznajmił Merlin, kiedy kierownik skłoniwszy się z uszanowaniem odszedł. — Jestem teraz całkowicie do dyspozycji pań.

— Czy pan tańczy? — zapytała panna Camlis.

— Niestety.

— Nie pływa, nie tańczy. Strasznie pan zaniedbany.

— Cóż robić? Nigdy nie miałem czasu na obowiązki towarzyskie.

— Tym godniejsza podziwu ta wyprawa.

— No i tym cenniejsza — dodała z łagodnym wdziękiem panna Rouy.

— Muszę się paniom przyznać, że obchodzę dzisiaj skromną uroczystość. Dlatego pozwoliłem sobie zaprosić panie do "Cacadou". Urodziny.

— Och! — wykrzyknęła panna Rouy. — Nie ofiarowałyśmy panu ani jednego kwiatka. Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej? Jest pan wstrętny.

— Wystarczy, że panie zdecydowały się przyjść tu z mężczyzną w moim wieku. Zachichotały.

— Panie inspektorze!

— Inspektor został w domu.

— A zatem nasze gratulacje.

— Wiele szczęścia.

— Powodzenia...

— Serdecznie dziękuję. Pozwalam sobie wznieść toast za moje zdrowie. Opróżniono gorliwie kieliszki. Panna Camlis pochyliła się w stronę koleżanki.

— Spójrz, Ninon, jaki przystojny chłopiec.

— Który?

— Siedzi przy samym wejściu. Z tą w czerwonej sukni. O, podoba mi się.

— Taaak? Dla mnie za czarny. Nie lubię takich czarnych. Inni mężczyźni są w moim guście — zaznaczyła aluzyjnie. A ponieważ panna Camlis wpadła w chwilową melancholię, koleżanka pocieszyła ją: — Nudzi się z tą swoją dzierlatką.

— No, pewnie. Strasznie marna.

Kelner ponownie napełnił kieliszki.

— Ta samotna dama pod lampą ciągle ku niemu zerka — nie ustawała w obserwacjach panna Camlis. — Proszę was, zobaczcie tylko...

W głębi pod pomarańczowym kinkietem, nad wysoką szklanką z jakimś chłodzącym napojem, siedziała bardzo elegancka niewiasta. Jej skromna popielata suknia znakomicie harmonizowała z jasnymi włosami o odcieniu lila. Ciemny szal zarzucony był na ramiona lekko i niedbale. Na szyi połyskiwał sznur pereł. W ręce, opiętej czarną rękawiczką, dama trzymała papierosa, dwoma palcami drugiej obejmowała słomkę, przez którą raz za razem ciągnęła małymi łykami kolorowy płyn. Nie ulegało wątpliwości, że przystojny brunet budzi jej zainteresowanie.

— Taka niby obojętna i wytworna, a strzela okiem aż miło — roześmiał się Merlin. — Oto kobiety.

— Ale do tańca poprosi ją inny młodzian — orzekła panna Camlis z pewną satysfakcją, wskazując wzrokiem szczupłego, niedużego mężczyznę, który przeciskał się między stolikami; orkiestra rozpoczęła tango.

— Skąd wiedziałś? — zapytała panna Rouy, gdy młody człowiek istotnie skłonił się przed samotną kobietą.

— Kiedy wchodziliśmy tańczyli ze sobą bluesa. To jest Leclot, architekt, pijak i erotoman.

— Z tej mąki też może być chleb — powiedział inspektor Merlin, darząc krótkim wejrzeniem płaszącą parę.

Panna Camlis skrzywiła się:

— Nie jest już taka młoda...

— Ale bardzo interesująca... — stwierdziła panna Rouy, usposobiona tego wieczoru przychylnie do całego świata. — Uważam, że włosy z refleksem fioletowym dobrze podkreślają cerę. Wygląda mi na Angielkę. Nie ma takich pieniędzy, za które poszłabym sama na dancinge.

— A mówiłam ci, że tu można zobaczyć ciekawe rzeczy.

Po tangu na sali rozblęskło trochę więcej światła. Przy stoliku Merlina i maszynistek krzątali się kelnerzy, znosząc coraz to nowe potrawy.

— Uczta Lukullusa — powiedziała panna Rouy.

— Kiedy rozpoczynacie program? — zadała pytanie jednemu z usługujących panna Camlis.

— O dwunastej, proszę pani.

— O dwunastej już zwykle śpię — wyznała panna Rouy i podniecona sytuacją zażądała, aby inspektor koniecznie wyjawiał, ile już razy w życiu był zakochany.

Przekomarzali się jak uczeń z pensjonarką.

Punktualnie o dwunastej orkiestra wykonała tusz i na parkiet wbiegły prawie nagie tancerki.

— Vive la France! — krzyknął tubalnie ktoś przy sąsiednim stoliku.

Siedziała tam para: mężczyzna we fraku i jaskrawo wymalowana dziewczyna w taniej i krzykliwej sukni. On miał szeroką, amerykańską szczękę i równie klasyczne okulary w grubej oprawie.

— Amerykański prostak — powiedziała panna Camlis. — Dziwię się tej małej, chociaż to zwykła puszczalska.

Na parkiecie tancerki wykonywały coraz bardziej skomplikowane pas, a gość we fraku coraz hałaśliwiej objawiał zadowolenie. Potężną dłońią wybijał takt rozbrzmiewającej rumby na nagich plecach swej towarzyszki. Dziewczyna oparła rozczochraną głowę na ramieniu Amerykanina i mętym wzrokiem wodziła po parkiecie.

Tancerki skończyły wreszcie numer i z gracją pobiegły w kierunku drzwi wiodących do garderoby. Na chwilę zatrzymały się, dając komuś przejście.

— Pieśniarka Colibri! — zawołał donośnie saksofonista i wykonał krótką przygrywkę.

Pieśniarka Colibri, odziana w suknię ze srebrnej lamy, ciasno przylegającą do bogatych kształtów — powoli wstępowała na parkiet. Wspaniałe, odkryte do kolan nogi niosły ją leniwie. To wystarczyło, żeby Amerykanina na moment zatkało, rychło jednak odzyskał swadę i ze zdwojoną energią zabrał się do wyrażania aplauzu.

Colibri śpiewała piosenkę o swoim chłopcu, który dwa lata temu wyszedł na róg ulicy po papierosy i dotychczas nie wrócił. Ubóstwo tekstu nagradzała słuchaczom sownie temperaturą interpretacji.

— Dobrze śpiewa — przyznała panna Camlis. — Co to za jedna? Nigdy jej nie słyszałam.

— Występuje tu dopiero od trzech dni. Niezły nabytek — z nieoczekiwanym znanstwem udzielił informacji inspektor Merlin.

— Ach, jaka świetna zabawa! — entuzjasmowała się panna Rouy. — Jaki wesoły lokal! Nigdy nie zapomnę tego wieczoru.

Colibri wskoczyła na podium orkiestry i z podwyższenia jęła zachęcać gości do tańca.

Rozgrzane zmysłowym slow_foxem pary poczęły tłumnie zapełniać parkiet. Orkiestra

zaczęła grać głośniej — zrobiło się zupełnie ciemno. I wtedy nastąpił nowy efekt — Colibri podjęła refren:

Szukam mojego chłopca,@ czy nie ma go wśród was?...@

Ruchomy reflektor, umieszczony gdzieś wysoko, zaczął penetrować salę. Wydobywał z ciemności mężczyzn: i tych przy stolikach, i tych na parkiecie. Skakał z jednego obiektu na drugi, obnażając bez pardonu miny, gesty, groteskowe figury. Wyrwani brutalnie z ciemnej próżni, pozbawieni tła i jakiegokolwiek pomocy byli przede wszystkim komiczni. Publiczność nie posiadała się z radości.

Szukam mojego chłopca,@ może nim jesteś ty?@

Tak śpiewała Colibri, a snop światła wydobył z mroku jegomościa o głowie jak dynia i kilku podbródkach.

— Ładny! — ryknął Amerykanin w rogowych okularach i przez chwilę miotał się w jasnym kręgu ciągnąc pijaną dziewczynę do tańca.

— Ojej, co te wszystkie pary wyprawiają — powiedziała na poły zgorszona, na poły rozbawiona panna Rouy, kiedy reflektor w pogoni za nową ofiarą musnął parkiet. — Wystarczy zgasić światło...

Szukam mojego chłopca,@ może nim jesteś ty?@

— Kto? Ten z ptasim nosem? Winszuję — śmiała się panna Rouy.

— Masz, drugi raz ten Amerykanin! Żywo mi przypomina goryla. Goryla w klatce.

— Nie... Raczej takiego, który wpadł w potrzask i nie może się wyplątać — skorygowała koleżankę panna Rouy. — Strasznie musi być pijany.

Ty będziesz moim chłopcem...@ — Zaproponowała lirycznie Colibri, a jej słowa odnosiły się do inspektora Merlina. Oszolomiony elektrycznym ciosem siedział sztywno przy stole i mrużył oczy. Na jego bladej twarzy nie znać było ani rozbawienia, ani bez troski, którym dał się opanować w ostatnich godzinach. Patrzył z napięciem w stronę tańczących, lecz parkiet pogrążony był w gęstym mroku i rozgwarze.

— Nie oddamy pana tej Colibri.

— Mowy nie ma.

— Brawo! brawo!

— Bis.

— Nareszcie przystojny mężczyzna.

— Ojej, proszę uważać! — zawołał ktoś ze środka sali.

Nagle ostry nieartykułowany krzyk kobiety przedarł się przez narastającą coraz mocniej wrzawę.

— Światło! Proszę zapalić światło! Ktoś zemdła! — Zawołano z parkietu.

Znalazłam wreszcie chłopca...@ — Zaśpiewała żałośnie Colibri i urwała.

— Ratunku! — krzyczała kobieta na parkiecie.

— Co, do cholery, z tym światłem?... — złościł się męski głos.

Teraz i orkiestra ucichła.

Merlin szedł po omacku w stronę tańczących, kilka osób przepychało się w przeciwnym kierunku. Z jakiegoś stolika spadało szkło.

— Mówiłam ci, że to spelunka — rzekła panna Camlis do panny Rouy. — Uciekają przez taras, na pewno nie popłacili rachunków.

— Ale co się właściwie stało? — nie mogła zrozumieć panna Rouy.

— Amerykanie gwałcą dziewczęta. Dobrze im tak idiotkom.

— Jak to na parkiecie? — dziwiła się panna Rouy.

— Nie bądź naiwna. To przecież zwierzęta.

Nareszcie rozbłysło światło. Ludzie natychmiast rozstąpili się, otaczając wieńcem parkiet. Niektórzy nerwowo wracali na miejsca, byli i tacy, którzy w lęku przed konsekwencjami burdy pchali się pospiesznie do szatni. Kelnerzy murem stanęli przy wyjściu. Szef lokalu lustrował salę. Na skraju parkietu stała dziewczyna, ta sama, która poprzednio przy stoliku opierała głowę na ramieniu Amerykanina w okularach i którą tenże Amerykanin ciągnął potem do tańca. Brudnymi rękami rozcierała po policzkach łzy. Na podłodze, zwinięty w kłębek, leżał mężczyzna we fraku. Prawym bokiem przywarł do ziemi jak ciężki i miękki przedmiot. W plecach poniżej lewej łopatki tkwił, wbity po rękojęść, nóż, dokoła którego utworzyła się ciemniejsza od sukna plama. Tylko ta plama żyła, rosnąc z sekundy na sekundę. W niewielkiej odległości od zabitego leżały na podłodze okulary. — Proszę nikogo nie wypuszczać z lokalu! — powiedział donośnie Merlin. — Jestem inspektorem policji. Czy na sali znajduje się lekarz?

Ale lekarza na sali nie było.

Inspektor pochylił się nad ofiarą, wyszarpnął spod piersi rękę zamordowanego i począł badać tętno.

— Załatwiony fachowo — rzekł do panien Camlis i Rouy, które od paru już chwil służyście przy nim stały. — Teraz telefon do prefektury, lekarz i karetka — wydał dyspozycję. — To ten Amerykanin z sąsiedztwa.

Merlin przywołał dziewczynę ruchem głowy. Podeszła nie odrywając rąk od umorusanej, zalanej łzami twarzy.

— To pani krzyczała?

— Ja.

— Dlaczego?

— Ze strachu. Nie mogłam go utrzymać.

— Sądziła pani, że to z nadmiaru wódki?

— Nie, prawie wcale nie piłam. Wiedziałam, że coś się stało. Na chwilę przed tym powiedział: "Wracamy, ktoś mi tu chodzi po piętach". Nie mówił dobrze po francusku, więc najpierw przypuszczałam, że ma na myśli po prostu tłok. Próbował wydostać się i wtedy właśnie wpadł w reflektor. Dokoła było niesamowicie ciasno. Szarpnął się jakoś dziwnie, jakby chciał uciec. Potem w ciemności zaczął coś mamrotać, chyba po angielsku. Kiedy się rozluźniło, nie mógł już stać na nogach. Krzyknęłam, bo zwałił się.

— To był Amerykanin?

— Tak.

— Nazwisko?

Wzruszyła ramionami.

— Skąd mogę wiedzieć?...

Mimo makabrycznej sytuacji ktoś parsknął śmiechem. Nie zrażona kontynuowała:

— Poznaliśmy się dziś po południu. Na imię mu było Joe. Prawie każdy z nich ma na imię Joe. Ja nazywam się Zuzanna Loup — dodała z nagłą godnością.

Inspektor Merlin przeglądał tymczasem dokumenty zakłutego nożem Amerykanina. Funkcjonariusze policji i doktor Chapuis przybyli do "Cacadou", nim upłynęło dziesięć minut. Sprawdzono dowody osobiste wszystkich gości i sporządzono wykaz obecnych. Nikt nic nie widział i niczego nie umiał wyjaśnić. Nieco dłużej przesłuchiwano pieśniarkę Colibri, mechanika obsługującego reflektor oraz kilku kelnerów. Niestety, część osób opuściła lokal w czasie zamieszania, natychmiast po zapaleniu świateł. Według zeznań personelu wszyscy ci goście, z wyjątkiem amerykańskiego stolika, mieli zapłacone rachunki. Zwłoki załadowano do karetki sądowej, kilka osób odwieziono na komendę, Merlin przeprosił damy i zniknął z szefem lokalu w kantorze za kuchnią. Policjanci jeszcze przez jakiś czas kręcili się po parkiecie, barze i przyległościach, zaglądali w kąty, ale bez żadnych rezultatów.

Świtało już, kiedy panna Camlis i Rouy, syte wrażeń, wracały samochodem prefektury w asyście sierżantów Marly i Gobin do swych domów.

— Jak myślisz? — zapytała panna Camlis. — Czy to był zbieg okoliczności, czy Merlin wybrał się do "Cacadou" służbowo?

— Nie wiem — odrzekła panna Rouy — tak czy owak, kolacja wypadła wspaniale, a inspektor jest człowiekiem pełnym czaru. \$~a propos: zauważyłaś pewnie, że ten twój efektowny brunet wykazał przytomność umysłu i dał nogę... Przy legitymowaniu gości nie widziałam ani jego, ani jego towarzyski, ani też tej samotnej damy w szalu.

— W przeważającej liczbie zbrodni rolę motoru odgrywają kobiety — rzekł sentencjonalnie sierżant Marly.

— I polityka — dorzucił sierżant Gobin.

VI

Przy zamordowanym w czasie zabawy Amerykaninie znaleziono prócz osobistych dokumentów portfel z pieniędzmi, rewolwer oraz kwit bagażowy z przechowalni dworca w Nicei z datą dnia poprzedzającego zabójstwo. Paszport wystawiony był na Joego Browna, urodzonego w roku 1922 w mieście Springfield, w stanie Illinois. Rewolwer uradował serca francuskiej policji, a co do kwitu — należało jak najszybciej sprawdzić w przechowalni zawartość bagażu i wysnuć z niej, być może, dalsze wnioski.

Okolo południa inspektor Merlin w towarzystwie sierżanta Gobin przemierzał halę dworcową. Zatrzymali się przed wnęką bagażowni, inspektor położył na ladzie kwit. Niemłody już magazynier łypnął okiem na mundur sierżanta, poszperał chwilę w zapchanej walizami niszy, wreszcie ustawił na ladzie skrzynkę z jasnej dykty, obwiązaną szpagatem. Na skrzynce obok numeru przechowalni widniała naklejka wytwórni konserw "Meatcomplex". Paczka była ciężka i wyglądało na to, że wewnątrz jej ściśle wypełniają puszki.

Podczas gdy sierżant ostrożnie i fachowo odwiązywał sznurek, Merlin zasięgał informacji:

— Kto miał dyżur w magazynie, gdy składano ten bagaż?

Funkcjonariusz obsługi kolejowej ponownie sprawdził kwit:

— Bagaż oddano wczoraj o ósmej rano. Ja pełniłem służbę.

— Czy może pan opisać wygląd właściciela paczki?

Kolejarz roześmiał się.

— Panie drogi, to przecież niepodobieństwo. W czasie każdego dyżuru mam do czynienia z setkami osób, a około ósmej nasilenie jest największe. Takich skrzynek przechodzi przez moje ręce czasem kilka, a czasem to i kilkadziesiąt. Przyjeżdżają akwizytorzy z towarami, biegają po hotelach i penjonatach, zachwalają próbki, po parę razy zaglądają do przechowalni, w miarę jak im szczęście służy. Nicea pożera całe wagony przysmaków. Widzę, że panowie są z policji, więc chętnie udzieliłbym informacji, ale to po prostu przechodzi moje siły. Człowiek już i tak ledwo się na nogach trzyma z przepracowania, a tu władze żądają, żeby był jeszcze na dodatek agentem policji. Najlepiej postawcie na dworcu aparat filmowy... — zdenerwował się stary, lecz pod spokojnym wejrzeniem Merlina prędko wrócił do równowagi. — Jedno mogę panom powiedzieć na pewno: musiał to być mężczyzna, bo kobiety takich ciężarów nie noszą. — Wygłosiwszy to zdanie upadł nagle na duchu i krzyknął: — A zresztą diabli wiedzą. Kobiety wyręczają się tragarzami, nawet komiwojażerki. Czy ja mogę pamiętać, kto przyniósł skrzynkę? Może właśnie numerowy? Nie mam pojęcia, nie mam pojęcia. Za rok, chwała Bogu, idę na emeryturę, mam dwie dorosłe córki i pięcioro wnuków, należy mi się chyba odpoczynek. W głowie się mąci od tych wszystkich twarzy. Matko Przenajświętsza... — jęknął, bo sierżant Gobin uchylił właśnie wieka. W skrzynce spoczywał pistolet maszynowy.

Wracali do prefektury w milczeniu, rozważając sprawę, każdy na swój sposób.

— Nie sądzę — rzekł wreszcie Merlin — żeby na paczce lub na pistolecie istniały odciski. To wszystko wygląda na wytrawną robotę. Dla porządku jednak zrobicie, sierżancie, daktyloskopię i badania podstawowe.

— Tak jest, panie inspektorze. Zdaje się, że wpadliśmy na trop poważnego spisku przeciw Francji.

Szofer roześmiał się. Obsesję sierżanta znała cała prefektura.

W ciągu następnych godzin pracę wykonywano metodycznie.

Sekcja zwłok ustaliła, że Joe Brown był mężczyzną zdrowym, silnym; zmarł na skutek precyzyjnego pchnięcia nożem w plecy. Ostrze wsunięte pod lewą łopatkę przebiło płuco, sięgając aż do serca. Agonia trwała kilkanaście sekund.

Joe Brown przybył do Nicei przed pięcioma dniami statkiem "Prince de France" z Nowego Jorku i zamieszkał w hotelu "Tarascon", gdzie zajął jednoosobowy pokój, nie najdroższy i nie najtańszy.

Portier podał telefonicznie inspektorowi nazwiska jeszcze kilku amerykańskich turystów mieszkających w hotelu. Inspektor zamierzał tych ludzi przesłuchać.

Zgodnie z przewidywaniami Merlina podjęty w przechowalni automat został przed zapakowaniem starannie wytarty. Kaliber 9 zgadzał się z nabojami tkwiącymi w ciałach Pierriego i Candy'ego. Znaleziony przy zmarłym rewolwer był nabity i nie brakowało w nim ani jednego naboju. Portfel zawierał znaczną sumę franków, kwota ta jednakże nie dorównywała zasobom, z jakimi Amerykanie zwykli byli wyruszać na podbój starego świata, wobec czego inspektor Merlin powziął przypuszczenie, że Brown albo liczył na zdobycie funduszy na miejscu, albo też — co w Nicei było na porządku dziennym — zgrał się w Monte Carlo. Należało zasięgnąć informacji u Blocka, a także wciągnąć w akcję Carpeau, specja od wszelkich spraw pachnących kasynem, dolarami i

kombinacjami walutowymi. Pistolet automatyczny wiązał zgrabnie osobę Joego Browna z sensacyjnymi morderstwami dwóch poprzednich dni. Znaleziona u Candy'ego karta reklamowa występów pieśniarki Colibri w godny zastanowienia sposób wprowadziła inspektora Merlin w wir zdarzeń, mających gdzieś na dnie wspólne źródło. Wyglądało na to, że Joe Brown rąbnął z automatu dwóch obywateli miasta Nicei. Jaki miał w tym interes? Gdzie szukać przyczyny krwawych porachunków? Dlaczego zbrodniarz posługiwał się tak ciężką i kłopotliwą bronią? Czy zakłutemu nożem Brownowi policja zdoła udowodnić morderstwa? A może potrafi ustalić jego alibi?

Te i tym podobne myśli zaprzętały umysł Merlina przez cały dzień. Około dziesiątej wieczór wsiadł w samochód i kazał się wieźć do "Cacadou".

— Przyjedziesz po mnie o jedenastej — rzucił dyspozycję szoferowi i szybko zniknął za drzwiami, opatrzonymi w kolorowy napis.

Portier przywitał go głębokim ukłonem i nie pytany oznajmił, że szef czeka.

Kancelaria mieściła się za częścią gospodarczą lokalu. Szef sali, dyrektor i właściciel zakładu w jednej osobie, na widok inspektora wstał zza biurka, wskazując gościowi miejsce w głębokim fotelu.

— Kawa? Koniak? — zapytał lakonicznie.

Merlin uśmiechnął się.

— Podczas konferencji służbowych palę jedynie papierosy.

Dyrektor z wielką naturalnością położył na biurku paczkę pall mall, ale inspektor wolał własne gauloisy.

— A zatem słucham pana — przystąpił do rzeczy.

— Zgodnie z poleceniem władz zebrałem od personelu wszystkie możliwe dane — rozpoczął dyrektor. — Jest tego, niestety, mało. Pocięszam się jednak wiarą, że policja z najszczuplejszych materiałów potrafi wyciągnąć obfite wnioski. Ogromnie boleję, panie inspektorze, nad wczorajszym wypadkiem. I jako człowiek, i jako obywatel, i także jako właściciel solidnego przedsiębiorstwa, które dotychczas cieszyło się nienaganną opinią.

— No, no, panie Privet — zmitygował dyrektora Merlin. — Rozmaicie bywało. Zresztą zdają sobie sprawę, że "Cacadou" to nie zrzeczenie wielbicieli św. Tereski od Dzieciątka Jezus.

— Sam w pewnej mierze jestem czcicielem tej świętej, jednakże, jak słusznie pan inspektor zauważył, nocny lokal to nie kościół i cele ma raczej przyziemne. Tym usilniej podkreślam...

— Nie odbiegajmy od tematu, drogi panie.

— Tak, nie odbiegajmy. Otóż panna Colibri pracuje u mnie zaledwie cztery dni i przybyła tu z własnym programem artystycznym, polegającym zarówno na oryginalnej piosence w rytmie slow_foxa, jak i na tricku z wygaszaniem świateł i operowaniem reflektorami, co nawiasem mówiąc od dziś pozwoliłem sobie zlikwidować zgodnie z pańskim życzeniem.

— Pannę Colibri przesłucham szczegółowo po raz drugi na wszystkie ważne dla mnie okoliczności. Pan miał mi dostarczyć informacji o gościach przebywających wczorajszego wieczoru na sali. Zwłaszcza tych, którzy zdążyli ulotnić się przed przybyciem policji. Przy wejściu siedział mężczyzna, silny brunet, z kobietą w czerwonej sukni. Potem nie widziałem ich.

— Tak. Zamówił butelkę beaujolais i zapłacił kelnerowi zaraz po obsłużeniu. Prawdopodobnie cudzoziemiec nie władający językiem francuskim, ponieważ z kelnerem rozmawiała kobieta, notabene dziewczynka lekkiego prowadzenia drugiej kategorii. Albo i trzeciej. W innej części sali zajęła stolik para również składająca się z Francuzki i cudzoziemca, na oko Amerykanina. Charakterystyczne, że rachunek uregulowany został z miejsca, podobnie jak w pierwszym przypadku. Obydwie te pary odwiedzały bar, a lokal opuściły albo w czasie występu Colibri, albo zaraz po zapaleniu świateł, nim portier zorientował się, że nie wolno gości wypuszczać. Zresztą istnieje także możliwość wydostania się na ulicę przez taras, który wprawdzie nie posiada schodów, jednak zbudowany jest na bardzo nieznacznym podwyższeniu i ma stosunkowo niską barierę. Cóż to za poroniony pomysł z tym reflektorem — westchnął. — A mnie się zdawało, że chwyciłem superbombę.

— Bądźmy sprawiedliwi, pomysł jest niezły. Sam pękałem ze śmiechu.

— Tak? Staram się, jak mogę. Listę gości sporządzoną przez policję szczegółowo przestudiowałem wspólnie z personelem i ręczę, że poza wymienionymi dwiema parami oraz pewną Angielką nikt z "Cacadou" po wypadku nie wyszedł.

— Mamy więc i Angielkę.

— Tak, ale to zupełnie inna sprawa. — Dyrektor przybrał nagle ton poufny. — Swego rodzaju piękność, chociaż trochę zaawansowana w latach. Przychodzi samotnie i popija wodę z vermouthem. Rudolf Leclot, stały bywalec mojego lokalu, adoruje tę damę. Tak, adoruje: właściwe słowo na właściwym miejscu. Trwa to już kilka dni, mianowicie odkąd Angielka zjechała do Nicei i odwiedza wieczorami "Cacadou". Jest ona żoną jakiegoś arystokraty, zdaje się, lorda. Niezmiernie oryginalna osoba, wytworna i cokolwiek ekscentryczna; pozwala się prosić do tańca, ale siedzi przy stoliku zawsze sama.

— W popielatej sukni? — upewnił się Merlin.

— Spostrzegawczość godna inspektora policji — rzekł jakby z odrobiną sarkazmu dyrektor. — Ona. Rozmawiałem przed chwilą z Leclotem. Przyznał się, że natychmiast po zamieszczeniu na parkiecie wyprowadził damę z dancingu, ulegając jej prośbie. Dla kobiety z towarzystwa, powiedzmy sobie — z wysokiego towarzystwa, kontakt z policją i ujawniona obecność w podej... to jest, w nocnym lokalu — bywają kłopotliwe. Niedyskretna indagacja, często notatka w prasie, et cetera... Znam ten typ gości. Uwielbiają pikantny smak przygody, ale tylko do pewnych granic. Leclot wsadził ją do taksówki, po czym wrócił jeszcze przed przybyciem pańskich funkcjonariuszy i uregulował rachunek swój oraz Angielki.

— Więc ten facet wychodził jednak?

— Leclot? Owszem, na pięć minut.

— Niewysoki, szczupły młodzieniec?

— Pan jest niezrównany, inspektorze Merlin!

— Stały bywalec "Cacadou" — powiedział pan?

— Tak. Codzienny gość.

— Prędeż conocny. Jaki jest zawód tego Leclota?

— Architekt. Bardzo zdolny architekt. Wszystkie dane łącznie z adresem znajdzie pan inspektor na liście.

— Chciałbym teraz porozmawiać na osobności z panną Colibri.

— W takim razie tutaj będzie wygodniej niż w garderobie. Przyślę ją panu. Zostawiam gabinet do pańskiej dyspozycji, tym bardziej że wzywają mnie inne obowiązki. — Dyrektor skłonił się Merlinowi z godnością i opuścił kancelarię.

Colibri miała już na sobie srebrną lamę do występu. Nie wiadomo, jak w tym małym pokoiku zmieściło się aż tyle powabów. Inspektor Merlin przelotnie pomyślał o trudach swojego zawodu i zadał pierwsze konwencjonalne pytanie:

— Jak pani się nazywa?

— Joanna Bartin.

— Czy dawno używa pani pseudonimu "Colibri"?

— Och, bardzo niedawno — roześmiała się. — Niedawno, cztery dni.

— Ciekawe — zauważył chłodno Merlin.

— Co ciekawe? Pseudonim? — podjęła naiwnie Colibri, ciągle uśmiechając się. — Wiem, że niczym nie przypominam małego ptaszka. To pomysł mojego przyjaciela, który twierdzi, że kontrasty są podstawą reklamy. Chodzi o niespodziankę. Publiczność oczekuje jakiegoś drobiazgu, figurki z saskiej porcelany, a dostaje kobietę na schwał. Robi to rzekomo wrażenie, zwłaszcza w smudze reflektora i przy odpowiedniej piosence. A piosenkę zdobyłam rajcowną. Wszystko do kupy zapowiadało nareszcie zmianę na dobre, Lecz ja, proszę pana, nie mam za grosz szczęścia, i to od dawna. Od trzech lat pracuję w Paryżu, objam się po rozmaitych kabaretach, a nigdzie nie mogę zagrzać miejsca, bo albo jestem za dobra, albo za zła, nigdy w sam raz. Po długich i ciężkich cierpieniach trafił mi się sezon w Nicei, lokal nie najgorszy, przyjaciel wykombinował fajny pseudonim, kupiłam za ciężką forszę piosenkę razem z gagiem i masz babo placek: już czwartego dnia pomysł razem z powodzeniem diabli wzięli. Przy pełnym świetle guzik z tego wyjdzie. Od razu wiedziałam, że coś się stanie. Taki mój los.

— Jak się nazywa pani przyjaciel?

— Sergiusz Woschynsky.

Merlin natychmiast przypomniał sobie to dziwaczne nazwisko rzucone do telefonu przez starego Renauda. Woschynsky i afera dolarowa.

— Polak? — zapytał podstępnie.

— Nie, Rosjanin. Emigrant.

Zgadzało się. Mimo że dossier Woschynsky'ego musiało zajmować już w prefekturze poczesne miejsce, Merlin ze względów psychologicznych zanotował adres. Colibri stropiła się.

— On nie ma z tym nic wspólnego.

— Z czym?

— Z zabójstwem Amerykanina.

— Skąd pani wie? — rzucił ironicznie.

Posmutniała.

— Znam go przecież.

— Dawno?

— Przeszło rok.

— Od kogo kupiła pani piosenkę i pomysł z reflektorami?

— To on wszystko załatwiał — i skrętnie wyjaśniła: — On jest moim menażerem. Moim impresariem — poprawiła się.

— Doskonale. Pani zeznania na razie mi wystarczą. Dziękuję. Życzę powodzenia w pełnym świetle.

Machnęła ręką i na nowo zaśmiała się. Było w tej dziewczynie coś wybitnie sympatycznego.

— Szukam mojego chłopca, może to właśnie ty... — zanuciła nagle z beczelnym wdziękiem idąc w stronę drzwi. — Czuję w powietrzu generalną kłapę. Do widzenia. Merlin postanowił mieć się na baczności.

Kiedy zmierzał ku wyjściu, orkiestra grała bluesa. Była to ta sama melodia, którą rozpoczynał ubiegły wieczór w towarzystwie panny Rouy i panny Camlis. Dochodziła właśnie jedenasta. Zajrzał na salę. Kilka par kręciło się na parkiecie, przy stolikach natomiast siedziało już sporo osób.

W tej chwili ujrzał, że Privet daje mu tajemnicze znaki z przeciwległego kąta sali. Wycofał się na korytarz.

Dyrektor lokalu nadbiegł zdyszany.

— Jest Leclot. Czy chciałby pan z nim mówić?

— Dobrze. Niech mu pan powie, żeby przyszedł do kancelarii.

Privet poprowadził inspektora do swego biura i w parę minut sprowadził architekta Leclot. Po zadaniu kilku zasadniczych pytań dotyczących personaliów i miejsca pracy Leclota, Merlin kazał architektowi opowiedzieć, co wie o Angielce, z którą tańczył w dniu wczorajszym.

— Nic nie wiem bliższego — odrzekł Leclot. Merlin poczuł zapach alkoholu i skrzywił się z niesmakiem. Architekt zauważył grymas na twarzy inspektora i spuścił oczy. — Naprawdę nie umiem powiedzieć o niej nic ciekawego.

— Czy pan wie, kto to był?

— Nie. Angielka. Powiedziała mi, że nazywa się Wintermoor. Bardzo bogata. Widziałem, jak koło niej skakali różni ludzie, więc pomyślałem, że warto by ją zdobyć.

— I udało się?

— Wczoraj zdawało mi się, że wszystko pójdzie dobrze. Aha, powiedziała mi, że jest zamężna. Jej mąż to jakiś lord. Miała dużo pieniędzy — dodał, aby uwiarygodnić swoje poprzednie słowa.

— Czy nie powiedziała panu czegoś bliższego o sobie?

— Nie pytałem. Nie jestem ciekawy — uśmiechnął się z zażenowaniem. — Pan wie... kobiety... trudno pytać, jak się kogoś mało zna... w dodatku taka dama. Tak, dama — powtórzył — jechała kiedyś przez promenadę angielską swoim wspaniałym wozem. Szofer wyglądał jak generał z Monaco. Co tu dużo mówić. Podobala mi się...

— Liczył pan na jej pieniądze?

Leclot zaprotestował.

— Ach nie, pan ma złe informacje o mnie.

— Pan odprowadził tę panią po wczorajszym incydencie.

— Tak. Prosiła o to. Nie chciała, aby zbyt wiele osób dowiedziało się, że przychodzi wieczorami do lokalu.

- Czy jej wóz czekał na nią?
- Nie, wezwałem taksówkę.
- Czy podała przy panu adres szoferowi?
- Nie. Wręczyła mi tylko pieniądze, abym uregulował rachunek.
- Czy pan znał zabitego?
- Ja? Skądże znowu?

Inspektor wstał zza biurka.

- Gdy spotka się pan z ową damą, proszę natychmiast dać mi znać o tym.
- Oczywiście. Zrobię to. I proszę nie wierzyć, że ja lecę na czyjeś pieniądze. Po prostu lubię nocny lokal. Lubię się napić i zabawić.
- Proszę się nie obrażać. Policja musi niekiedy zadawać nieprzyjemne pytania.
- Rozumiem, ale w tym wypadku pan się pomylił. Czy mogę odejść?
- Tak.

W chwilę później Merlin opuścił lokal.

W drodze powrotnej zsumował zdobycze: dwóch cudzoziemców, Leclot, Angielka i emigrant Woschynsky.

Nie jest tak źle — pomyślał.

VII

— A więc sprawa zaczyna się powoli krystalizować — powiedział stary, wysłuchawszy relacji inspektora Merlin. — Woschynsky, dolary, piękna śpiewaczka, automat i trzy trupy. Teraz tylko wszystko ładnie połączyć ze sobą i afera zakończona.

Merlin uśmiechnął się kwaśno.

- Moim zdaniem to dopiero początek.
- Pewnie, że początek — zagrzmiał pułkownik Renaud — ale piękny początek. Macie, chłopcy, pole do popisu.

Inspektor spojrzał na Carpeau, który siedział obok w milczeniu.

— Co pan na to?

Carpeau uderzył dłonią w poręcz fotela.

- Jestem pana zdania. To trudna historia.
- Zbrodniarz popełnia błędy, pamiętajcie o tym — rzekł jowialnie stary — nie ma zbrodni idealnych. Chyba nie trzeba wam o tym przypominać. Macie moje błogosławieństwo i do roboty.

Odezwały się jednocześnie dwa dzwonki telefoniczne i pułkownik podjął ożywioną dyskusję z dwojgiem rozmówców naraz.

Na korytarzu Merlin położył rękę na ramieniu Carpeau.

— Pojedzie pan do Blocka. Fotografię Browna pan ma, potrzeba nam wielu wiadomości o nim. W ogóle zdaję na pana wszystko, co dotyczy Amerykanina.

- Sądzi pan dalej, że miał on powiązania z Candym i Pierrim?
- Oczywiście. Wiemy już przecież, że byli przed kilku laty obywatelami amerykańskimi.
- Zatem do wieczora. Sądzę, że o ósmej będziemy mogli wymienić sobie nowe szczegóły.

— Wiążę duże nadzieje z przesłuchaniem Woschynsky'ego.

— Powodzenia — Carpeau podniósł rękę do góry na znak pożegnania.

— A z Blocka niech pan wyciągnie nawet szpik z kości. To chytry facet i mówi tylko to, co mu wygodne. Nie lubi psuć reputacji kasyna.

— Znam te jego kruczki.

— Do wieczora.

Rozeszli się i Merlin podążył do swego gabinetu. Wyjął notatki, przez kilka minut studiował notes kiwając się nad biurkiem. Potem nalał wody z karafki do szklanki i wypił jednym haustem.

W tej chwili odezwało się pukanie i przed inspektorem zjawił się sierżant Gobin.

— Panie inspektorze, dwóch cudzoziemców pragnie rozmawiać z panem.

— Nie mam teraz czasu.

— Nie rozumiem, co mówią, ale z tego, co pokazują, domyśliłem się, że chodzi im o tego zamordowanego w "Cacadou" — sierżant wykonał ruch naśladujący wbicie noża w plecy.

— Dać ich?

— Pewnie, że dać. — Merlin zdecydował się błyskawicznie i zasiadł urzędowo za biurkiem. — No, na co czekasz?

Gobin wykonał przepisowy zwrot i wyszedł. Nie upłynęły dwie minuty, gdy wprowadził do pokoju dwóch mężczyzn, bardzo podobnie do siebie ubranych w ciemne garnitury. Jednego z nich bystre oko inspektora od razu rozpoznało. Był to przystojny brunet, którego widział w "Cacadou" w towarzystwie kobiety w czerwonej sukni. Drugi był wyższy i szczuplejszy. Blond czupryna opadała mu szeroką grzywą na czoło. Wielkie niebieskie oczy patrzyły z zainteresowaniem na inspektora.

— Czy pan mówi po angielsku? — spytał brunet.

— Tak, mówię.

— To świetnie. Będziemy mogli się porozumieć — odpowiedział brunet, a blondyn wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Proszę usiąść — Merlin gestem zaprosił gości do zajęcia miejsc naprzeciw biurka. — Czym mogę panom służyć?

Usiedli prawie jednocześnie i prawie jednocześnie spojrzeli na sierżanta trzymającego się z tyłu za nimi.

Merlin ruchem głowy rozkazał Gobinowi opuścić gabinet. Sierżant jak niepyszny wyniósł się z pokoju.

Nieznajomi uśmiechnęli się w podzięcie.

— Słucham panów.

— W nocnym lokalu "Cacadou" został zamordowany uderzeniem noża w plecy nasz przyjaciel Joe Brown.

— Zgadza się.

— Obydwaj z przyjacielem — brunet pokazał na blondyna, który znowu uśmiechnął się jak niewinne dziecko — byliśmy tego wieczora w tym lokalu.

— To też się zgadza — skinął głową inspektor.

Blondyn spojrział na swego towarzysza i parsknął śmiechem zasłaniając sobie usta dłonią.

— Przyszliśmy tutaj, aby wyłożyć pewne karty na stół — ciągnął dalej brunet.

— Bardzo się cieszę; bo ucieczka panów z lokalu wydawała nam się co najmniej

podejrzana.

— Nie lubimy mieć do czynienia z policją — zachichotał blondyn szczerząc zęby. Inspektor obserwował ich bacznie. Zachowywali się jak pewni siebie turyści amerykańscy, którzy wiedzą, że mają w portfelu najsilniejsze argumenty, zdolne do pokonania wszelkich trudności. Brunet wydawał się bardziej rozgarnięty, a niewielkie oczy, osadzone głęboko pod łukami brwiowymi, mówiły wyraźnie, że właściciel ich jest człowiekiem stanowczym i silnym. Blondyn natomiast przypominał wyrośniętego dzieciaka, a jego reakcje świadczyły, że wszystko, co się dzieje naokół, jest dla niego nieustannym powodem do śmiechu i zabawy.

— My i Joe należymy do jednej paczki — rzekł brunet. — Ja nazywam się Cabs, Clive Cabs, a on nazywa się Toby Terence.

Blondyn uniósł się nieco z krzesła i przyłożył dwa palce do czoła.

— Terence, szefie. Bardzo mi przyjemnie — i zaśmiał się jak z dobrego żartu.

— Amerykanie? — spytał inspektor.

— To chyba poznać! — wykrzyknął blondyn zanosząc się od śmiechu. — Clive jest najpiękniejszym okazem Amerykanina.

— Panowie pragną zapewne złożyć zeznania dotyczące morderstwa popełnionego w "Cacadou". Słucham.

Brunet potarł brodę wskazującym palcem i przymrużył oczy.

— My i Joe należymy do jednej paczki. Przyjechaliśmy tutaj na urlop. Przy okazji zapragnęliśmy jednak spotkać się z pewnym chłopcem, który skrzywdził nas przed laty. Dowiedzieliśmy się, iż przebywa w tej czarującej miejscowości i ma się tu całkiem nieźle. Dzięki pewnemu zbiegowi okoliczności domyśliliśmy się, że przebywa on często w "Cacadou". Udaliśmy się tam, aby porozmawiać z chłopcem i przekonać go o naszej krzywdzie.

— Stąd każdy z panów zajmował inny stolik — wtrącił inspektor — po prostu dla panowania nad sytuacją w lokalu.

— Doskonale pan to wykombinował — klasnął w dłonie Terence. — Taki właśnie mieliśmy zamiar.

— Niestety, Laleczka okazał się sprytniejszy, niż sądziliśmy — ciągnął Cabs — i sprzątnął Browna.

— Laleczka? Pseudonim? — spytał Merlin notując oświadczenie bruneta.

— Piękny pseudonim! — wykrzyknął blondyn. — Zawsze zazdrościłem mu tego przezwiska.

— Uciekliśmy z lokalu zaraz po zabójstwie Joego, gdyż przyznam się panu, panie inspektorze, baliśmy się początkowo wplątania w aferę z policją. Po zastanowieniu się doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, gdy porozmawiamy z policją szczerze. Tym samym przyczynimy się do ujęcia Laleczki, chociaż...

— Chociaż wolelibyśmy porozmawiać z nim sami — zaśmiał się Terence. — Pan rozumie. Są sprawy, które lepiej załatwiać między sobą.

Inspektor skończył zapisywać i czekał chwilę na dalsze zeznania. Goście jednak zamilkli.

— Czy to wszystko, co panowie mieli do powiedzenia?

Blondyn spojrzał pytająco na towarzysza, a ten skinął głową potakująco.

— Wszystko — powiedział z rozbrajającym uśmiechem Terence.
— Panowie w takim razie pozwolą, że zadam im kilka pytań?
Nie odpowiedzieli, lecz widać było, że spodziewają się indagacji.
— Co rozumiecie panowie pod słowem "paczka"?
— Kółko towarzyskie.
— Aha! A Laleczka był enfant terrible tego kółka?
— Tak. Zachował się nieodpowiednio.
— Pan powiedział, że was skrzywdził?
Brunet uśmiechnął się. Przymknął na moment oczy, potem z nagłą decyzją przysunął krzesło bliżej i położył ręce na biurku.
— Przez Laleczkę dostaliśmy po cztery lata, panie inspektorze.
Blondyn dodał:
— Robiliśmy w Illinois filię jednego banku. Pospieszył się, wziął pieniądze, a nam naraził policję stanową.
— Po odbyciu kary, już jako pełnowartościowi obywatele, postanowiliśmy porozmawiać z Laleczką, by dowiedzieć się, jakie motywy wpłynęły na tę jego decyzję.
— Zatem to wasze kółko towarzyskie miało na celu rozbijanie banku.
— Rozbijanie? Nie. Nie jesteśmy kasiarzami, panie inspektorze.
— Przepraszam.
— Nie ma za co — zaśmiał się Terence. — Nas to tylko śmieszy, że pan coś takiego mógł przypuścić.
— Czy Joe Brown specjalnie naraził się temu, którego nazywacie Laleczką?
— Laleczka naraził się nam, panie inspektorze.
— Ale Joego Browna znaleźliśmy z nożem w plecach.
Terence rozłożył ręce.
— Joe bardzo lubił tańczyć. To go zgubiło.
— A zatem Laleczka był jednym z tańczących. Czy widzieliście go?
— Nie — zaprzeczył stanowczo brunet. — Wśród tańczących go nie było.
Obserwowaliśmy wszystkich na parkiecie.
— Brown został zamordowany, gdy na chwilę zgasło światło. To był cholerny pomysł z tym światłem i oślepiającym reflektorem. Pomył Laleczki — dodał Terence.
— Ten numer szedł w "Cacadou" od kilku dni. Skąd Laleczka wiedział, że przyjdziecie akurat do tego lokalu?
Amerykanie spojrzeli na siebie.
— Dowiedzieliśmy się, że Laleczka tam przebywa — powiedział z niechęcią Cabs.
— Od kogo?
Brunet zamilkł, zastanawiając się nad odpowiedzią. Terence machnął ręką.
— Gadaj, Clive, wszystko. To bardzo śmieszne w rzeczywistości.
— Dobrze, powiem. Dowiedzieliśmy się od Slima. Pewnie pan nie wie, kto to był Slim. To ten, co go sprzątnięto z automatu.
— Cezary Pierri?
Terence wybuchnął śmiechem.
— Może i Pierri. Kto tam wie, jak on się tu nazywał. Uciekł z Laleczką i zmienił nazwisko.

Inspektor przestał notować.

— Pan powiedział coś o automacie — zwrócił się do bruneta. — W kieszeni Joego Browna znaleźliśmy kwit bagażowy, a w bagażu znaleźliśmy automat.

— I pan przypuszcza, że automat był własnością Browna i że Brown załatwił Slima? — rzekł Cabs.

Terence zaczął się śmiać jak szalony. Coraz bardziej drażnił tym inspektora. Rzucił na blondyna niechętne spojrzenie. Ale Terence nic sobie nie robił z Merlina. Klepał się po udach i nie przestawał pękać ze śmiechu.

— Dobrze to obmyślił Laleczka. Doskonale. Jakiż to inteligentny chłopiec.

— Wróćmy jednak do rzeczy — powiedział surowo Merlin. — Czy panowie zauważyli kogoś podejrzanego w "Cacadou"? Kogoś, kto, zdaniem panów, mógł zamordować Joego Browna?

Brunet wzruszył ramionami.

— Gdybyśmy zauważyli, nasza wizyta u pana nie miałaby sensu.

— Czy panowie znacie pieśniarkę Colibri?

— Nie. Tę widzieliśmy po raz pierwszy w życiu.

— A czy spotkaliście się z nazwiskiem Woschynsky?

— Nie.

— Co jest zatem głównym powodem przyścia panów do policji?

— Chcemy wam ułatwić robotę. Zresztą wiedzieliśmy, że prędzej czy później spotkalibyśmy się, prawda? Joe był z naszej paczki i wpadlibyście na to.

— Sądzę, że tak. Zwłaszcza że panowie opuściliście lokal nie płacąc rachunku. — Merlin lubił czasem udawać źle poinformowanego.

— O, przepraszam — Terence zerwał się na równe nogi — sam regulowałem rachunek. Kelner korzysta z okazji i chce przywłaszczyć sobie pieniądze. Tego nie lubię.

— Ja miałem również wszystko zapłacone — dodał brunet.

— To drobnostka. Nie ma żadnego wpływu na przebieg śledztwa — rzekł inspektor. — Panowie zatem mając czyste sumienie przyszli do mnie wyjaśnić kilka szczegółów.

Bardzo się cieszę. Zeznania panów rzuciły nowe światło na to morderstwo.

— Na dwa morderstwa! — poprawił Terence. — Bądźmy ściśli, panie inspektorze.

— Przypuszczacie panowie, że Pierriego i Browna zamordował ten sam osobnik?

— Nie ulega wątpliwości.

— A Pierri uciekł z Laleczką. Jeśli uciekł, był z nim w kontakcie, był jego, że tak powiem, współtowarzyszem. A Joe Brown przyjechał w celach wręcz odmiennych. Jak to powiązać?

— Od tego jest policja.

— Pollicja wyciąga więc taki wniosek: Pierri był w porozumieniu z wami, zdradził Laleczkę i poniósł śmierć w akcie zemsty. Czy tak?

— Chyba tak. Jesteśmy tego samego zdania.

— Bardzo się cieszę, że zgadzamy się w tym względzie. Czy Laleczka nie miał więcej towarzyszy?

— Był jeszcze Brooke.

— Czy też maczał ręce w napadzie na bank?

— Laleczka uciekł z Illinois ze Slimem i Brookiem.

— A więc przyjechaliście panowie porozmawiać nie tylko z Laleczką, lecz ze Slimem i Brookiem?

— Przede wszystkim z Laleczką. Tamci dwaj to pętaki.

— A komu przede wszystkim wśród panów zależy na spotkaniu z Laleczką?

— Brownowi.

— Czyli że Brown to taki Laleczka, tylko wśród was, w waszej paczce.

— Brown nie uczyniłby takiego świństwa.

Terence ryknął śmiechem.

— Teraz rozumiem, co pan chce powiedzieć: że jeśli Brown był naszym szefem, to my jesteśmy pętakami jak Slim i Brooke. Doskonały dowcip. Słuchaj, Clive, to coś doskonałego.

Inspektor nie zwrócił uwagi na wybuch blondyna.

— Mamy więc wspólnego przeciwnika: Laleczkę. Panowie chcecie dostać go w swoje ręce, a my, policja, w swoje.

— Teraz zadowolimy się, jeśli dostanie się wam.

— Tylko że policja, proszę panów, pracuje powoli. Powoli i precyzyjnie. Od poszlaki do poszlaki. To wszystko, co usłyszałem od panów, bardzo mnie zainteresowało. Bruździ mi jednak ten automat znaleziony w przechowalni na dworcu.

— Ktoś wsadził Brownowi kwit do kieszeni.

— Wsadził kwit i zamordował pchnięciem noża — i to w ułamkach sekundy. Za dużo rzeczy naraz. Zwłaszcza że panowie twierdzą, iż Laleczki na parkiecie nie było.

— Może skoczył w ciemności i zabił Browna — rzekł bez przekonania brunet.

Merlin pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Uderzenie było precyzyjne. Silne, znakomicie wymierzone. Brown z tancerką znajdował się na środku parkietu, w tłoku. Nikt by się nie przepchał w tym czasie. I nie uciekł z szybkością pocisku. Tym bardziej więc podrzucenie kwitu bagażowego wydaje się niewiarygodne. Panowie chyba sami to rozumieją.

— Jestem gotowy przysiąc, że Brown nie oddawał niczego do przechowalni.

— Policja nie opiera swoich dowodów na przysięgach. W tym wypadku na przysiędze świadka, bardzo ważnego świadka. Jesteśmy racjonalistami.

— Czy pan sądzi, że gdybyśmy sprzątnęli Slima, przyslibyśmy do pana?

— Kroniki policyjne znają takie przypadki. Co panowie robili między wpół do drugiej a trzecią w nocy dwudziestego sierpnia?

— To, jak rąbnięty został Slim? — spytał Cabs.

— O, właśnie — przytaknął Merlin.

— Przed pierwszą wróciliśmy do hotelu, ja, Terence i Brown, skąd wyszliśmy następnego rana.

— A co panowie robili, w czasie gdy Brown tańczył w "Cacadou"?

Terence uderzył otwartą dłoń w biurko.

— Przypatrywałem się tłumowi. Brown przytulał się do swojej małej i zrobił do mnie oko, że idzie mu z nią jak najlepiej.

— Ja byłem z pewną panią. Mówiliśmy o wycieczce do Cannes.

Inspektor skrupulatnie zanotował oświadczenie Amerykanów.

— W którym hotelu zatrzymaliście się panowie?

— W hotelu "Tarascon".

— Czy Brown mieszkał również w tym hotelu?

— Oczywiście. Powiedziałem przecież. Wszyscy mamy alibi na okoliczność zabójstwa Slima. Brown także.

— Kiedy panowie przybyliście do Nicei?

— Pięć dni temu. To znaczy osiemnastego sierpnia.

— Wszyscy razem?

— Tak, na pokładzie "Prince de France".

— Czy panowie załatwili wszystkie formalności dewizowe?

— Oczywiście.

Blondyn nie mógł znowu powstrzymać się od głośnego śmiechu.

— Kto opuścił więzienie, ten potem dmucha na zimne. Nie mamy przy sobie ani jednego dolara.

— A w hotelu?

— Ani przy sobie, ani w hotelu. Gdy przyjeżdża się załatwić poważną sprawę, nie można się narażać z powodu drobnych nadużyć, panie inspektorze. To chyba stara prawda?

— Hierarchia ważności — zachichotał Terence.

Inspektor zamknął notes i wsłodził go do bocznej kieszeni w marynarce.

— Jakoś panowie nie bardzo się zmartwili śmiercią swego szefa.

— Każdy kiedyś umrze! — rzekł sentencjonalnie Terence.

— Czy spodziewacie się panowie, że Laleczka pokusi się i o zamach na wasze życie?

Brunet zapalił pierwszego papierosa, mimo że od dobrej chwili bawił się pudełkiem chesterfieldów.

— W każdym razie nie zamierzamy uciekać.

— Jesteśmy przecież pod opieką policji francuskiej — zaśmiał się blondyn. — Nic nam chyba nie grozi.

Inspektor rozłożył ręce.

— Postaramy się otoczyć panów odpowiednią opieką.

— Czy mamy to rozumieć, że będziemy mieli aniołów stróżów?

— Policja nie zdradza swoich metod postępowania.

— To bardzo nieprzyjemne — rzekł Terence — być stale śledzonym.

— Może znajdziemy inny sposób — odpowiedział inspektor z zagadkowym uśmiechem.

Brunet wstał z krzesła i rzekł znacząco:

— Przypominam panu, że jesteśmy obywatelami obcego państwa.

— Ach, doskonale o tym pamiętam. Jak długo zamierzają panowie przebywać w Nicei?

— Tego jeszcze nie wiemy.

— No cóż — powiedział inspektor — nie mamy sobie na razie nic więcej do powiedzenia.

Sądzę jednak, że spotkamy się jeszcze nieraz. I przyrzekam panom, że dołożę wszelkich starań, aby Laleczka, czy ktoś, kto rzeczywiście zabił Browna i Slima, został wykryty.

— Mamy nadzieję.

— A ponieważ nie wierzę w cuda, jestem przekonany, że morderca był wśród gości w

"Cacadou"! Trzeba go tylko wyłowić.

Brunet kiwnął głową na znak, że zgadza się ze zdaniem inspektora.

— Oczywiście. I na pewno widzieliśmy go wszyscy trzej.

— Trzej? — inspektor udał zdziwienie.

— Pan też go widział. Siedział pan przecież w towarzystwie dwóch kobiet.

— A jedna z nich, ta jaśniejsza blondynka, warta grzechu — uśmiechnął się Terence. — Gdzie pan znalazł taką bombę?

— To moja tajemnica — odparł Merlin, żegnając Amerykanów. — Do widzenia panom. Na razie odbyło się, jak panowie widzicie, bez międzynarodowego konfliktu. Piękna Nicea służy panom swoimi urokami.

Gdy Amerykanie wyszli z gabinetu, inspektor połączył się z pułkownikiem Renaud, składając mu suchą relację z przeprowadzonej rozmowy. Stary kazał natychmiast porozmawiać z Interpolem i zażądać bliższych danych o gangu Browna i napadzie na bank w Illinois.

Prawie jednocześnie otrzymał kablogram z policji paryskiej, która donosiła, że Pierri i Candy mieszkali przed rokiem w Paryżu, w hotelu "Negresco", przy ulicy Raspail. Żaden z nich nie popadł w jakikolwiek konflikt z policją.

VIII

Alain Carpeau był wytrawnym specjalistą od spraw walutowych. Falszywe banknoty, trefne dewizy oraz wszelkie operacje czarnej giełdy tropił z instynktem psa policyjnego. W swej pracy na usługach nicejskiej prefektury ciągle jeszcze tkwił na niezbyt wysokim szczeblu, ale zdaniem kolegów miał przed sobą przyszłość. Ogólnie wiadomo było, że prócz inteligencji posiada talent i dużą cierpliwość. Z każdego, nawet najkrótszego urlopu wracał z nowym zapałem i nowym zasobem pomysłów, zjednując sobie coraz więcej uznania przełożonych. Każdy ambitny detektyw od zarania kariery czeka na tę szczególną sposobność, która pozwoli mu wreszcie wypłynąć na szersze wody. Alainowi Carpeau nieczęsto zdarzały się zlecenia w sprawach związanych z morderstwem; afera, w której w ciągu trzech dni padły aż trzy trupy, i to w scenerii zgoła fantastycznej, stanowiła nie lada gratkę nawet dla starego i sytego sławy działacza na niwie kryminalnej — cóż dopiero dla młodego funkcjonariusza. Pułkownik Renaud cenił u pracowników skromność, Merlin pozbawiony był uczucia zawiści. To, że inspektor węszył w ostatnich wypadkach wątek dolarowy i powiązania z kasynem — dawało Carpeau poważną szansę.

Jadąc tego ranka do Monte Carlo wkraczał niejako na drogę, która u kresu mogła mieć upragniony cel. Z naczelnym detektywem kasyna, Blockiem, stykał się już niejednokrotnie, jednakże nigdy dotąd ich rozmowy nie toczyły się wokół tak poważnego zagadnienia.

Wytworny Block, pozostający z policją francuską w nienagannych stosunkach, przyjął wysłannika prefektury w uroczystym, wspaniale umeblowanym gabinecie.

— Jakie nowe kłopoty sprowadzają pana do naszego szczęśliwego kraju? — spytał uprzejmie. — Niedawno miałem zaszczyt gościć pańskiego starszego kolegę, pana Merlin. Z dalszego biegu wypadków w Nicei wnoszę, iż dzisiejsza pogadanka dotyczyć będzie tej samej materii — uśmiechnął się nieznacznie.

Carpeau spojrział na Blocka z uznaniem.

— Tak, proszę pana. Chodzi o Sergiusza Woschynsky'ego. Czy ten osobnik jest panu znany?

— Do pewnego stopnia.

— To znakomicie. Polecono mi udzielić krótkich wyjaśnień. Zanim zdarzyły się trzy tajemnicze morderstwa, Woschynsky wpadł w oko policji jako domniemany waluciarz. Przy sposobności wyszło na jaw, że przyłapane dolary pochodzą z tzw. czarnej serii, z dawna zanotowanej w rejestrach policyjnych jako łup pewnego napadu na bank w Stanach Zjednoczonych. Sprawa stara, zrabowane banknoty mogły już przebyć niejedną drogę, ponadto Woschynsky tłumaczył się gęsto i zapewniał, że padł ofiarą fałszywego donosu; kartotekę ma czystą, jednym słowem sprawa przedstawiała się mętnie. Aż tu nagle w Nicei dzień po dniu jakaś zbrodnicza ręka pozbawia życia trzech mężczyzn, w tym ostatni zamordowany jest amerykańskim turystą. I proszę sobie wyobrazić, że w trakcie wstępnego badania pada nazwisko Woschynsky'ego. No to już, przyzna pan, trochę gorzej i zaiste dziwny zbieg okoliczności. Amerykanin, skradzione w Ameryce dolary, gangsterskie metody z rozpylaczem i sprężynowym nożem, a w tym wszystkim szanowany pan Sergiusz Woschynsky, rosyjski przybłęda, impresario trzeciorzędnych gwiazdek kabaretowych. Inspektor Merlin, który prowadzi to trudne śledztwo, przysłał mnie do pana, ponieważ Woschynsky jeszcze przed śmiercią Pierriego i Candy'ego zeznał, że jego sytuacja finansowa od lat układa się w zależności od wyników gry w Monte Carlo. Twierdzi on przy tym, że dzięki umiarkowanej metodzie wygrywa w ciągu każdego sezonu sumę wystarczającą mu na całoroczne utrzymanie. Udzielając panu, panie Block, powyższych informacji, pozwalam sobie prosić o możliwie szczegółowe dane o rzeczonym osobniku — zakończył służbiście Carpeau.

Milcząc czekał na słowa starszego pana, który w zamyśleniu tarł dłonią idealnie wygolony policzek.

— Jak wiadomo, pamięć mi dopisuje — przemówił wreszcie Block. — Powiedziałbym nawet, że dopisuje mi wyjątkowo.

— Tak jest — podchwycił natychmiast Carpeau. — Nicejska prefektura miała możliwość niejednokrotnie przekonać się, że posiada pan pamięć fenomenalną.

Block mówił dalej:

— Zmierzam do tego, że nawet przy fenomenalnej pamięci nie mogę znać wszystkich gości kasyna z imienia i nazwiska, bo na ogół nie przedstawiają mi się. Skoro jednak na dźwięk "Sergiusz Woschynsky" od razu oświadczyłem, że właściciel wymienionego nazwiska jest mi do pewnego stopnia znany — to dowód, że ów człowiek należy albo do szczególnie częstych, albo szczególnie starych gości naszej instytucji. Zeznanie Woschynsky'ego, jakoby grywał w ruletę powściągliwie, jest niestety stuprocentową prawdą. Od osiemnastu lat stawia wyłącznie na rouge et noir i zawsze tylko jeden szton. Tak, panie, osiemnaście lat z jedną dłuższą przerwą, zdaje się dwu_ czy trzyletnią. Siedzi on przy stole godzinę, po czym nieodwołalnie wychodzi. Gdyby większość naszych klientów miała podobne usposobienia, kasyno poszłoby z torbami. Taki gracz zawsze w rezultacie wygrywa, tylko, rzecz jasna, niezbyt dużo. Krupierzy z duszy i serca nienawidzą tych ciułaczy, zasiadających codziennie przy zielonym stole ze spokojnym

obliczem i małoduszną koncepcją. Sergiusz Woschynsky od osiemnastu lat jest niewzruszony w swoim rouge et noir, nigdy nie zamarzyła mu się wygrana wyższa od podwójnej stawki. — Block na moment zawiesił głos, potem sam sobie zaprzeczył: — Nie. Otóż nie. Raz mu się zamarzyła i sądzę, że fakt, który za chwilę przytoczę, wpłynie na nicejskie dochodzenie. Mniej więcej dziesięć dni temu, dokładną datę można ustalić, Woschynsky pierwszy raz od osiemnastu lat złamał zasadę i postawił na numer. W rozmowie z panem nie muszę chyba podkreślać sensacyjności takiego zrywu. Numer. Najwyższa wygrana i najmniejsza szansa. Ten groszowy hazardzista postawił na siódemkę i... wygrał, a następnie całą wygraną znowu postawił na tę samą cyfrę i znowu wygrał. Trudno dać wiarę, ale wygrał i po raz trzeci. To jest właśnie prawdziwa passa, passa, na którą czeka się przez całe życie. Wokół Woschynsky'ego zaczęli gromadzić się ludzie. Na sali zapanowała cisza. Zdenerwowany krupier przynaglał. Wtedy Woschynsky najspokojniej w świecie całą stertę sztonów rzucił po raz czwarty na liczbę siedem. Szereg osób pospiesznie obstawiło siódemkę. Krupier puścił w ruch tarczę. I wie pan, co się stało?

— Wygrał po raz czwarty.

— Nic podobnego. Przegrał. Krupier, stary pracownik kasyna, złamał dyscyplinę i parsknął śmiechem. Wówczas Woschynsky powiedział: "Nie rozumiem, czemu pan się tak cieszy? Straciłem tylko jeden szton z własnych pieniędzy, nic się nie zmieniło. Jestem biednym emigrantem i nie stać mnie na subwencjonowanie państwa Monaco. Chciałem wam po prostu udowodnić, że nie mam duszy sklepikarza, o co od lat mnie podejrzewacie. Mój ojciec Paweł Sergiejewicz Woschynsky — wymówił to nazwisko trochę inaczej — w roku 1912 rozbił bank w Monte Carlo, a w roku 1913 przegrał siedem folwarków. Siedem. Dlatego stawiałem na siódemkę". Powiedziawszy to, opuścił salę gry. Doniesiono mi, że później w pobliskiej restauracji uczył orkiestrę dzikich melodii i tańczył solo jakiś wschodni taniec z przysiadami. Tyle wiem o Sergiuszu Woschynskym.

— Bardzo panu dziękuję — rzekł Carpeau.

— Zaraz, niech pan zaczeka. Po tym niezwykłym zdarzeniu odwiedził kasyno już trzykrotnie, grając według swej z dawna ustalonej metody. Czy kwota, jaką Woschynsky wynosi corocznie z Monte Carlo, starcza mu na utrzymanie — nie mogę wiedzieć, bo nie znam stopy życiowej tego człowieka. Zapewniam pana jednak, że gdyby to istotnie było prawdą, Woschynsky nie stanowiłby wyjątku.

— Tak — zgodził się grzecznie Carpeau.

— W każdym razie na miejscu policji nie lekceważyłbym incydentu, który przytoczyłem panu. Gdy ktoś po osiemnastu latach decyduje się zademonstrować tak efektowny gest, to, moim skromnym zdaniem, musi mieć powody.

— Oczywiście.

— Realne albo psychologiczne — zakończył detektyw Block.

Carpeau sięgnął do wewnętrznej kieszeni w marynarce.

— To jest fotografia zamordowanego Joego Browna. Czy ten człowiek był w kasynie? Block w skupieniu oglądał odbitkę z legitymacji.

— Nie przypomina pan sobie? — przerwał Carpeau przydługie milczenie Blocka.

Block odpowiedział chłodno:

— Tak. Nie przypominam sobie. Nie mogę sobie przypomnieć, czy był tu dwa czy trzy razy. Wydaje mi się, że trzy. Zresztą grał krótko, przegrał niewiele, zachowywał się hałaśliwie razem ze swoimi dwoma towarzyszami i przez cały czas zaczepiał kobiety. Amerykanin, jakich wielu. Nic podejrzanego nie zauważyłem.

— Ogromnie jesteśmy panu zobowiązani za uprzejmość — powiedział Carpeau wstając.

— Bardzo mi było przyjemnie — Block wyciągnął dłoń na całą długość ręki, jak dobrze wychowany Anglik.

Carpeau wracał do Nicei pogrążony w myślach. Nim spostrzegł się, wjeżdżał już w granice miasta. Zatrzymał samochód przy placu Wilsona. Zdecydowanym krokiem wszedł do kiosku z telefonem i nakręcił numer prefektury.

— Z inspektorem Merlin! — zawołał niecierpliwie. — Mówi Carpeau.

— Jak się masz, Carpeau — usłyszał pogodny głos Merlina.

— Wracam z Monte — meldował Carpeau. — Nic szczególnego, ale mam pewien pomysł. Dzwonię do pana, bo chciałbym uzyskać aprobatę. Jest godzina pierwsza, o tej porze Woschynsky siedzi w "Stylowej". Czy pozwoli mi pan, inspektorze, zamienić z nim kilka zdań po linii głównego śledztwa? Wiem, że wkraczam w nie swoje kompetencje... głupio mi, ale... — zmieszany szukał właściwych słów.

Przerwano mu:

— Grunt natchnienie, Carpeau. Życzę szczęścia!

— Dziękuję! — krzyknął Carpeau do słuchawki i po chwili zapuszczał motor.

Kawiarnia "Stylowa" mieściła się w znacznej odległości od plaży i miała dwie wyraźne cechy: bezstylowość oraz dobrą klimatyzację, dzięki której wewnątrz wypełniał miły, orzeźwiający chłód. Carpeau poprosił przy bufecie o sok z pomarańczy, wychylił szklanekę duszkiem, potem dopiero rozejrzał się po salce. Utknął na wbitym w niego wzroku Woschynsky'ego. Wymienili ukłony. Carpeau zbliżył się do stolika.

— Dzień dobry. Dobrze, że pana spotykam. Kawa! — rzucił w stronę przechodzącego kelnera.

Woschynsky milczał.

— Wlecz się ta dolarowa chryja jak stara kobyła. Teraz dopiero się zagmatwała.

Woschynsky dalej milczał. Jego lewy policzek drgnął w ulotnym skurczu. Na gładkiej twarzy, z pewnością wbrew woli, występowały coraz ostrzej ciemne, regularne wypieki. Wyglądał najwyżej na czterdzieści lat, lecz Carpeau znał dobrze jego dane osobiste i wiedział, że Woschynsky'emu stuknęła właśnie pięćdziesiątka.

Nieźle się facet trzyma — pomyślał nie pierwszy raz i w podanej mu kawie jał starannie mieszać cukier.

Teraz milczeli obydwoj; tak upłynęły dwie lub trzy minuty. Woschynsky zabębnił palcami po szklanym blacie — nie wytrzymał.

— Zagmatwała się?

— Aha. Z powodu zeznania Colibri.

Woschynsky szybko wzruszył ramionami.

— Bzdura.

— Może i bzdura — podjął ugodowo Carpeau. — W każdym razie będzie pan przesłuchiwany przez inspektora Merlin.

— Przez kogo? — nie dosłyszał Woschynsky.

— Przez Merlina. Merlin prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni dokonanej na osobach Pierriego, Candy'ego i Browna. Nawiasem mówiąc, zbrodnię na Candy'm policja trzyma z pewnych względów w tajemnicy.

— Przecież ja ich nie zamordowałem — roześmiał się nerwowo Woschynsky.

— No... zapewne. Ale pan dobrze znał Candy'ego i... jednak nie zgłosił się pan jako świadek po jego zabójstwie.

— A cóż to? Wszyscy znajomi każdego zamordowanego winni się zgłaszać jako świadkowie? — zachnął się Woschynsky. — Pierwsze słyszę. Mogłem wcale o tym nie wiedzieć.

— Ale pan jest kluczowym świadkiem, panie Woschynsky. I poza tym wiedział pan. Sergiusz Woschynsky, świadek koronny! — zakpił Carpeau.

Szkarłatne plamy na obliczu Woschynsky'ego zgasły.

— Nie rozumiem?

— Pan posiada dolary, które były własnością Candy'ego.

— Wypraszam sobie podobne insynuacje.

— Ja panu powiem więcej. Część tych dolarów wpłynęła za pana pośrednictwem do kieszeni niejakiego pana Privet, właściciela i dyrektora nocnego lokalu "Cacadou", w zamian za zaangażowanie pieśniarki Colibri łącznie z jej niebezpiecznym programem. Zgadza się?

Carpeau wyjął z kieszeni zieloną paczkę, długo w niej przebierał, wreszcie trafił na odpowiedniego papierosa, poszukał zapalek, zapalił i kilkakrotnie zaciągnął się.

— Chciałem panu pomóc — powiedział łagodnie. — Operacje dolarowe są naturalnie przestępstwem, ale doprawdy błahym w porównaniu z poszlaką dotyczącą udziału w zbrodni. Jak wiadomo, jestem specem od wykroczeń walutowych, niektóre drobiazgi dają się zatuszować, sprolongować, inne można złagodzić... No tak, no tak. Niech się pan skupi, panie Woschynsky, i niech pan nie będzie tak strasznie podszyty tchórzem: wyłuszcze panu moją propozycję. W zamian za daleko idącą wyrozumiałość odnośnie do pewnych, bynajmniej nie francuskich, asygnat, którymi posługiwał się pan chętnie w ostatnich czasach — usłyszę od pana relację o przebiegu pańskich kontaktów z Candy'm.

Woschynsky z wolna tajał, na jego twarzy zakwitł nawet wąty uśmiech.

— Pan chce doskoczyć do tego śledztwa? — zapytał. — Znudziło się tropienie małych kanciarzy i szulerów?

Carpeau spojrzał na swego rozmówcę z zainteresowaniem.

— Nie grzeszy pan odwagą, ale trudno odmówić panu pewnej inteligencji. Słucham więc. Woschynsky, pochylony nad stolikiem, mówił ściszym głosem:

— Candy'ego poznałem bliżej miesiąc temu. Przedtem również spotykaliśmy się, ale tylko przelotnie, zwykle w wagonach kolejowych, jak to bywa wśród komiwojażerów. Musiałem mu kiedyś wspomnieć, że zajmuję się także dorywczo pośrednictwem w angażowaniu artystek: tancerek i śpiewaczek kabaretowych, bo przed miesiącem w tej właśnie kawiarni zagadnął mnie na ten temat. Nie bardzo pamiętam, jak do tego doszło, zdaje się, że napomknął coś żartem o swojej samotności i spytał, czy nie mógłbym

poznać go z jakąś ładną, wolną kobietą. Przypadkowo miałem przy sobie kilka fotografii początkującej piosenkarki, Joanny Bartin... Pokazałem więc te zdjęcia, też naturalnie żartem...

— Okazuje się, że jest pan i rajfurem.

— Przy złej woli wszystko można w człowieka wmówić — obraził się Woschynsky. — Najlepiej zamilknę.

— Dobrze już, dobrze. Okropnie jest pan drażliwy.

— Bo pochodzę z bardzo dobrej rodziny. Mój ojciec był generałem; wygnała go z kraju rewolucja. Przez pańskie dowcipy straciłem wątek.

— Pokazał pan Candy'emu zdjęcia.

— Właśnie. Pokazałem mu trzy czy cztery fotografie Joanny Bartin, a on z wrażenia aż się zmienił na twarzy. Z miejsca nabrał wigoru i jak nie zacznie mnie molestować, męczyć, przypierać do muru. Musiałem się w końcu zgodzić. Joasia występowała wówczas w dosyć podrzędnym tinglu paryskim i miała kontrakt na cztery tygodnie. Pojechaliśmy więc z Candy'm do Paryża. Co będę panu dużo opowiadał, zakochał się jak sztubak. Postanowił tę dziewczynę wylansować, obiecał nie szczędzić wkładów, wyrobić w Nicei engagement...

— Zaraz, panie Woschynsky, coś mi się nie zgadza. Przecież Colibri nie zna Candy'ego.

— Spodziewam się, że nie zna. A pan myślał, że ja jestem frajer? Pokazałem mu panienkę na parkiecie i stało na tym, że pozna ją, kiedy już wszystko w Nicei będzie przygotowane. Wtedy — proszę bardzo. Najpierw forsa, a potem miłość. Joannie też ani słowa nie pisałem. Ostatecznie pośrednictwo przy zawieraniu kontraktów to mój zawód, źródło utrzymania, że tak powiem. Candy był facetem ładowanym, tym bardziej postanowiłem mieć się na baczności. Ci ładowani zawsze w końcu człowieka wykiwają. Pilnowałem Joanny jak oka w głowie, żeby się do niej nie zbliżał za moimi plecami. Ale Candy był dosyć lojalny, tak przynajmniej wtedy sądziłem. Robił wrażenie starego sentymentalnego osła. Cieszył się, jakby mu kto w kieszeń napluł: wymyślił piosenkę, chwyt z reflektorem, pseudonim "Colibri", kazał wydrukować reklamowe anonsy i plakaty na mieście, wreszcie nad wyraz solidnie odliczył forszę, kupę forsy — Woschynsky zacukał się, ale przebrnął: — w dolarach. Później wyszło czarno na białym, że to ja jestem osłem, że zrobił ze mnie narzędzie jakichś bandyckich machinacji. W głowie mi się zakręciło od tych jego pieniędzy. Nigdy nie ubiłem tak korzystnego interesu. W ogóle te moje interesy, pożałuj Boże... — machnął ręką. — Właściwie pierwszy raz...

— I czując dolarki w kieszeni zadał pan szyku w Monte Carlo? — wtrącił Carpeau.

Domyślność detektywa sprawiła Woschynsky'emu niespodziewaną satysfakcję.

— A pewnie, że zadałem. Poznali pana! Przez tyle lat mieli mnie za śmieciucha, wreszcie zobaczyli wysoką grę.

— Niech pan idzie dalej, bo dosyć mi się spieszy — Carpeau przywołał Woschynsky'ego do porządku.

— Na czym to ja stanąłem? Aha. Odbyła się inauguracja programu w "Cacadou", na którą Candy ku memu zdumieniu nie przyszedł. Następnego dnia powiedział mi przez telefon, że jest chory. A ja i w to uwierzyłem. — Głęboko westchnął.

— Niech pan nie robi z siebie naiwnej ofiary. Mimo dolarów Candy'ego zainkasował pan

też coś niecoś w rodzimej walucie od Colibri.

— To dla niepoznaki. Później zamierzałem oddać. Z Joanną mam swoje interesy, które nic nikogo nie obchodzą. Kiedy Candy'ego machnęli z automatu, zacząłem się niejednego domyślać...

— Domyśły niech pan zostawi mnie i inspektorowi Merlin. Dobrze? — roześmiał się Carpeau. — Na dzisiaj starczy.

W kilka minut później jechał do prefektury.

IX

Hotel "Tarascon" wznosił się przy bulwarze Carnota naprzeciw parku Lympia. Inspektor Merlin, zagorzały miłośnik piękna Nicei, z wielką przyjemnością zauważył, że właściciel hotelu wybrał wspaniałe miejsce dla swej posesji. Palmy, rododendrony i magnolie otaczały nowoczesny budynek, doskonale harmonizujący z urodą przyrody.

Jean Cottard zawiódł natomiast nadzieje inspektora. W żadnym wypadku nie można go było uznać za stosowne dopełnienie całości obrazu. Był niski, gruby, o krwistej twarzy sangwinika, i mówił ochrypniętym głosem kaprała żuawów.

Kiedy Merlin oznajmił mu, że jest urzędnikiem policji i prosi go o kilka wyjaśnień — wpadł w złość i przez długą chwilę nie pozwolił dojść inspektorowi do słowa, miotając obelgi na nowe porządki, na podatki, na ohydne stosunki policyjne w kraju. Merlin cierpliwie przeczekał wybuch właściciela hotelu i przystąpił do swych obowiązków.

— Ilu Amerykanów mieszka obecnie u pana?

Cottard z wściekłością rzucił na ladę książkę hotelową. Inspektor, nie przejmując się zbytnio rozsierdzonym Cottardem, zabrał się do przeglądania spisu. Napotkał od razu nazwiska Cabsa, Browna i Terence'a. Ponadto w hotelu mieszkało jeszcze trzech Amerykanów, z których jeden wyprowadził się dzień przedtem. Wszyscy zameldowani byli w dniu osiemnastym sierpnia, to znaczy w dzień przybycia do portu statku pasażerskiego "Prince de France".

— Czy wszyscy ci panowie znają się ze sobą, to znaczy, czy odnosi pan wrażenie, że nie są to tylko przypadkowi znajomi ze statku?

— Nie wtrącam się do spraw moich klientów — odparł z wrodzoną wyniosłością właściciel.

Merlin postanowił zastraszyć nieprzejednanego Cottarda.

— Sam pan powinien zrozumieć — powiedział obojętnym tonem — że nie przyszedłem tu dla przyjemności rozmowy z panem. Idzie mi o pewne dane, które jeśli będą niepomyślne dla pana, mogą spowodować zamknięcie pańskiego pięknego hotelu.

Cottard stanął jakby rażony piorunem. Chwilę łapał powietrze, wreszcie z trudem wyszeptał:

— Co to znaczy?

— To znaczy, proszę pana — mówił dalej inspektor z niewzruszonym spokojem — że w hotelu pana dzieją się rzeczy, które w tej chwili szalenie interesują policję. Może pan jest niewinny, wtedy oczywiście nie poniesie pan żadnej szkody, ale jeśli śledztwo wykaże co innego? Trudno — inspektor pokiwał głową — interes naszej ojczyzny musimy przedłożyć nad interes jednego z jej obywateli, i to w dodatku zamieszanego w bardzo poważną aferę.

Merlin nie lubił tego rodzaju chwytów, lecz wiedział, że z człowiekiem pokroju Cottarda musiałby stracić dużo czasu, nim zdołałby wydusić z niego coś konkretnego.

Cottard złapał się za serce i oparł o kontuar hotelowy. Patrzył na inspektora wzrokiem pełnym nienawiści i zarazem trwogi.

— Ja nic nie wiem. Jestem jak każdy dobry Francuz. Uczciwie zarabiam na życie.

— Proszę zatem nie przeszkadzać mi w pracy. Czy mam powtórzyć panu moje ostatnie pytanie?

Właściciel zaprzeczył ruchem głowy. Namyślał się przez parę minut.

— Oni wszyscy się znają. To znaczy zachowują się, jakby się od dawna znali. Klepią się po plecach i opowiadają sobie stale dowcipy.

— Czy panowie Cabs i Terence, według pana, są przyjaciółmi?

Cottard spiesznie potwierdził.

— Czy zaliczyłby pan jeszcze kogoś z Amerykanów do ich bliższych znajomych?

— Wszyscy się znają.

— To już słyszałem. Czy pan Brown albo Thomson na przykład?

— Dzisiaj pan Thomson nazwał pana Terence'a najrozkoszniejszym chłopcem na świecie.

— A dokąd wyprowadził się pan Stevenson? — spytał Merlin, zaglądając do książki meldunkowej.

— Nie wiem.

— A czy on również klepał po plecach swoich rodaków?

— Klepał.

— Dlaczego się wyprowadził?

— Miał bardzo nasłoneczniony pokój. Innego nie miałem, a on nie znosił słońca w pokoju.

— Czy nie zaproponował pan żadnemu z gości zamiany pokoi? Są ludzie, którzy szukają specjalnie słonecznych pokoi.

Cottard złapał się za głowę.

— Jestem dobrym fachowcem. Chciałem, ale pan Stevenson wynajął już przedtem pokój w innym hotelu.

— Czy mógłby mi pan pokazać ten pokój?

— Niestety. Wynajęłam go dzisiaj.

— Komu?

Cottard założył okulary, które nosił w kieszonce jedwabnej beżowej marynarki, i odczytał nazwisko ze spisu.

— Pani Patrycji Higgins, Angielce. Właśnie wyszła przed chwilą. Ale jeśli policja...

— Nie, dziękuję. Czy panów Cabsa i Terence' odwiedzą jacyś ludzie?

— Nie.

— Czy chodzą wszędzie razem?

— Nie. Siedzą tylko razem przy stole i mówią do siebie po imieniu. Stąd wywnioskowałem, że są przyjaciółmi.

— Czy wśród bagaży tych panów nie zauważył pan skrzynki z naklejkami fabryki konserw?

— Spytałem boya — nacisnął dzwonek i za sekundę zjawił się młody człowiek, ubrany w

zielony mundur.

— Jakubie, czy wśród bagaży tych Amerykanów, którzy przyjechali, znajdowała się skrzynka z nalepkami fabryki konserw?

Boy wznosił oczy na sufit i zagryzł wargi. Chciał wykazać się dobrą pamięcią przed pracodawcą.

— Była — powiedział naraz uszczęśliwiony, że nie zawiódł zaufania. — Była, nawet się zastanawiałem, że tacy eleganccy panowie wożą ze sobą drewnianą skrzynkę, ale pomyślałem sobie tak: eleganccy panowie mają swoje wybryki, to jest, chciałem powiedzieć, swoje przyzwyczajenia, więc coś dziwnego, że przywieźli skrzynkę.

— A do którego z tych panów należała ta skrzynka? — podchwycił inspektor.

Jakub znowu powędrował wzrokiem na sufit.

— Bagaże były zabrane wszystkie razem ze statku.

— Ale wносиłeś przecież walizki do pokojów — rzekł niezadowolony z odpowiedzi boya Cottard.

— Tak, wnosiłem. Oczywiście, że wnosiłem, proszę pana. Od tego jestem.

— Więc do którego numeru wniosłeś skrzynkę? — krzyknął właściciel "Tarasconu".

Boy przyłożył dłoń do czoła i widać było, że za wszelką cenę stara się przypomnieć dalsze losy owej skrzynki.

— Pomogę panu — wtrącił się inspektor. — Czy to nie był przypadkiem pan Terence? Jakub uśmiechnął się.

— Ten wesoły? Nie.

— Może pan Cabs albo pan Brown?

Boy wsadził palec do ust i zmarszczył czoło.

— Pan Cabs, pan Cabs. O, przypominam sobie, że pan Cabs wziął sam swoje walizki na górę. Może rzeczywiście on zabrał skrzynkę, bo nie przypominam sobie, żebym ja ją niósł. Była tu — pokazał miejsce w hallu, gdzie zwykle goście składają bagaże przed zanieśieniem ich do pokojów — to na pewno, przysięgnę, proszę pana, że była. Ale ja jej nie niosłem — poruszył kilkakrotnie głową — widocznie pan Cabs. Spieszył się i nie chciał czekać, aż ja dostarczę mu bagaże do pokoju.

— Czy ta skrzynka była ciężka? — spytał inspektor.

— O, ciężka. Gdy znosiłem ją z samochodu, aż ugiąłem się pod nią.

— Czy bardzo ciężka? Chodzi o to, czy sprawiała wrażenie, że wypełniona jest całą konserwami?

Boy odparł bez wahania:

— Bardzo ciężka. Aż ugiąłem się pod jej ciężarem, proszę pana.

— Dziękuję! — rzekł inspektor i zwrócił się do Cottarda. — Widzi pan, czegoś się dowiedziałem.

— Idź już — Cottard odprawił boya, który szurnał nogami i puścił się biegiem po schodach na górę. — Czy pan już skończył?

— Jeszcze parę pytań.

— Jestem do pana dyspozycji — odpowiedział grzecznie Cottard, uspokojony zachowaniem inspektora.

— Czy pan Brown wychodził dzisiaj z hotelu?

— Brown? — właściciel "Tarasconu" zastanowił się. — Nie widziałem go jeszcze dzisiaj. Ale nie było mnie od rana. Załatwiałem dostawy.

— A kiedy panowie Terence i Cabs wrócili do domu w dniu wczorajszym?

— O, to przypadkiem wiem! — powiedział Cottard podnosząc palec do góry. — Wrócili dzisiaj nad ranem. Która mogła być wtedy? Jakaś piąta rano.

— Czy wrócili razem?

— Razem.

— Mówił mi pan, że nigdy razem nie chodzą.

— Dzisiaj wrócili razem. Pan zresztą pytał, czy chodzą wszędzie razem.

Odpowiedziałem, że nie, bo zwykle wychodzą osobno. A ja za swoimi gośćmi nie chodzę. Nie jestem urzędnikiem policji, panie inspektorze — z każdym zdaniem Cottard podnosił głos, coraz bardziej zirytowany. — Ja prowadzę elegancki, znany na świecie interes i słynę z dyskrecji.

Merlin przymrużył szelmowsko oko.

— Dyskrecja może czasem zgubić człowieka.

— Mnie nie. I proszę mnie więcej nie straszyć. Powiedziałem, co do mnie należało. Ja gości swoich nie będę szpiegował.

— Tego nie wymagam. Proszę jednak, aby pan zachował dla siebie treść naszej rozmowy.

W tym momencie do hallu weszli Cabs i Terence. Na widok inspektora Terence otworzył szeroko ramiona.

— Jakżeż mi miło, panie inspektorze.

Merlin zdążył jeszcze powiedzieć do Cottarda:

— Nie musi już pan nic dla siebie zachowywać — i oddając ukłon rzekł do Amerykanów:

— Mieszkacie, panowie, w bardzo pięknym hotelu. Zazdroszę.

— Kto ma pieniądze, ten ma wszystko — zaśmiał się Terence. — Jak się pracuje? Czy wszystko gra?

— Jak do tej pory nieźle. Właśnie gwarzyliśmy sobie z panem o tym i owym — wskazał na Cottarda, który uśmiechał się uprzejmie do swych gości.

— Dobry chłop z niego — oświadczył Terence klepiąc właściciela hotelu po ramieniu. — Prowadzi dobry interes.

— Bardzo mi miło to słyszeć — skłonił się Cottard.

— Przyszedł pan zapewne obejrzeć pokój Browna — powiedział Cabs.

— Pana Browna nie ma — rzekł Cottard.

— I nie będzie — westchnął Terence wznosząc oczy ku górze.

— Wyjechał? — zaniepokoił się Cottard.

— I to dość daleko, mój miły — odpowiedział Terence zanosząc się od śmiechu. — Tak daleko, że stamtąd się już nie wraca.

— Nie rozumiem — zająknął się właściciel "Tarasconu" — co... co... się stało?

Merlin uważał za stosowne poinformować Cottarda o zgonie Joego Browna. Cottard patrzył na nich z przerażeniem. Wyciągnął chustkę i ocierał czoło, zroszone nagle potem.

— Rachunek się zapłaci — oznajmił Cabs. — Jesteśmy jego przyjaciółmi.

— Więc pan, więc pan dlatego? — Cottard utkwiał wzrok w inspektorze.

Merlin skinął głową potakująco.

— Czemu pan wcześniej... to dla mnie prawdziwy cios... mój gość... w ten sposób... co sobie pomyśli o nas Ameryka?

— Czy pan odwiedzi pokój Browna? — spytał ponownie Cabs.

Merlin włożył ręce do bocznych kieszeni marynarki wystawiając na zewnątrz kciuki.

— Nie uważam tego za celowe.

— Policja normalnie przeprowadza rewizję w pokojach zajmowanych przez ofiary morderców.

— O ile nie uczynili tego przedtem inni.

Terence zaśmiał się głośno.

— Proszę pana — zwrócił się do Cottarda — czy który z nas brał klucz do pokoju Browna?

— W czasie mego dyżuru nie — powiedział Cottard.

— Może pan wezwie portiera, który miał wczoraj służbę — zaproponował Terence.

— Pozwoli pan, że będę czynił to, co uważam za stosowne — odpowiedział inspektor Merlin z naciskiem.

— Naturalnie. Jakie to wszystko śmieszne, Clive. U nas taki numer by nie przeszedł.

— Panie Cabs — rzekł Merlin — czy panu smakuje tutejsze jedzenie?

— Uważam je za bardzo smaczne.

Cottard napęczniał z zadowolenia.

— Polecam naszą specjalność. Prawdziwa bouillabaisse marseillaise.

— Nie znoszę tych morskich paskudztw — odezwał się Terence. — Raz dałem się nabrać na coś takiego i przez trzy dni miałem dość. To dobre dla rekinów.

— O, przepraszam. Dajemy białe wino, szafran, oliwki. Rodowici marsylczycy wpadają w zachwyty kosztując tego przysmaku.

— Pan woli mięso? — wtrącił Merlin zwracając się do Cabsa.

Brunet przymrużył chytrze oczy.

— Ma pan zapewne jakiś ukryty cel zadając mi takie nic nie znaczące pytanie. Nie widzę jednak powodu, aby odmówić odpowiedzi. Wolę mięso.

— Czy pan przypadkiem nie wnosił do swego pokoju...? — Cottard przypomniał sobie rozmowę z boyem.

Merlin przerwał mu jednak w połowie zdania.

— Idzie o drewnianą skrzynkę z konserwami. Czy któryś z panów, przyzwyczajony do konserw mięsnych, nie przywiózł ze sobą niewielkiego zapasu tego artykułu?

Cabs i Terence wymienili spojrzenia.

— Wozić konserwy? Cóż to za bzdura!

— Dlatego pan pytał o mięso. A to śmieszna historia! — wykrzyknął Terence. — Teraz się połapałem, o co chodzi. Nie, żaden z nas.

— A może któryś ze znajomych panów?

Obydwaj Amerykanie rozłożyli jak na komendę ręce.

— Pan wybacz, ale nie jesteśmy detektywami.

— Pieskie zajęcie — dodał Terence — chodzić i niuchać. Aż mnie mdli na samą myśl, że mógłbym kiedykolwiek być detektywem.

— Są bardziej emocjonujące zajęcia — rzekł z ironią Merlin.

Terence skulił się ze śmiechu.

— Żebyś pan wiedział. Wodząc za nos innych. No, Clive, idziemy do siebie. Jestem zmęczony tym łażeniem po mieście. Czy wszystko w porządku? — spytał Cottarda, przysłuchującego się rozmowie z wielkim napięciem.

— W porządku. Miałbym jednak do panów jedną małą prośbę.

— Rachunek zapłaciliśmy z góry. Bo my, panie inspektorze, zawsze płacimy wszystko z góry. Żeby nie było potem niespodzianek. Cóż to za prośba?

— Ta Angielka skarżyła się, że panowie do późna w nocy głośno rozmawiali. Ona o dziesiątej wraca do swego pokoju, a o dziesiątej chce spać.

Terence skrzywił się niezadowolony.

— Oczywiście nikomu nie można zabronić rozmawiać. Ale pan wie, że te stare Angielki to okropne babska. Nigdy nie wiadomo, czego chcą. Prosiłbym zatem nieco ciszej, dobrze?

— Słyszysz, Clive? Gadałeś za głośno.

Cabs wzruszył ramionami.

Terence uderzył się w czoło:

— Zaraz, zaraz, panie inspektorze. Czy pan sprawdził, jakiego pochodzenia był nóż wbity w ciało Browna?

Cottard jęknął słysząc, że Brown został zabity nożem.

— Nóż był produkcji francuskiej, proszę pana — odrzekł grzecznie inspektor. — Taki nóż może pan kupić w pierwszym lepszym sklepie, panie Terence.

— Gdybym to ja miał zamiar kogoś zasztyletować, wolałbym mieć nóż wypróbowany. A w Ameryce, panie inspektorze, noże francuskich nie sprzedają. Mamy własny bardzo bogaty asortyment narzędzi, którymi można wyprawić człowieka na drugi świat. Żeby tak ładnie trafić kogoś od tyłu pod serce, trzeba potrenować.

— Pan powiedział "pod serce"? — zdziwił się inspektor. — Brown zginął od uderzenia nożem, lecz cios zadano w kark. Nastąpiło przerwanie kręgu i śmierć.

Cabs oparł się wygodnie o kontuar, tuż przy przerażonym właścicielu "Tarasconu".

Terence śmiał się przez chwilę patrząc na inspektora.

— Kogo pan buja, inspektorze. Nie nas na taki kawał. Nikt nie ryzykowałby takiego uderzenia. Łatwo się pomylić. Brown dostał w plecy, tuż pod sercem.

— W plecy? — inspektor nadal udawał zdziwionego.

— Przecież nie w serce od przodu. Brown tańczył, przytulał dziewczynę do siebie.

Zawsze mocno przytulał, bo leciał na dziewczynki jak nikt. A w plecy to tylko pod lewą łopatkę. Inspektorze, jestem w tym bardzo odcytany. Wprost pasjonuję się kryminalną lekturą.

— Ma pan rację — przyznał Merlin. — Brown zginął w sposób przez pana tak dokładnie opisany.

— Brawo! — zawołał Terence. — Jak widać, znam się na rzeczy.

— Chylę głowę, panie Terence, i do widzenia. Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia. Do widzenia, panie Cottard.

Zostawił wszystkich w hallu i słyszał jeszcze za wahadłowymi drzwiami głośny śmiech

Terence'a.

X

— Wiemy dużo, ale właściwie jeszcze nic — powiedział Merlin do Carpeau, gdy obydwaj wymienili wyniki swoich dochodzeń.

— Jedno jest pewne, Woschynsky jest zbyt wielkim tchórzem, aby mógł mieć coś wspólnego z zabiciem Candy'ego i Pierriego — oświadczył Carpeau. — Nie tu leży sedno sprawy. Woschynsky był narzędziem w ręku Candy'ego. Wydaje mi się, że Candy przygotowywał bardzo skrupulatnie jakąś akcję, którą przerwała śmierć. Candy dawał Woschynsky'emu dolary, trefne dolary. Nie wierzę, że typ w rodzaju histerycznego emigranta byłby zdolny w tym wypadku do morderstwa celem przejęcia tych pieniędzy, i to do morderstwa dokonanego bronią automatyczną. Trucizna, nóż to jeszcze by do niego pasowało. Automat pachnie Ameryką. Lecz nie sugerujmy się tym. Może ktoś chciał nas zmylić przypuszczając, że nasz tok rozumowania będzie właśnie taki. Nadto nie potrafimy udowodnić Woschynsky'emu znajomości z Pierrim.

— A jak pan zapatruje się na nagłą szczerłość tych amerykańskich gangsterów?

— Nie mam jeszcze wyrobionego zdania. W tym coś się kryje, to pewne.

Merlin zajął do swoich notatek.

— Lubię postępować według jakiejś koncepcji, którą wytyczam sobie na podstawie wstępnych danych.

Carpeau skinął głową na znak, że rozumie dobrze takie stanowisko przy śledztwie.

— Później, w miarę napływania nowych szczegółów, potrafię zmienić zdanie diametralnie, nie przywiązuję się bowiem do żadnej z przesłanek. Chciałbym, aby pan o tym wiedział, gdyż pomoże nam to przy współpracy.

— Oczywiście.

— Śledztwo obejmuje bardzo szerokie pole działania, sam nie dam rady. Renaud przyrzekł mi, że zwolni pana z innych prac i przystąpi pan wraz ze mną do tej sprawy.

— Przyznam się panu, że od dawna marzyłem, aby wyrwać się z tego walutowego młynka. Nabrałem dużego doświadczenia i sądzę, że przydam się w niejednym. I bardzo się cieszę, że będę debiutował przy panu.

— Dziękuję! Każde miłe słowo sprawia człowiekowi przyjemność. Ale do rzeczy.

Staliśmy wobec alternatywy. Jak pan już wie, mamy w tej chwili, że tak się wyrażę, dwie odnogi tej sprawy. Jedna: dwa morderstwa z automatu. Ktoś zastrzelił denatów z bliska, później upozorował zabójstwo przez postrzelenie ofiar serią z broni maszynowej. O co chodzi mordercy? Po prostu, aby wypaść spoza kręgu bliskich znajomych Pierriego i Candy'ego, a sprowadzić śledztwo na tory jakiegoś sądu czy jakiejś zemsty, która mogła zostać wykonana jedynie niepostrzeżenie i z daleka, gdyż inaczej denaci nie daliby się podejść. Morderca nie wziął pod uwagę, że wlot pojedynczej kuli wystrzelonej z bliska będzie miał zupełnie inne odchylenie aniżeli wloty kul z odległości. Ciało denatów pod siłą uderzenia serii przesunęły się, stąd serie nie zdołały poszarpać tak ciała, aby wlot pierwszej kuli zaginął w krwawej masie.

Carpeau słuchał z uwagą słów inspektora.

— Następnie znalazłem kartkę reklamującą występy niejakiej Colibri w lokalu "Cacadou". To oczywiście zainteresowało mnie w braku innych godnych uwagi śladów. Candy, u

którego znajdowała się ta kartka, czekał chyba na kogoś, gdyż na stole stały przybory do parzenia kawy i filiżanki, w tym jedna czysta, druga z na poły wypitą kawą. Zeznania świadków na okoliczność morderstwa Pierriego nie wniosły nic szczególnego. Dochodząca sprzątaczką stwierdziła, że jej pracodawca przyjmował wiele kobiet. A Woschynsky znowu oznajmił, jak mi pan powiedział, że Candy kochał się do szaleństwa w Joannie Bartin i za wszelką cenę chciał ją wylansować na znaną pieśniarkę, by prawdopodobnie uzależnić ją całkowicie od siebie. Właściciel "Cacadou", Privet, brał pieniądze od Woschynsky'ego. Nie przyznał się, gdy przeprowadzałem z nim rozmowę. Zastraszony wyzna wszystko. To pewne. Na razie to nieważne. Teraz druga odnoga. Morderstwo w "Cacadou". Amerykanin zabity nożem sprężynowym w czasie tańca. Pieśniarka Colibri i specjalny numer z reflektorem. Ucieczka wielu gości. Z zatrzymanych wypuściliśmy wszystkich. Nikt nie był wystarczająco obciążony. Cały smaczek w tym, że w czasie morderstwa ja znajdowałem się na sali. Biję się w piersi, ale nigdy nie przypuszczałem, że będę świadkiem mordu w publicznym lokalu. Alain Carpeau zapalił papierosa.

— Morderca na pewno nie wiedział, że pan siedzi na sali.

— Albo wiedział i zadrwił sobie ze mnie. Co to można wiedzieć. Na przykład ci gangsterzy, którzy przyszedli do mnie, wiedzieli, kim jestem, gdyż oświadczyli mi to w żywe oczy. Okazuje się, że jestem, niestety, dość znany.

— Jest pan sławny, panie inspektorze.

— To bardzo niewygodne — pokręcił głową Merlin. — Muszę się panu przyznać, że jeśli morderca wiedział, iż znajduję się na sali, i mimo to wykonał zbrodnię, nie jest to dla mnie zbyt przyjemne. To mnie nawet niepokoi. Może uznał, iż nie jestem godnym przeciwnikiem.

— Zaręczam, że nic nie wiedział — Carpeau próbował uspokoić inspektora, zdenerwowanego swoją konkluzją.

— To mnie trochę boli. — Merlin chwilę milczał. Carpeau uznał, że nie należy go pocieszać.

Inspektor podniósł wzrok na Carpeau.

— Ale również dodaje mi sił do pracy.

Carpeau uśmiechnął się przyjaźnie.

— Idźmy dalej — powiedział inspektor odpowiadając uśmiechem na uśmiech Carpeau.

— Zeznania złożone przez paczkę gangsterów wyglądają tak: Niejaki Laleczka wywiódł ich w pole w Illinois w czasie napadu na bank. Sam uciekł z dwoma współnikami do Francji, pozostałych złapano i odsiedzieli po cztery lata. Obecnie przybyli dokonać rozrachunku. Twierdzą, że Laleczka zamordował wszystkich trzech osobników. W czasie mordu w "Cacadou", którego ofiarą padł ich przywódca, Brown, nie widzieli wprawdzie owego Laleczki, lecz są przekonani, że to jego sprawka. Nie bardzo to się trzyma kupy. Przy zwłokach Browna znalazłem kwit bagażowy. W przechowalni dworcowej wydano mi na ten kwit skrzynkę drewnianą z nalepkami amerykańskiej fabryki konserw "Meatcomplex", a w niej owinięty szmatami pistolet automatyczny. Żadnych odcisków, żadnych znaków szczególnych. Boy hotelowy z "Tarasconu", gdzie zamieszkują Amerykanie, widział taką skrzynkę u któregoś z gości, którzy zjechali do hotelu,

przybywszy do Nicei na statku "Prince de France". Co jeszcze? Jeden z gości wyprowadził się w dniu wczorajszym z hotelu. Amerykanin, któremu, jak twierdzi właściciel "Tarasconu", nie odpowiadał zbyt nasłoneczniony pokój. To by było chyba wszystko, co wiemy, jak na razie. — Merlin odsunął nieco dalej od siebie lampę stojącą na biurku, gdyż szeroki krąg światła, jaki rzucała, raził go w oczy.

— Czy mogę zapytać o kilka rzeczy?

— Proszę, wzajemna wymiana myśli może wyłonić nowe wnioski. Powstrzymam się ze swoją koncepcją. Niech pan zadaje pytania.

Carpeau zaczął z gorliwością nowicjusza.

— Czy Candy i Pierri zostali zastrzeleni z tego samego automatu, który znaleziono w skrzynce?

— Prawdopodobnie. Kaliber jest ten sam. Byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności, gdyby znajdowały się w Nicei dwa amerykańskie automaty. I to w dodatku zamieszane w jedną sprawę.

— Co wiemy bliższego o Pierrim i Candym? Nazwisko pierwszego wskazuje na pochodzenie włoskie, drugi wygląda mi na Irlandczyka.

— Mieszkali oni przed rokiem w Paryżu. Kartoteki mają czyste.

— A przedtem? Gdzie przebywali przedtem?

— To emigranci z Ameryki.

— Emigranci z Ameryki. Kto dzisiaj dobrowolnie emigruje z Ameryki? Bywa raczej odwrotnie. To by się zgadzało z zeznaniami gangsterów.

— Interpol odpowie nam na te pytania. Oczekuję wyczerpujących wiadomości o gangu Browna.

— Co wiemy o kontakcie Candy'ego z Pierrim?

— Aha, zapomniałem panu powiedzieć o tym. Block udowodnił mi, że Pierri bywał w kasynie z człowiekiem, który według jego rysopisu odpowiadał osobie Candy'ego. Co więcej, Candy na kilka godzin przed śmiercią był w prefekturze i pragnął się widzieć ze mną. Niestety, do spotkania nie doszło.

— Czyżby coś przeczuwał?

— Trudno powiedzieć, jaki miał zamiar. Sądzę jednak, że czuł, że ziemia pali mu się pod nogami, i chciał albo pomocy, albo kogoś sypanąć. Tego już się nie dowiemy.

— To rzeczywiście pech.

— Nic na to nie poradzę. Nie było mnie w prefekturze. A chciał mówić tylko ze mną.

— Zatem wiedział, że pan prowadzi śledztwo w sprawie Pierriego.

— Tak to wygląda.

— Jak pan wyczuwa, panie inspektorze, czy to, co opowiedzieli gangsterzy, jest stuprocentowo prawdziwe?

— Myślę, że to, co powiedzieli, jest prawdą. Nie całą prawdą, lecz jej częścią. Motywy ich odwiedzin mogą być różne. Albo zamierzają w taki sposób odwrócić naszą uwagę od istoty całej afery, albo mają zamiar przy boku policji złapać Laleczkę. Trzecia możliwość — strach — nie wchodzi chyba w rachubę. Nie wyglądali na zastraszonych.

— Jeśli w ich zeznaniach tkwi duży procent prawdy, nie bardzo by nam było przyjemnie, aby Nicea była miejscem rozgrywki dwóch amerykańskich band. Pierwsze trupy już są.

Nawet jest za dużo. W mieście szumi od plotek, mimo że o Candy — zgodnie z pańskim poleceniem — prasa milczy.

— Zwykle tak bywa. Jeszcze jeden ważny szczegół. Gangsterzy nie wiedzą o śmierci Candy'ego.

— Nie wiedzą albo wiedzą.

— W każdym razie mówili o jakimś Brooku, drugim wspólniku Laleczki, jak o żywym, podczas gdy Slima, odpowiadającego Pierriemu, wymazali z grona chodzących po świecie. Zasugerowali mi, że Slim_Pierri był z nimi w kontakcie i to on spowodował ich przyjazd do Nicei, odkrywając miejsce pobytu Laleczki.

— Hm, jednym słowem cały ogień na Laleczkę — Carpeau gładził włosy palcami lewej dłoni. — Panie inspektorze, a kto zdaniem pana mógł zabić Browna w "Cacadou"?

— W interpretacji Amerykanów Laleczka, i Laleczka zemścił się również na Pierrim, który go zdradził.

— Trochę się to wszystko zgadza — powiedział Carpeau.

— Ba! — inspektor strzelił palcami.

— Jeśli Candy zastraszony śmiercią Pierriego chciał się widzieć z panem, prawdopodobnie, aby wyjawic całą prawdę, i zginął również w podobny sposób co tamten, to Laleczka urasta nam do roli krwawego bandyty, który wiedział o każdym kroku swych towarzyszy. Sprzątnął ich obu, gdyż byli dla niego niebezpieczni. Jeden przez kontakty z wrogiem z Illinois, drugi przez próbę porozumienia się z policją.

— Myślałem i o tym. Zagadnienie jednak leży w tym, czy Laleczka w ogóle istnieje? Czy nie jest wytworem wyobraźni gangsterów, postacią fikcyjną, na którą mamy zwrócić naszą uwagę, odwracając się od głównego sprawcy. A ten przez cały czas będzie realizował swoje plany. To może być gra, panie Carpeau! Gra! Nie wierzę, że gangsterzy poczuli nagle miłość do sprawiedliwości, dokonywanej naszymi rękami.

Zatem należy się zająć baczniej gangsterami.

Merlin pokiwał głową, że jest tego samego zdania.

Carpeau poskrobał się z zakłopotaniem po głowie.

— Z tego wynika, panie inspektorze, że jest ich więcej aniżeli dwóch. Jeśli dwóch zdecydowało się przyjść do nas, to wiedzą oni doskonale, że będziemy ich mieli na oku. Nie przynosi się bowiem takich rewelacji ze świadomością późniejszej absolutnej niezależności od policji. Moim zdaniem tych dwóch gang poświęcił na spalenie. Na utrzymanie pozorów i zamydlenie nam oczu. A wszystko razem wygląda mi na jakąś wielką rozróbkę, która dopiero nastąpi. Niedobrze.

— Trudno obstawić w pełni sezonu wszystkich Amerykanów w Nicei. Jest ich tu setki, jeśli nie tysiące.

— To prawda.

— Niewątpliwie słusznie pan zauważył, że tych dwóch przestanie działać i będą żyli jak potulne owieczki i że prawdopodobnie ktoś jeszcze z ich gangu przebywa w Nicei. Tylko ilu? Cały gang przewieźć do Europy? nie sądzę, by to było z ich strony słuszne pociągnięcie.

— Może jeden?

— Może jeden! — powtórzył jak echo inspektor. — Jeden z Amerykanów wyprowadził się

z hotelu. Zaraz na drugi dzień po zamordowaniu Browna. Niejaki Stevenson. Mieszkał trzy dni i słońce mu nie przeszkadzało, aż naraz stało się powodem do zmiany hotelu. To daje trochę do myślenia.

— Gdzież go jednak szukać?

— Zbadamy, do którego hotelu wprowadzili się jacyś Amerykanie w dniu dwudziestym pierwszym sierpnia.

— Trzeba będzie przebadać dla świętego spokoju. Ale jeśli miał on coś wspólnego z gangsterami, poszukał sobie innego locum aniżeli hotel czy jakiś pensjonat. Może nawet zmienił narodowość.

Carpeau zawstydził się. Rzeczywiście jego propozycja, choć rzeczowa, teraz wydała mu się naiwna. Dlatego też szybko zmienił temat.

— Pan inspektor ma swoją koncepcję tej sprawy?

— Tak. Mam.

Carpeau nie wypadało prosić o przedstawienie tej koncepcji. Dobrze wiedział, że detektywi tej klasy co Merlin niechętnie dzielą się swymi metodami nawet z najbliższymi współpracownikami, a co dopiero z ludźmi, którzy dość przypadkowo zostali wyznaczeni do pomocy w tej sprawie.

Merlin natomiast ustosunkował się przychylnie do Carpeau.

— Moim skromnym zdaniem — powiedział zaplatając dłonie przed sobą — Candy'ego i Pierriego zabił kto inny, a Browna kto inny. Ktoś skorzystał z istnienia pewnych powiązań Candy'ego z Pierrim i z powiązań Candy'ego z "Cacadou", i z powiązań Browna z "Cacadou". Gdy dowiem się, co łączyło Browna z tym nocnym lokalem — uczynię wielki krok naprzód.

— Zaczynam się coraz bardziej zapalać — zaśmiał się Carpeau. — I mam coraz większą treść.

— Przejdzie panu. Zresztą nie będzie czasu na treść. Dopiero zaczyna się praca.

— Gdy wezwano mnie, myślałem, że znowu jakaś żona pułkownika naraża imię swego małżonka, zgrawszy się do suchej nitki w kasynie, a tu taka niespodzianka.

— Zanadto przyzwyczailiśmy się do tego, że wszystko bierze początek w kasynie gry. Nasza sprawa tym razem chyba nie ma nic wspólnego z Monte Carlo. Książę Rainier może spać spokojnie.

— Prasa próbowała skierować nasze zainteresowanie po zabójstwie Pierriego na politykę. Co pan sądzi o tym?

— Wykluczam.

— W prefekturze ktoś napomknął o mordzie na tle erotycznym.

— To konik sierżanta Marly. Opowiada o tym na lewo i prawo — uśmiechnął się Merlin — i nie ma słuszności.

— Czyli naszym zadaniem numer jeden będzie odnaleźć prawdziwy motyw tych zbrodni. Tak na Candy i Pierrim, jak na Browne.

— A gdy będziemy wiedzieli coś o tym... — rzekł Merlin.

— Będziemy wiedzieli wszystko — przerwał mu Carpeau.

— Będziemy wiedzieli już nieco.

— Widzę, że jest pan pesymistą! — roześmiał się Carpeau.

— Nie, tylko starym rutyniarzem. Aż do ostatniej chwili nie wie się wszystkiego. A mówiąc uczciwie, nawet po wyroku, kiedy gilotyna zrobi już swoje, policja zna tylko pewną część sprawy. Wystarczającą wprawdzie, by komuś zdjąć głowę, ale zbyt ubogą, by wzbogacić wiedzę o psychice człowieka.

— To już filozofia!

— Czy ja wiem? — Merlin przymknął oczy. — Mnie przede wszystkim interesuje człowiek. Zbrodnię, którą popełnia, traktuję zawsze jako wynik jego doznań psychicznych. Stąd te moje dziwne koncepcje, które tak śmieszają niektórych. — Inspektor uśmiechnął się do Carpeau. — Inaczej nie potrafię. Inaczej zresztą zawód, który wykonuję, nie interesowałby mnie ani trochę.

— Koncepcja, którą mi pan przedstawił, jest raczej poszlakowa — powiedział Carpeau.

— Opiera się na faktach, na zbiegu różnych faktów. Może źle zrozumiałem?

— Nie, dobrze pan zrozumiał — inspektor wstał i zrobił kilka kroków po przekątnej pokoju. Carpeau wodził za nim wzrokiem. — Otóż powiem panu, że w tej chwili nie mam żadnej koncepcji.

Mina Carpeau wyrażała zdziwienie. Nie wiedział, co ma o tym sądzić.

— Przecież mówił pan o dwu odnogach sprawy, o dwóch mordercach?

Merlin uśmiechnął się przystając przed Carpeau.

— Po prostu głośno porządkowałem układ zdarzeń. Ale koncepcji nie mam żadnej. I to jest jak na razie jedyna moja koncepcja.

Roześmieli się obydwaj jak uczniowie z zasłyszanego dowcipu.

XI

Mały spacer dobrze mi zrobi — pomyślał inspektor Merlin, wychodząc z domu. — Mały pieszy spacer... Ciągle tylko jeżdżę samochodem albo rozmawiam z gangsterami. Co za wiele, to niezdrowo.

Co za wiele, to niezdrowo — zanucił na melodię "Szukam mojego chłopca" i zaraz urwał. Ostatnie godziny spędził nad notesem, pogrążony w medytacjach. W czasie krótkiej popołudniowej drzemki śniło mu się, że Cabs położył go trupem z rozpylacza. Wreszcie postanowił odetchnąć świeżym powietrzem, rozprostować kości, rozruszać mięśnie i na zakończenie pracowitego dnia wyłączyć się z męczących myśli.

Gęsty sierpniowy upał opuszczał miasto. Od szafirowej powierzchni morza płynął na bulwary ożywcy wieczór. Barwny tłumek sunął ulicami i obsiadał kawiarniane stoliki. Tym to dobrze — Merlin poczuł lekką pretensję do beztroskich przechodniów. — Mogą pleść głupstwa, dumać o niebieskich migdałach albo nawzajem się zabijać. A ty, detektywie, łam sobie później głowę.

Minęła go grupa wystrojonych kobiet; stanął i obejrzał się. Doleciały go oddalające się śmiechy i zapach wymyślonych perfum.

Nie jestem mózgiem elektronowym — monologował wewnętrznie. — Podlegam prawom psychologicznym, a także zwykłemu zmęczeniu. Muszę dbać o formę, bo inaczej kropnę się w tej cholernej sprawie. Trochę rozrywki, trochę odprężenia — powtarzał w duchu zbawienną receptę i spoglądał nieufnie na otaczających go zewsząd mężczyzn. Każdy mógł być Laleczką.

Tak na ogół przedstawiały się sjesty inspektora Merlin. Uszedł jeszcze kilkadziesiąt

metrów, gdy nagle spostrzegł przed sobą dwie pary bardzo zgrabnych kobiecych nóg. Kiedy uniósł głowę dla oceny pozostałych walorów, uśmiechnął się z zadowoleniem. Los mu sprzyjał. Przebiegł kilka kroków na palcach i zniemacka wsunął dłonie pod ramiona idących przed nim kobiet.

— Och! — krzyknęła panna Rouy. — Boże, jak mnie pan przestraszył.

A panna Camlis zaniosła się śmiechem, jakby specjalnie rezerwowanym na podobne okazje.

— Co się z panem dzieje? Dlaczego pan nas nie odwiedza?

— Od trzech dni maszyny w naszej hali wystukują marsza żałobnego — powiedziała panna Rouy. — Zaprosić damy na kolację, a potem zniknąć i przez trzy dni nie dawać znaku życia, któż to tak robi? Może jest pan z nas niezadowolony?

— Nic podobnego. Bardzo jestem zadowolony. Nie macie panie pojęcia, jak bardzo jestem zadowolony. Zwłaszcza w tej chwili. Napijemy się czegoś wspólnie?

— Ja mam ochotę na lody — wyznała panna Camlis.

— A ja na mazagran — rzekła panna Rouy.

— Mnie osobiście urządziłaby szklaneczka pernod. Pod tym żółtym parasolem jest wolny stolik. Wejdźmy.

— Tylko żeby znowu ktoś kogoś nie zadźgał nożem — westchnęła panna Camlis. — Bo wtedy resztę wieczoru spędzimy z sierżantem Gobin.

— Postanowiłem aż do jutrzejszego rana nie myśleć o tym, że na świecie istnieją zbrodnie i inne ciężkie grzechy. Znajduję się przecież wśród aniołów.

— Trochę pan przesadza — odrzekła panna Camlis i parsknęła śmiechem.

— Tak, w roli aniołków czujemy się nieswojo — dodała panna Rouy.

— Jestem człowiekiem starej daty i prawie kobietom niemożliwe dusery — zmartwił się Merlin. — Powodzenie mają inni mężczyźni. Wiem o tym.

Zasiedli przy stoliku i po chwili każde z nich zaspokajało swoje drobne pragnienie. Z daleka dobiegały dźwięki wiedeńskiego walca — raz głośniejszy, to znowu ciszej; wsiąkały w równomierny gwar rozmów.

— Nie odpowiedział pan na pytanie. Czemu w ostatnich dniach nie pokazał się pan w naszym pokoju?

— Praca. Jestem bardzo zajęty.

Spojrzały na siebie znacząco.

— W związku z wypadkiem w "Cacadou"?

— Nie tylko... Były panie dzisiaj na plaży?

— Naturalnie, że byliśmy. Nic tak nie odświeża, jak stumetrówka crawlmem. Podobno zgłosili się do pana dwaj Amerykanie?

— Owszem, ale nic ciekawego nie powiedzieli. Czują panie ten powiew od morza?

Rozkoszny. Cieszę się, żeśmy się spotkali i że tu razem siedzimy. Może teraz wszyscy troje zamówimy po kieliszku pernod?

— Ja jeszcze raz lody — powiedziała panna Camlis.

— A ja powtórzę mazagran — zdecydowała panna Rouy i dorzuciła: — Wtedy w "Cacadou" też było przyjemnie. Szkoda, że się tak smutno skończyło. Do dziś nie wiemy, czy brałyśmy udział w wystawnych urodzinach, czy w delegacji służbowej.

— W urodzinach.

— Nie ma pan pojęcia, jakie plotki krążą po mieście. W prefekturze każdy robi domysły na własną rękę. Podobno do Nicei zjechała banda amerykańskich gangsterów i wykonuje dintojrę.

— Doprawdy? Czy nie ma już przyjemniejszych tematów?

— Są — zgodziła się panna Camlis. — Ale i ten nie jest taki zły. My z Ninon też mamy koncepcję.

— Proszę. W godzinach służbowych nie omieszkać zasięgnąć informacji.

— Po co? My panu od razu możemy powiedzieć.

— Najwięcej podejrzeń budzi w nas kobieta, która samotnie siedziała przy stoliku. W jej oczach płonęła zbrodnia.

— Niesłychanie interesujące — zawołał Merlin i jął z uśmiechem przypatrywać się maszynistkom.

— Nie traktuje nas pan poważnie, inspektorze — rzekła panna Rouy. — Albo wpadł pan na ten sam pomysł bez naszej pomocy.

— Wytworna kobieta, która siedziała samotnie przy stoliku, nazywa się lady Wintermoor i następnego dnia opuściła Niceę — wyjaśnił łagodnie Merlin. — Młody inżynier Leclot jest niepokieszony, sam mi się zwierzył. Zalecam w dociekaniach więcej umiaru, bo mogą nam panie zwalić na głowę konflikt międzynarodowy.

Dziewczęta roześmiały się.

— Niech będzie lady. Nie mam nic przeciw temu — powiedziała panna Camlis. — Na tego Amerykanina pod drzwiami spoglądała jak sama księżniczka Małgorzata.

W dali zegar wybił dziewiątą.

— Możecie sobie żartować — wtrąciła panna Rouy — a jednak ja twierdzę stanowczo, że damula miała w twarzy coś niesamowitego. Może z powodu tych oryginalnych włosów, ale miała. Panie inspektorze — zawołała — budzę pana!

— Przypomniałem sobie, że muszę na moment wpaść do hotelu "Tarascon". Wezmę taksówkę i za pół godziny będę z powrotem. Panie mi wybaczą?

— Proszę się nie krępować — skinęła głową panna Camlis, a kiedy przepadł w płynącym wzdłuż kawiarni nurcie, dodała: — Ci detektywi są okropni, nie uważasz, Ninon?

Panna Rouy przemilczała pytanie koleżanki.

W taksówce Merlin zanadto był podniecony, żeby zdawać sobie sprawę z fiaska projektowanego aż do rana zawieszenia broni. Maszynistki naprowadziły jego myśli na nowy tor. Kobieta, która architektowi Leclot przedstawiła się jako lady Wintermoor, wyjechała z Nicei nazajutrz po wypadku w "Cacadou", a tego samego ranka do hotelu "Tarascon" wprowadziła się niejaka Patrycja Higgins i zajęła tylko co opróżniony pokój. Merlin zapragnął ujrzeć Patrycję Higgins i porównać ją z damą, której egzaltowana panna Rouy przypisywała cechy demoniczne.

Cottard siedział na dole i pełnił o tej porze funkcję portiera. Ujrawszy w drzwiach Merlina, wykonał rękami kilka gwałtownych ruchów, jakby odganiał koszmarną zjawę. Kiedy inspektor podszedł do lady, Cottard był już opanowany.

— Moje uszanowanie. Czym mogę służyć? — zapytał głosem rozpaczliwie naturalnym.

— Chciałbym zobaczyć panią mieszkającą w pokoju zajmowanym poprzednio przez

Amerikanina Stevensona, któremu przeszkadzało słońce. O ile pamięć mnie nie zawodzi, nazywa się ona Patrycja Higgins i od dziewiątej wieczór przebywa w swoim numerze? Właśnie minęła dziewiątą.

Cottard, który przed chwilą uniósł się był z fotela — teraz opadł na siedzenie i zasłonił oczy.

— Panie Cottard, szanuję pański ból, lecz doprawdy nie mam wiele czasu — rzekł inspektor.

— Najpierw hałasy, a teraz policja. Koniec! Ta osoba wyprowadzi się, a z nią opuszczają hotel wszyscy Anglicy. To naród bezwzględny. Cha! Cha! — wybuchną strasznym śmiechem. — Jestem zniszczony! Doczekałem się na stare lata. Dali mi radę.

— Niech pan zostawi te sztuczki! — przerwał niecierpliwie Merlin. — Przecież i tak zrobię, co do mnie należy. Nie ma pan chyba wątpliwości.

— Niech pan robi. Proszę. Ale pytam, dlaczego w moim hotelu? Dlaczego tu właśnie? Ona trzy razy w ciągu dnia spaceruje z pieskiem po parku Lympia, to nie może pan tam załatwić swoich interesów? — Wyciągnął z impetem rękę i wskazujący palec wbił w wylot drzwi. — Tam, inspektorze Merlin, tam! Tak postąpiłby człowiek z sercem.

Nagle opuścił dłoń, przymknął oczy i zduszonym głosem wyrzucił z siebie jedno fatalne słowo:

— Idzie.

Merlin obejrzał się i zobaczył leciwą damę wlokącą na smyczy małego pekińczyka. Pekińczyk miał na szyi pretensjonalną obrozę, wysadzaną zielonymi kamieniami. Doznał rozczarowania i równocześnie widok ten rozbawił go. Kobieta była jedną z tych podstarzałych angielskich turystek, samodzielnie przemierzających świat i stanowiących solidną podstawę ekonomiczną setek przyzwoitych hoteli. Poprosiła władczo o klucz, na okrzyk Cottarda "dobranoc, panno Higgins" skinęła głową i razem ze swym pupilem zniknęła w windzie.

Inspektor powiedział:

— Tym razem daruję panu, Cottard. Ale będziemy się jeszcze spotykali. Trudno, to pana nie ominie. Dzisiaj ja panu poszedłem na rękę, jutro pan pójdzie na rękę policji.

— Potrafię być wdzięczny i znam swoją powinność — rzekł grobowym tonem Cottard.

— Do zobaczenia.

— Moje uszanowanie — Cottard skłonił się i trzy razy stuknął w nie malowane drzewo. Kiedy Merlin wrócił do maszynistek, panna Camlis zjadła trzecią porcję lodów, a przed panną Rouy stała pełna szklanka ciemnego płynu. Inspektor zatrzymał kelnera i poprosił o przyniesienie jeszcze jednego pernod.

— Mam nadzieję, że nie nudziły się panie beze mnie?

— Nie, nie nudziłyśmy się — odpowiedziała szczerze panna Camlis. — Przez cały czas mówiliśmy o tej damie z "Cacadou", o tej pańskiej lady. Bo skoro wyjechała z Nicei zaraz następnego dnia, to jednak bardzo podejrzane...

XII

Inspektor Merlin siedział w skupieniu nad swymi notatkami, gdy do pokoju wpadł rozgorączkowany Alain Carpeau. Rzucił kapelusz na krzesło, porwał gazetę z biurka i zaczął się nią wachlować. Było bardzo gorąco i nawet w mrocznym gabinecie Merlina

upał dawał się mocno we znaki.

Inspektor nie mógł się oprzeć pokusie, by zażartować.

— Wygląda pan, jakby pan przyprowadził ze sobą mordercę.

Carpeau uśmiechnął się nieprzekonująco w odpowiedzi na dowcip Merlina i nadal operował koło twarzy zwiniętą w rulon gazetą.

— Co to, to nie, ale mam inne nowiny.

— Doskonale. Widzę, że wziął się pan ostro do pracy. Słucham.

Carpeau oparł się obydwoma rękami o biurko i nachylił się w kierunku inspektora.

— Znalazłem w mieszkaniu Candy'ego ten oto papier. Był wsunięty pomiędzy stare tygodniki ilustrowane. Widocznie dostał się tam przez nieuwagę Candy'ego.

Merlin wziął kartkę papieru podaną mu przez Carpeau.

Była to zwykła ćwiartka listowego papieru do połowy zapisana okrągłym pismem.

Szukam mojego chłopca,@ czy nie ma go wśród was?@ Szukam mojego chłopca,@ może nim jesteś ty?@ Szukam mojego chłopca,@ może to właśnie ty.@

Merlin poznał słowa, które śpiewała Colibri w "Cacadou". Obok ktoś narysował pięciolinię i kilkadziesiąt znaków nutowych z melodią piosenki. W poprzek papieru ta sama ręka dopisała: Nie zapomnieć o reflektorze.

— No? — inspektor podniósł wzrok na Carpeau, który z niepokojem go obserwował.

— Zbadałem pismo Candy'ego. To on pisał — powiedział Carpeau.

— Tak, tego nie pisał Francuz — potwierdził Merlin. — To nie jest nasze "r". A więc natchnieniem dla występu Colibri był Candy. Woschynsky mówi w tym wypadku prawdę. Gdybyśmy jeszcze wiedzieli, że naprawdę Candy zakochał się w Colibri — Merlin westchnął składając papier w czworo — tego się jednak chyba nie dowiemy. I przypuszczam, że to wszystko nie miało nic wspólnego z prawdziwą miłością.

— Też tak sędzę.

Merlin wysunął szufladę i wyjął z niej tekturową teczkę.

— Mamy pierwsze informacje z Interpolu. Pułkownik Bloomfield pracuje bardzo szybko.

— Jest coś ciekawego?

— Pewne rzeczy zgadzają się z tym, co powiedzieli mi panowie Terence i Cabs. To mnie tym bardziej niepokoi. Wiedziałem, że mówią prawdę, tę prawdę naturalnie, której ujawnienie leży w linii ich zamierzeń. Nie sądziłem jednak, że będą szczerzy aż do tego stopnia.

— Że siedzieli w więzieniu, to musieli wyznać. To przecież łatwo sprawdzić.

Merlin otworzył teczkę i wyciągnął maszynopis pułkownika Bloomfielda.

— Interpol donosi, że w roku 1954, w Illinois dokonano udanego napadu na bank Towarzystwa Akcyjnego Komunikacji Miejskiej, skąd zrabowano sto piętnaście tysięcy dolarów, w tym około dziesięć tysięcy dolarów oznaczonych seriami i numerami.

— Niektóre z nich już mamy — zaśmiał się Carpeau.

— W kilka minut po napadzie zaalarmowana policja chwyciła kilku członków gangu z niejakim Duckiem Flappertym na czele. Z zeznań wynikało, że gang Flapperty'ego został wyprowadzony w pole przez niejakiego Micky Dubois, który wraz z dwoma towarzyszami uprzedził pozostałych i sterroryzowawszy kasjerów zdobył wyżej wymienioną sumę pieniędzy, po czym sam wezwał policję. Zdaniem Interpolu chodziło o rozgrywkę

wewnątrz gangu, w którym nastąpił rozłam. Micky Dubois, zwany Laleczką, uciekł ze współnikami. Reszta gangsterów otrzymała wyroki od lat dwóch do czterech za planowanie napadu z bronią w rękę.

— Nigdzie nie pojawia się nazwisko Joego Browna — zauważył Carpeau.

— Nie, takiego nazwiska rzeczywiście nie ma. Są natomiast wymienieni Cabs i Terence. Z tego by wynikało, że Brown to przybrane nazwisko Flapperty'ego, który wolał tu w Nicei nie figurować pod swoim nazwiskiem. Czyli nieżyjący Brown był szefem gangu.

— Z tego wynika jednoznacznie, że gangster, którego oni przezwali Laleczką, istnieje.

— Tak by to wyglądało.

— I że sprzątnął Browna vel Flapperty'ego.

— No tak.

Carpeau kręcił się na stołku i tarł czoło, jakby sobie wszystko, co usłyszał, chciał utrwalić w pamięci.

— Czy pan chce coś powiedzieć? — zagadnął go inspektor widząc, że Carpeau przeżywa jakieś rozterki.

— Tak — Carpeau spojrzał pytająco na Merlina.

— Śmiało, niech pan mówi.

— Podejrzana w tym wszystkim wydaje mi się jedna sprawa. Członkowie gangu zjeżdżają z dalekiej Ameryki do Nicei w celu dokonania aktu zemsty. I od razu pada ofiarą właśnie główny szef gangu, zakłuty nożem w nocnym lokalu. To zbyt proste, zbyt piękne, aby było prawdziwe. Tu opowiadanie gangsterów ma swoją słabą stronę. Szef gangu, osoba zawsze niezwykle pieczołowicie strzeżona przez swoich ludzi, bawi się z pierwszą lepszą kobietą w nocnym lokalu, pije, tańczy, narażając się jak zwykły śmiertelnik. Jeśli ten Laleczka jest taki mądry i sprytny, jak o nim mówią, to cóż to byłby dla niego za przeciwnik. Gangster może się dać nabrać raz w życiu, tak jak to było z napadem na bank w Illinois. Drugi raz takiego błędu nie popełni, zwłaszcza że przyjechał tu zapewne ratować prestiż przed resztą swych ludzi. Zmazać swą hańbę.

— Zatem, zdaniem pana, Brown nie jest Flappertym.

— Nie. To albo jakiś nowy członek, albo gangster, który wówczas nie wpadł w ręce policji i stąd nie ma jego nazwiska w raporcie Interpolu. Zwykły pionek, którego obecnie podstawiono za szefa, aby prawdziwego ukryć.

— To mnie przekonuje.

Carpeau nie krył zadowolenia, że jego zdanie przyjął inspektor bez zastrzeżeń.

— Zatem jeśli istnieje Laleczka, a według wszelkiego prawdopodobieństwa istnieje, mamy do odszukania dwóch ludzi. Laleczkę i Flapperty'ego.

— Przede wszystkim Laleczkę. Jak na razie nie mamy żadnych danych, aby oskarżyć o cokolwiek Flapperty'ego.

— Więc opieramy się na zeznaniach gangsterów?

— Interpol potwierdził ich wiarygodność. Na czymś musimy bazować. Przynajmniej w początkowej fazie śledztwa.

Carpeau pokiwał głową, że oczywiście solidaryzuje się z inspektorem.

— A może pan ma jakąś inną koncepcję? — spytał Merlin.

— Mam!

— Jeśli ma pan ochotę wyjawić ją, wysłucham z dużym zaciekawieniem.

Carpeau uśmiechnął się zażenowany.

— Nie jestem pewny, czy nie wyda się ona panu śmieszna.

— Czasem w pozornie niepoważnej koncepcji kryje się prawdziwa tajemnica.

— Proszę więc słuchać. Flapperty zamordował Browna. Po tym fakcie uznał się za spalonego w Nicei. Wyprowadził się z "Tarasconu". Nie uczynił tego przecież z powodu zbyt nasłonecznionego pokoju. Przykazał swym kompanom zgłosić się do policji, by tym zupełnie zdeorganizować poszukiwania w jego kierunku. Sam będzie pracował na osobności albo z innymi, którzy zamieszkali gdzie indziej. Ale to jeszcze nie wszystko, co zamierzam panu powiedzieć. Może się to panu wyda śmieszne, ale moim zdaniem Candy i Pierri zostali rzeczywiście zastrzeleni z ogrodu, i to automatem. Później dopiero strzelono do zwłok z bliska, by zasugerować nam, że strzelał ktoś, kogo i Candy, i Pierri wpuścili do siebie do mieszkania z poczuciem pełnego bezpieczeństwa. Co to daje Flapperty'emu? Policja szuka Laleczki, wierząc pozorom, że Candy i Pierri padli z jego ręki, która dokonała aktu zemsty. Dlaczegoż Laleczka, żyjąc tak blisko ze swymi kompanami, miałby do nich strzelać z automatu? Kropnąłby ich czy otrul bez takiego szumu. W interesie Flapperty'ego jest rzucić wszelkie podejrzenia na owego Laleczkę, a zemsta gangu zostanie spełniona w okolicznościach, którym policja nie przeszkodzi.

— Hm — zastanowił się inspektor Merlin — to się trzyma kupy.

— Weźmy jeszcze jedną rzecz pod uwagę. Morderstwa zostały dokonane z chwilą przyjazdu gangsterów do Nicei. Do tej pory było cicho. Aż tu nagle przyjeżdżają sobie ci panowie z Ameryki, idzie w ruch automat, jeden trup po drugim, a oni sspokojnie przychodzą do pana i opowiadają historię o zbrodniarzu, którego przyjechali ukarać w imię sprawiedliwości.

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Merlin — czy panu wydaje się, że ktoś, kto chce zabić drugiego, i to w obcym kraju, będzie ryzykował zabójstwo bronią tak specyficzną i tak pachnącą z daleka Ameryką.

Carpeau machnął ręką lekceważąco.

— Myślałem i nad tym panie inspektorze. I wie pan, do jakiego wniosku doszedłem?

— No?

— Że oni się nad tym nie zastanawiali. Przecież to ludzie, którzy wyrosli i wychowali się z taką bronią w rękę. Oni inaczej nie potrafią. I nigdy im do głowy nie przyszło, że gdzie indziej zastrzelenie kogoś z automatu jest o wiele dziwniejsze niż na przykład chodzenie nago po ulicy.

— Czemuż zatem Browna zabito nożem?

— To zupełnie co innego. Oni się w pewnym momencie połapali, że zrobili głupstwo, które może pociągnąć za sobą poważne skutki.

— A jak pan sobie wyobraża przywiezienie takiego automatu do Francji? To bardzo uciążliwy pakunek.

— W skrzynce od konserw.

— A gdyby celnicy...

— Nasi celnicy! — Carpeau wydał pogardliwie wargi. — Założę się z panem, że przewiozę człowieka w walizce i nikt tego nie zauważy. A przede wszystkim celnicy.

— W jakim celu miałby Flapperty zakłuwać Browna?

— Tego nie wiem. Trzeba postudiować nieco zwyczaje gangsterów. W ogóle ten Brown jest osobą bardzo podejrzaną...

— Ja jednak nie widzę powiązania, logicznego powiązania rozprawy gangu Flapperty'ego z jego odszczepieńcami czy zdrajcami z faktem śmierci Browna. To chyba są dwie odmienne sprawy. Brown przyjechał z Flappertym, brał udział w obstawie lokalu, gdzie miał się zjawić Laleczka. I naraz zginął z ręki Flapperty'ego. Nie ma motywu. Pan tak od razu rozstrzyga. Flapperty zabił Browna. I już. Musimy mieć przecież jakiś punkt zaczepienia.

— Ja mam taki punkt.

— Doskonale.

— Otóż Brown, według mnie, był albo jeszcze jednym współtowarzyszem Laleczki...

— To wykluczone. Przyjechał na "Prince de France", był zameldowany w "Tarasconie"...

— Albo... — Carpeau przymilkł na chwilę, by spotęgować wrażenie. Widząc oznaki wielkiego zainteresowania w oczach Merlina dokończył — Brown był wtyczką Laleczki w gangu Flapperty'ego. Potknął się na czymś i zginął. Niech pan weźmie pod uwagę, panie inspektorze, następujące okoliczności. Brown nie figuruje w spisie Interpolu, czyli nie wpadł na robocie w Illinois. Czy to nie znaczy, że wiedział, co spotka Flapperty'ego? Wiedział od Laleczki, z którym pozostawał w kontakcie, informując go o losie byłych kompanów, a po rabunku — wrogów. Mając takiego Browna na usługach, Laleczka był poinformowany o ich poczynaniach. Tu w Nicei facet się potknął na jakimś szczególe i gang rozprawił się z nim na konto Laleczki. Potem dwaj gangsterzy spokojnie przychodzą do policji i relacjonują fakt, oskarżając swego przeciwnika.

— Wszystko jest możliwe — odparł na to Merlin — a wszystko to znaczy, że jeszcze nic nie wiemy o sprawie.

— Mnie się zdaje, że wiemy już dość dużo, tylko jeszcze nie umiemy uporządkować sobie hierarchii naszych wiadomości.

— A mnie Renaud gnębi i uważa, że stoimy w miejscu.

— Jeszcze mi się coś przypomniało, panie inspektorze. Przecież pan był w "Cacadou" w czasie mordu dokonanego na Brownie. Gangsterzy stwierdzili, że zabił go Laleczka, lecz orzekli, że go nie widzieli. Nie mogli oczywiście oświadczyć, że go widzieli, gdyż musieliby zająć odpowiednie stanowisko wobec jego osoby, skoro przyszli, aby go nakryć. Laleczki tam nie było.

Merlin zrobił minę, która nie wyrażała aprobaty dla uwag Carpeau:

— Czy pan sądzi, że gdyby oni zakłuli Browna, uciekliby z lokalu? Tym zwiększyliby podejrzenia.

— Uciekli, bo taki był ich początkowy plan. Później Flapperty wpadł na lepszy pomysł. Przyznać się do rzeczy, które nie są w kolizji z naszym prawem, i rzucić podejrzenia w innym kierunku. Pozwolę sobie przypomnieć panu, panie inspektorze, sprawę wdowy Martell. Morderca uciekł, a potem zgłosił się do policji i dał tak psychologicznie umotywowane odpowiedzi, że policja mu uwierzyła. No, bo po co się zgłaszać, skoro się jest dobrze ukrytym i ma się zapewnione alibi. To dobra podchwytka. Należy ją wziąć pod uwagę.

— Zdaniem pana Laleczka, jak na razie, jest poza oskarżeniem.

— Tego nie powiedziałbym — odparł Carpeau. — Ujęcie Laleczki rozwiązałoby nam sprawę od razu.

— A dlaczego w takim razie, skoro Laleczka jest niewinny i nie zabił nikogo, widząc śmierć swych przyjaciół i długoletnich towarzyszy nie zgłosił się do nas, naświetlając nam cały aspekt tej sprawy i wiedząc, że oskarżenie tamtych padnie na niego? Tamci, według pana winni, zgłosili się, a on bez winy — nie.

— Może sam przygotowuje się do odwetu. I nie ma zamiaru się dekonspirować.

— Tym bardziej należy się nim zająć, żeby nie przysporzył nam jeszcze roboty. No, ale żarty żartami. Muszę panu coś powiedzieć. Proszę się na mnie nie gniewać, że będę szczery. Bliscy współpracownicy muszą być we wzajemnych stosunkach ze sobą szczerzy.

Carpeau zmieszał się nieco.

Merlin uśmiechnął się do niego.

— Pańskie uwagi są bardzo cenne. Dały mi już dużo do myślenia. Pomogły w śledztwie, to nie ma dwóch zdań. Tylko, widzi pan — inspektor znowu się uśmiechnął przyjacielsko — za dużo tego wszystkiego. Za wiele pomysłów, za wiele interpretacji, za bogato. To oczywiście wynika z żarliwości do pracy, z żarliwości nowicjusza w tego rodzaju śledztwie.

— Zdaję sobie sprawę, panie inspektorze, że nie mam jeszcze wprawy, że wszystko wydaje mi się ważne i nie potrafię jeszcze eliminować rzeczy mniej ważnych...

— To jasne. Czy pan myśli, że ja nie popełniałem tych samych błędów? Popełniałem. Dopiero z długoletnią praktyką wyrabia się specjalny zmysł, zmysł czujnego psa. Pan jest już doskonałym fachowcem w dziedzinie przestępstw walutowo_kasynowych, jeśli można nazwać w ten sposób drugą stronę rzeczywistego prosperowania kasyna, ale to niestety nie to samo co przestępstwa natury zbrodniczej.

— Ja to wiem, panie inspektorze. Znam swoje słabe strony, ale wyznam panu, że w tym, co tu naopowiadałem, kryją się załączki prawdy. Ja to czuję. Nie umiem jeszcze panu tego udowodnić, nie potrafię być przekonujący, ale mam tę świadomość, że się nie mylę.

— Powiedziałem już panu, że usłyszałem od pana wiele sformułowań, nad którymi nie można przejść obojętnie...

— Tylko które, panie inspektorze? — Carpeau patrzył w skupieniu na Merlina.

Zadzwoił telefon. Stary wzywał Merlina do siebie.

— Porozmawiamy jeszcze o tym — inspektor poprawił krawat i przyglądał włosy. — Proszę być jednak przekonany, że każdą z pańskich uwag analizuję bardzo dokładnie. I bardzo pana chwale przed Renaudem.

— Dziękuję. Nie zasłużyłem jeszcze na pochwały.

— Nie lubię skromności. Moje zastrzeżenia dotyczyły pańskiej nadwrażliwości. Chciałem tylko pohamować pański lotny umysł i skierować go na drogę większej precyzji. Nic więcej.

Stanęli przy drzwiach gabinetu.

— Aha! Mam dla pana robotę — przypomniał sobie Merlin. — Musimy wyświetlić ostatecznie sprawę tej nieszczęsnej skrzynki z konserwami. Przejdzie pan do

"Tarasconu", dobrze? Chcę mieć już z tym spokój.

— Postaram się skupić na tej skrzynce — uśmiechnął się Carpeau — i przynieść wyczerpujące dane.

— To ważne. Sam pan zresztą o tym wspominał. Nasi eksperci oświadczyli, że jest to broń amerykańska, wyprodukowana w 1953 roku, często używana przy napadach w Stanach Zjednoczonych. Nie sądzę, by inny egzemplarz znajdował się w Nicei. Numeru broni nie udało się zidentyfikować. Został zniszczony ostrym rylcem.

— W takim razie proszę pana, by wezwano obydwu gangsterów do prefektury na te godziny, w których będę przebywał w "Tarasconie". Ich obecność utrudniałaby mi pracę. Merlin zastanowił się przez moment.

— Tak, wezwę ich. Mam zresztą kilka pytań do nich. A pan niech sobie radzi z Cottardem. To stary zrządza i choleryk. Ma już nas dość.

— A zatem zaczynam operować w "Tarasconie" około dziesiątej.

— Wezwę ich w takim razie na dziesiątą.

— Doskonale.

— Do widzenia. Stary już na pewno szaleje, że się spóźniam.

— Do widzenia — podali sobie dłonie już na korytarzu. — Jak pan myśli, panie inspektorze — zapytał jeszcze Carpeau — czy będzie co ze mnie?

— Ależ naturalnie, Carpeau. Cóż z pana za skromny człowiek.

XIII

Następnego dnia o godzinie dziesiątej piętnaście Carpeau zajechał przed hotel "Tarascon", a ponieważ podjazd szczelnie wypełniony był samochodami, zaparkował swój wóz po drugiej stronie bulwaru przed ogrodem Lympia, który tworzył jedną z naturalnych ozdób "Tarasconu", a także — jak wiadomo — służył za miejsce stałych przechadzek pannie Higgins i jej ulubionemu pekińczykowi.

Carpeau przeciął jezdnię i wszedł do hallu.

— Pan się nazywa Cottard? — zapytał siedzącego w portierni grubasa.

— Tak — odrzekł tłusty hotelarz, mierząc przybysza spojrzeniem pełnym nieufności.

— Na którym piętrze mieszkają Cabs i Terence?

— Na trzecim. Ale obydwaj panowie wyszli i nie mówili, kiedy wrócą.

— Proszę wziąć klucze. Udamy się do ich pokoi — Carpeau wyrzekł te słowa tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. Machnął Cottardowi przed nosem legitymacją i zwrócił się w stronę windy. Nie miał zamiaru patyczkować się tu z kimkolwiek.

Cottard w duchu rad był z takiej postawy przedstawiciela policji. Nie dopuszczała ona do głosu żadnych nadziei. Arbitralny chłód Carpeau zwalniał gospodarza "Tarasconu" z wewnętrznych rozterek. Toteż Cottard potulnie zdjął z tablicy rozdzielczej dwa klucze i pospieszył za agentem.

— Skocz, Gastonie, do kancelarii — wydał polecenie windziarzowi — i powiedz, żeby ktoś zastąpił mnie w dyżurce.

— To nie wszystko — rzucił Carpeau. — Przez kwadrans winda nie będzie działała.

— W moim hotelu? — przestraszył się Cottard.

— Tak, w pańskim hotelu — upewnił Cottarda Carpeau. — Jeżeli pojawi się jakiś gość z trzeciego piętra, natychmiast przetelefonować na górę, a gościa pod jakim bądź pozorem

zatrzymać w hallu. Przez piętnaście minut chcę mieć spokój. Zrozumiano?

— Tak jest, panie komisarzu — boy wyprężył się.

— I gęba na kłódkę.

— I gęba na kłódkę — powtórzył jak echo Cottard.

Winda zabręczała i prawie zaraz umilkła. Byli na trzecim piętrze.

Najpierw weszli do pokoju Cabsa. Nie odznaczał się niczym szczególnym. Na oparciu krzesła wisiała jasna marynarka. W powietrzu unosił się zapach tytoniu. Carpeau szybko i zręcznie przetrząsał szafę, szuflady, zawartość walizek. Cottard stał wewnątrz pokoju przy uchylonych drzwiach. Przytknięte do szpary ucho strzegło korytarza, wlepione w Carpeau oczy z uznaniem obserwowały dobrą policyjną robotę, zacierającą po sobie najmniejszy nawet ślad. Hotealrz poddał się nieznanym emocjom.

— Idziemy do tego drugiego — powiedział po sześciu minutach Carpeau.

Cottard cicho zamknął drzwi i delikatnie przekręcił w zamku klucz. Carpeau roześmiał się, grubas słabo mu zawtórował. Nie ulegało wątpliwości, że Cottard przeżywa nowy dla siebie konflikt, konflikt między obowiązkiem a przyjemnością. W dodatku trudno mu było tak na poczekaniu ustalić, czy wdarcie się do cudzego pokoju pod nieobecność właściciela jest w jego sytuacji obowiązkiem czy właśnie przyjemnością. Na całe sześć minut zapomniał o grożących mu stratach materialnych — oby los go za to nie ukarał. Czając się pod drzwiami Amerykanina Terence'a — Cottard ostrożnie manipulował w zamku.

— Cabs 110, Terence 111 — stwierdził Carpeau. — Pod którym mieszkał Brown?

— 112.

— Kto zajmuje pokoje: 109 i 113?

— Pod 109 mieszka panna Patrycja Higgins z Anglii, starsza osoba, a apartament pod 113 jest chwilowo wolny; dziś rano wyprowadził się z niego japoński kupiec. Na to miejsce wieczorem przenosimy pana Thomsona, obywatela Stanów Zjednoczonych. Pan Thomson czeka od szeregu dni na coś odpowiedniego dla siebie. Apartament 113 ma troje drzwi, dlatego nad dalszymi drzwiami brak numerów.

— Musi być bogaty. — Tę uwagę Carpeau zrobił już w otwartych drzwiach.

— Niech się pan pospieszy — rzekł Cottard. — Słyszę na dole jakiś hałas.

Carpeau ściągnął brwi, w tej chwili zadzwieczał w korytarzu telefon. Cottard podbiegł do aparatu, przyjął krótką informację i zadyszany wrócił do Carpeau.

— Panna Higgins. Pospieszyło się babsko ze spaceru. Zrobiła już awanturę, że widna zepsuta. Teraz wspina się na trzecie piętro razem ze swoim psem. Co mam robić, proszę pana? Jeżeli zamknę drzwi, nie usłyszymy telefonu i może nas tu nakryć wracający Terence. Jeżeli zostanę w korytarzu, ta Higgins chwyci mnie w swoje łapy i już nie puści, ciągle jest z czegoś niezadowolona. Dlaczego pan nie przeprowadza rewizji? — przynaglił. — Zamknę chyba drzwi.

— Nie potrzeba — rzekł Carpeau i podszedł do biurka, na którym stały trzy metalowe puszki oblepione kolorowymi etykietami z napisem "Meatcomplex". Wziął jedną i schował do obszernej skórzanej teczki. — Wracamy — powiedział, opuszczając pokój 111.

Cottard szybko zamknął drzwi i klucze ukrył pod marynarką.

Na podeście drugiego piętra spotkali pannę Higgins ciągnącą opornego pekińczyka w

zielonej obroży. Ujrawszy Cottarda powiedziała ze złością:

— Piękne porządki, gratuluję. Winda zepsuta, służba rozpuszczona, tylko rachunki wystawia się regularnie.

Szarpnęła smyczą i zabrała się do forsowania ostatniego piętra.

— Najmocniej panią przepraszam, panno Higgins. Za dziesięć minut awaria zostanie usunięta — wyrecytował Cottard.

Na dole podbiegł do nich wzburzony Gaston.

— Nie zdołałem zatrzymać panny Higgins — sumitował się. — To istna burza gradowa.

Skłęła mnie od ostatnich. Sądziłem, że zgodzi się dopomóc mi w rozwiązywaniu krzyżówki. — Przymknął chytrze oko. — Ale nie wyszło... Dziwni są ci Anglicy.

Cottard chwycił się za głowę, Carpeau klepnął chłopca w plecy.

— A teraz cicho, sza.

— Rozkaz, panie komisarzu.

Opuszczając "Tarascon" Carpeau spojrzął na zegarek: dochodziło wpół do jedenastej.

Teczkę z dowodem rzeczowym złożył na tylnym siedzeniu, zapuścił motor. Po upływie kilku minut zgodnie ze swoim zwyczajem pił południową kawę w małym bistro,

przeglądając równocześnie codzienną prasę. Potem pojechał do prefektury.

O wpół do dwunastej połączył się z gabinetem inspektora Merlin i zapytał, czy może złożyć relację z ostatnich czynności.

— Naturalnie, czekam — zawołał Merlin.

Więc Carpeau wyjął z teczki konserwę "Meatcomplex" i udał się do gabinetu zwierzchnika.

Cabs i Terence wyszli od Merlina około jedenastej. Kiedy wrócili do "Tarasconu" winda,

ma się rozumieć, działała już prawidłowo. Cottard ujrawszy Amerykanów poczuł lekkie

mdłości. Przez dobry kwadrans siedział w swojej loggi jak na terenach podminowanych,

potem z wolna jego otłuszczone serce zaczęło poddawać się ukojeniu: nie zauważyli.

Między jedenastą i dwunastą w hotelu panował niewielki ruch, a restauracja świeciła

wręcz pustką. Skończono wydawanie pierwszych śniadań, zaś na drugi posiłek było o

wiele za wcześnie. Goście odbywali w tym czasie morskie i samochodowe wycieczki,

zażywali kąpieli, obnosili po plaży bajeczne kostiumy albo ciągnęli przez słomkę

kolorowe napoje. W hotelu szumiały odkurzacze, boy Jakub i windziarz Gaston

rozwiązywali krzyżówkę, pan Cottard sumował długie kolumny.

Nagle przy drzwiach windy wyskoczył świetlny sygnał.

— Trzecie piętro mnie wzywa — powiedział Gaston niby do Jakuba, ale tak dobitnie, że

informacja od razu ugodziła Cottarda.

— No to co? — zdziwił się Jakub.

— Nic — Gaston spojrzął w oczy pryncypała i zatrzaskał drzwi.

Cottarda aż skręciło. Poczul zbliżający się atak kamieni żółciowych. Wreszcie winda

zjechała na dół, zgrzytnął zamek, chłopiec wyskoczył i zgiął się wpół. Nie Terence'a i nie

Cbasa ujrzał w następnej chwili Cottard. Po napięciu raz jeszcze przeżył błogą ulgę, bo z

windy wyszła Patrycja Higgins, ciągnąc za sobą nieodłącznego pieska. Jej zły humor

widocznie pierzchnął, gdyż sięgnęła pogodnie do torebki i obdarzyła Gastona napiwkem.

Brzęcząc kluczami podeszła do Cottarda i zapytała o korespondencję.

— Nie ma nic, panno Higgins. Jakoś ciągle nic nie ma — tłumaczył się Cottard, zmartwiony, że nie mógł jej dogodzić.

— Głupstwo — machnęła ręką i mocniej pociągnęła pekińczyka.

— Chodź, Nanette! Na spacerek!

Piesek zarył się łapkami w puszysty dywan i cienko skowyczał.

— Przemięte stworzenie — podlizzał się Angielce Cottard.

— Nerwowy — wyjaśniła. — Taka już rasa. Błękitna krew w nim płynie. Królowa Wiktorija otrzymała w darze od cesarza chińskiego jedną parkę. Ten w prostej linii pochodzi od owej pary. Mam wszystkie rodowody na piśmie, dlatego tak dbam o niego. Musi dużo spacerować, w przeciwnym razie dostaje egzemy.

Cottard kiwał głową ze zrozumieniem.

Panna Higgins ujęła psa wpół i energicznym krokiem opuściła hotel. Na ulicy postawiła go przy swoich płaskich stopach, smycz owinęła dokoła dłoni i szarpnąwszy nią kilkakrotnie zmusiła pupila do uległości. Zgodnie przemierzali jezdnię, a następnie doszli do rogu bulwaru, posuwając się wzdłuż parku Lympia. Przy budce telefonicznej piesek załatwił swoją potrzebę, a panna Higgins — być może w trosce o regularność funkcji fizjologicznych pupila — spojrzała na zegarek i stwierdziła, że minęło dziesięć minut po wpół do dwunastej. Zaraz potem pani i pies zamknęli się w budce. Tutaj panna Higgins zaczepiła linewkę na kołku od książki telefonicznej, jedną dłonią uniosła słuchawkę, drugą zaś powoli nakręciła znany sobie numer. Kiedy przy jej uchu rozległo się krótkie "halo", spytała:

— Czy inspektor Merlin?

— Tak, to ja — odpowiedziano.

— Inspektorze Merlin — mówiła niezbyt głośno panna Higgins — oznajmiam panu, że dzisiejszej nocy w lokalu "Cacadou" gangster Laleczka stawi czoło bandzie z Illinois. Porachunek zostanie doprowadzony do końca. Jeżeli policja francuska chce się rozerwać, może w tej zabawie wziąć udział. Cały ogień na Laleczkę! A kto zwycięży, zobaczymy.

Powiedziawszy to panna Higgins, nieczuła na dźwięki w membranie, odłożyła słuchawkę. Następnie przez blisko godzinę spacerowała z potomkiem cesarskiego dworu wzdłuż głównej alei parku Lympia. O wpół do pierwszej wróciła do "Tarasconu", gdzie w restauracji przy zarezerwowanym stole spożyła angielskim zwyczajem duży krwisty befsztyk.

XIV

— Dwunasta — rzekł Merlin spoglądając na zegarek. — "Cacadou" otwierają o dziewiątej, ma pan więc czasu pod dostatkiem. Niech pan zarządzi i przeprowadzi wszystko, co panu dyktuje instynkt detektywa. Stawiam sprawę jasno: nie będę się wtrącał w pańskie plany. I nie dlatego, że tajemniczy telefon razem z zaproszeniem policji do udziału w rozróbce zakrawa na kpinę, i nie dlatego, że pragnę ochronić mój autorytet, i nie dlatego, że na terenie "Cacadou" jestem trochę spalony. Ja panu daję szansę, Carpeau. Tak, daję panu szansę. W prefekturze i komisariatach zrobimy tej nocy ostre pogotowie, porucznika przylepię do telefonu, Cabsowi i Terence'owi dodam drugiego anioła stróża. Zostawiam panu wolną rękę w kompletowaniu brygady. Proszę od razu

nawiązać kontakt z sierżantem Gobin. Fakt, że nigdy pan nie był w "Cacadou" i że dotychczas nie ujawniłem pana osoby w głównym toku śledztwa, wydaje mi się okolicznością wielce pomyślną. Daje to panu możliwość daleko idącej konspiracji. Nie zamierzam nic sugerować, sam pan do wieczora przemyśli kampanię, zmobilizuje siły, rozdzieli role. Jeżeli anonsowana rozgrywka okaże się bluffem, to i z bluffu potrafimy wyciągnąć jakiś wniosek.. Nie zgadzam się z panem w kwestii natychmiastowego aresztowania Cabsa i Terence'a. Paczka z naklejką "Meatcomplex", w której przechowywano rozpylacz, w zestawieniu z zapasem konserw tej samej firmy w pokoju Terence'a jest mocnym argumentem, ale ja wołałbym, żeby ci panowie dzisiejszej nocy zażywali pełnej swobody. Jeżeli "cały ogień na Laleczkę" — Merlin uśmiechnął się — to nie traćmy sprzymierzeńców. Mówąc serio: pozwólmy przebiegać tej ciemnej aferze według przemyślanego przez kogoś planu. Może w ten sposób uchwycimy wreszcie ślad zamaskowanych bohaterów. Pod tym względem będę nieprzejednany. Nie życzę panu powodzenia, bo na pewno jest pan przesądny, ale radziłbym na początek wykonać stumetrówkę crawl'em. Wiem, że uprawia pan sporty, a od miłych pań maszynistek słyszałem o zbawiennym wpływie takiej stumetrówki na ogólne samopoczucie.

— Wołałbym nie tracić czasu. W Legii Cudzoziemskiej trzymało się nerwy na wodzy bez stumetrówek — powiedział solennie Carpeau. — A pan, panie inspektorze? Jaką funkcję zarezerwował pan dla siebie na dzisiejszą noc?

— Ja? No cóż, pójdę chyba spać, mój przyjacielu. Obiecuję nie wyłączać telefonu, zresztą sen mam lekki. Tak będzie chyba najlepiej dla pańskiej ambicji.

Carpeau utkwiał wzrok w oczach inspektora.

— Proszę mnie opacznie nie rozumieć — rzekł odmierzając słowa. — Pan powinien ukazać się w "Cacadou". Pan powinien dzisiaj siedzieć na sali.

— A to dlaczego? Na wabia? — zachnął się Merlin.

— Tak — powiedział twardo Carpeau. W pewnym sensie "na wabia". Po co owijać w bawełnę. Sam pan przed chwilą uznał za pomyślny fakt okoliczność, iż w "Cacadou" nikt mnie nie zna. Chciałbym działać jak najbardziej z ukrycia, nie budzić podejrzeń, nie ściągać uwagi. Jest takie prawo psychologiczne: żeby odwrócić uwagę obserwatora od jakiegoś przedmiotu, trzeba ją mocno skupić na innym przedmiocie. Przy silnie nasyconych barwach gasną kolory pastelowe, orkiestra tłumi odgłosy rozmów, wybitny aktor sprawia, że nie zauważamy na scenie statysty.

Merlin zaśmiał się:

— Póki statysta nie awansuje na wybitnego aktora! Niech się pan nie wysila, Carpeau. Znam to prawo psychologiczne, przekonał mnie pan. Przeprowadzałem w "Cacadou" śledztwo po zabójstwie Browna, przed zabójstwem siedziałem na sali w towarzystwie kobiet. Poznali mnie wszyscy: zaczynając od Priveta, kończąc na pomywacze. A także stali goście lokalu, a także Laleczka... Z pewnością uwaga skoncentruje się na mojej osobie, z pewnością ułatwi to panu zadanie. Dobrze, przyjdę dzisiaj do "Cacadou". O której mam się stawić?

Ostatnie zdanie Merlin wypowiedział z leciutką ironią, ale Carpeau pogrążony w myślach odpowiedział zupełnie poważnie:

— O dziesiątej, inspektorze. O godzinie dziesiątej w prefekturze. Pojedziemy jednym

wozem, wejdziemy do lokalu tylnym wejściem, pan ukaże się na sali, ja do pewnego czasu będę krążył w kuluarach. Potem... Ale nie uprzedzajmy faktów. Na wojnie jak na wojnie. Co potem — zobaczymy.

Tak zakończono półgodzinną konferencję, która najpierw toczyła się około stojącej na biurku puszeki "Meatcompelx", następnie — gdy Merlin odebrał sensacyjny telefon — przeżyła swój punkt szczytowy, wreszcie pod koniec uczyniła Carpeau rzeczywistym dowódcą nocnej wyprawy do "Cacadou". Powiedzmy raczej: na Laleczkę.

Po wyjściu od inspektora Carpeau udał się do pokoju sierżanta Gobin. Sierżant miał już wyniki ostatnich badań.

— Połączenie telefoniczne z prefekturą, dokładnie z gabinetem inspektora Merlin, o godzinie #/11#40 nastąpiło z aparatu publicznego: kiosk nr 22 przy parku Lymphia. Odległość od hotelu "Tarascon" 150 metrów — zdał sprawę Gobin. — Cabs i Terence wrócili o 11. Od tej pory nie wydalali się poza obręb hotelu. O #/11#50 Terence wynajął telefonicznie samochód i polecił dostarczyć wóz na godzinę 20 przed "Tarascon". Innych rozmów telefonicznych ani Cabs, ani Terence nie przeprowadzali.

— Dziękuję, sierżancie — powiedział Carpeau. — Od tej chwili potrzebne mi sprawozdanie z działalności niejakiego pana Thomsona, zamieszkałego również w "Tarasconie". Śledzić do wieczora. Za godzinę wydam dalsze szczegółowe polecenia i przyjmę informacje. Do tego czasu przygotujcie szóstą brygadę na całą noc, niezależnie od ostrego pogotowia, które zarządza inspektor. Zabawimy się w "Cacadou", niech pan włoży smoking.

Gobin uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Zrobiłem z Marlym zakład o butelkę martella.

— Że co.

— Że domniemany gang jest zakonspirowaną komórką polityczną — wsiadł na swego konia Gobin. — A ten wariat powtarza kilka razy na dzień, że tam siedzi kobieta.

— Siedzi kobieta? Nie rozumiem — Carpeau zatrzymał się na progu.

— No tak. Marly wszędzie węszy sercowe sprawy. Nie ma dla niego zagadki kryminalnej bez kobiet.

— Zapomniałem — Carpeau roześmiał się. — A tymczasem ja już jestem wygrany, bo czy od tego, czy od tamtego — zawsze dostanę kieliszek koniaku.

— Ode mnie nawet szklankę.

Z pokoju sierżanta do pokoju Carpeau najkrótsza droga wiodła przez halę maszyn. Było tu jasno i kolorowo od letnich sukien. Równomierny stukot maszyn przypominał szum morza, a gęsta mieszanina perfumeryjnych zapachów przenosiła przybysza w atmosferę wschodniego ogrodu. Dziesięć modnie nastroszonych fryzur chwiała się z wdziękiem nad klawiaturami. Złociste, rude i brunatne barwy połyskiwały w słońcu, a wśród nich jedna kobieca główka tworzyła oryginalny kontrast z otoczeniem. Włosy panny Rouy obok kunsztownego nieładu posiadały kolor srebrnolila. Carpeau stanął pośrodku sali i w niemym podziwieniu obserwował pomysłowość sztuki fryzjerskiej.

Jeśli chodzi o ogólną sytuację Alaina Carpeau w pokoju maszynistek, to trzeba nadmienić, że daleko mu było do względów, jakimi od dawna cieszył się tu inspektor Merlin. Carpeau, bardzo przystojny mężczyzna, w stosunkach z kobietami wykazywał

szorstkość i zarazem niezdecydowanie. Merlin, ten "de Sica nicejskiej prefektury", bił młodszego kolegę na łeb, na szyję. Carpeau zwykle przemierzał siedzibę underwoodów szybko, darząc dziewczęta zdawkowym "dzień dobry". Czasem zatrzymywał się przy panie Rouy, która jako najstarsza rozdzielala koleżankom pracę, i wręczał jej jakiś rękopis, przeważnie z adnotacją "pilne". Ponieważ w urzędach policyjnych zlecenia z reguły są pilne, dopiski Carpeau irytowały personel i bynajmniej nie przyczyniały się do popularności "waluciarza". Ale Carpeau miał swoje racje: słowa napisane lub z naciskiem wypowiedane posiadają pewną magiczną siłę. Mimo niechętnych spojrzeń i lekkich wzruszeń ramionami protokoły Carpeau wychodziły z pod wałków z błyskawiczną szybkością. Ten ambitny pracownik realizował plany życiowe ze znacznie mniejszym wdziękiem niż Merlin, ale bądź co bądź konsekwentnie.

Mimo że stał już dobrą chwilę ze wzrokiem utkwionym w panie Rouy, maszyny pracowały w niezakłóconym tempie. Wreszcie panna Rouy uniosła powieki i trafiwszy na spojrzenie Carpeau zarumieniła się.

— Co pani ma na głowie, panno Ninon? — nie najzręczniejszym sformułował pytanie Carpeau.

Przerwała pracę, a jej rumieniec nabrał wyraźniejszych konturów. Wszystkie maszyny ścisły jak na komendę.

— Na głowie mam włosy — odpowiedziała pełnym zdaniem panna Rouy i wbiła w Carpeau wzrok meduzy.

Panna Camlis pospieszyła przyjaciółce z pomocą:

— Takie włosy są bardzo modne — rzekła. — Zwłaszcza w Nicei.

— Dlaczego w Nicei? — zainteresował się Carpeau.

— Nie wie pan?

— Nie wiem.

— A przecież z protokołów wynika, że bierze pan udział w śledztwie dotyczącym zajścia w "Cacadou".

— Cóż z tego?

— Wszyscy mężczyźni są nierozgarnięci — wtrąciła sentencję panna Rouy.

Carpeau rozejrzał się po salce; znalazł puste krzesło, poszedł po nie, a następnie ulokował się w środku przejścia między stołami panny Rouy i panny Camlis.

— Ogromnie mnie panie zainteresowały.

— Czyżby?

— Daję słowo. Jaki jest związek między włosami o odcieniu lila a zbrodnią w nocnym lokalu "Cacadou"?

— Inspektor Merlin twierdzi, że nie ma żadnego.

— Proszę mówić jaśniej.

— Mów, Rena, jaśniej, bo rozmawiasz z detektywem — strzeliła panna Rouy.

Carpeau zwrócił twarz w jej stronę, po czym uśmiechnął się. I on umiał być sympatyczny, a jego regularne rysy, w tej chwili rozluźnione, przybrały wyraz niemal dziecienny. Chciał najwyraźniej zatuszować wstępną gafę.

— Co z tymi włosami? — zapytał i nie czekając na odpowiedź jął przypatrywać się panie Rouy z rozważnym namysłem znawcy sztuki. — Jasna cera, bursztynowe oczy i

księżycowe włosy — wyliczył. — Bardzo, bardzo oryginalne. Kobiety są jednak niezwykle. W pierwszej chwili, przyznaję, zaszokowała mnie ta nowość, teraz patrzę jak urzeczony. Szczęściarz ten Merlin.

Panna Rouy raz jeszcze spłonęła. Od czasu kolacji z inspektorem jej samopoczucie znacznie poprawiło się. Po chwilowej niepewności, wywołanej okrzykiem Carpeau, znowu wracała do równowagi.

Panna Camlis trochę niecierpliwie nawiązała do poprzedniego tematu.

— Słyszał pan o lady Wintermoor?

— Nie — wyznał Carpeau. — Nie słyszałem albo nie pamiętam, żebym słyszał.

— A właśnie. Ta osoba była w "Cacadou", kiedy zamordowano Browna. Samotnie siedziała przy stoliku. Popielata suknia, ciemny szal, skromne perły, srebrzystoliliowe włosy, zamyślane spojrzenie... — Panna Camlis próbowała tonem oddać podejrzone cechy opisywanej kobiety. — Tańczyła z Leclotem.

— Z tym architektem? — zainteresował się Carpeau.

— Tak, z tym erotomanem. Stały bywalec "Cacadou", znam go dobrze z widzenia. W czasie morderstwa tańczył z fioletową lady, potem dama nawiała, bo rzekomo jest za wysoko urodzona, żeby mieć do czynienia z policją. A pod tym szalem mógł być ukryty nóż...

— Aż mnie mrowie przeszło. Co prawda, robota nie wydaje mi się odpowiednia dla kobiety.

— Nie zna pan kobiet.

— Znam raczej słabo. — W jego głosie brzmiała żartobliwa nuta. — Ale za to Merlin, który w tej dziedzinie ma wyniki lepsze ode mnie, z pewnością przeprowadził wszystkie nieodzowne badania. Mogą panie chyba na nim polegać.

Panna Rouy, o władnięta nagle zaufaniem do młodego człowieka, zaczęła szybko mówić: wyrzucane przez nią nerwowo zdania świadczyły o prawdziwym przejęciu się sprawą. Ponieważ większość underwoodów wróciła do normalnego szumu, Carpeau pochylił się w stronę panny Rouy, by dobrze słyszeć przyciszone słowa.

— Proszę pana, ja ją przecież widziałam. Widziałyśmy ją obydwie z Reną, siedziała tak jak stąd do okna. Tylko rzuciłam okiem, uderzyło mnie w niej coś niesamowitego. Niby spokojna, opanowana, a w oczach napięcie i po prostu ogień. Twarz blada, prosty nos, gładkie czoło — nic szczególnego, tylko te oryginalnie ufarbowane włosy koloru oksydowanego srebra z odcieniem lila. Piękne włosy, od razu jej tych włosów pozazdrościłam. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że kiedy Colibri zachęciła gości do tańca, Leclot poprosił "lady Wintermoor". Ręczę, że mu obiecała właśnie slow_foxa. Leclot mocno już był pod gazem; kokietując faceta pijanego wiedziała, co robi, no nie? Na parkiet poszła w szalu... Jeżeli chodzi o szczegóły garderoby, może pan na mnie polegać. Dał się słyszeć krzyk, a potem zabłysło światło. Wtedy zniknęła w tłumie i ogólnym popłochu.

— Zniknąć nie jest łatwo — wtrącił Carpeau.

— Niech pan nie będzie dzieckiem! — zawołała panna Camlis. — Od czego miała tego Leclota, bywalca lokalu, żyjącego za pan brat z kelnerami, szatnierzami i portierem. Szkoda, że pan tej kobiety nie widział.

— Żałuję.
— Wypisane miała na twarzy...
— Co miała wypisane na twarzy?
— Zbrodnię.
— Panie macie romantyczne główki i naczytałyście się sensacyjnych opowieści — powiedział Carpeau. — Joe Brown zakłuty został ciosem gangstera, nie kobiety.
— Kobieta też może być gangsterem.
— Nawet nazywa się Laleczka — roześmiał się Carpeau.
— No widzi pan, wszystko klapuje. Ciągłe rzucała okiem na tego czarnego pod drzwiami
— rzekła panna Camlis. — Może bym nie zauważyła, gdyby mi się tak nie podobał. Pewnie byli w porozumieniu albo i tego chciała machnąć.
— Czy panie zwracały się z tych spostrzeżeń inspektorowi?
— Tak.
— Nie z wszystkiego — sprostowała panna Rouy. — Bardzo jest teraz zajęty. Kiedy wczoraj wieczorem w zakładzie "Cleo" poprosiłam o zrobienie mi włosów srebrnolila, fryzjer nazwał tę fryzurę ~a la lady Wintermoor...
Dowiedziałam się od niego, że była taka w Nicei, bardzo ekscentryczna, że miała oryginalny kolor włosów i że już wyjechała.
— No więc?
— No więc — powiedziała z przekonaniem panna Rouy — rozumiem, dlaczego inspektor dał się wywieść w pole. Uwierzył, że lady Wintermoor i dama z "Cacadou" są jedną i tą samą osobą. Przedtem uwierzył w to Leclot, mile polechtany wyróżnieniem; na pewno wyznał ciekawostkę dyrektorowi, ten poinstruował kelnerów itd., itd. Mężczyźni są próżni i nierozgarnięci. Oto moje zdanie.
— Jak można tak nieprawidłowo myśleć? — zniecierpliwiał się Carpeau. — To, co pani mówi, przeczy prostej logice.
— Niech sobie przeczy — zgodziła się panna Rouy. Mało mnie to wzrusza.
Najważniejsze, że ta dama nie jest żadną lady, i według mnie zgładziła z tego świata amerykańskiego obywatela Joego Browna.
Carpeau zaczął się denerwować.
— Każde, choćby trzeciorzędne śledztwo przeprowadzam z ogromną skrupulatnością. Niczego nigdy nie lekceważę, nawet intuicji. Przysiadłem się do pań, bo każdego świadka szacuję na wagę złota. Wiem, że panie tamtego wieczoru były w "Cacadou", teraz w tej speluncie zanoszą się na nową chryję. Merlin dał mi odpowiedzialne zadanie, szukam więc jakiegoś punktu zaczepienia. Jakiegoś tricku czy świeżego śladu...
— Ma pan bardzo dobry ślad: kobieta w popielatej sukni z srebrnolila fryzurą.
— Czy ona istotnie przyglądała się w widoczny sposób Cabsowi?
— Tak.
— I w czasie zbrodni tańczyła?
— Tak.
— I potem zauważono jej nieobecność?
— Tak. Jeszcze niech pan przyjmie do wiadomości, że przez cały wieczór miała na rękach naciągnięte rękawiczki.

— Rękawiczki?

— Tak.

— I co na to Merlin?

— Nic.

— Czy pani lubi przygody, panno Ninon? — zapytał niespodziewanie Carpeau.

Pannie Rouy dane było jeszcze raz zaczerwienić się.

— Dlaczego?

— Mam pewien pomysł. Ale najpierw chcę wiedzieć, czy pani lubi przygody?

Przez stukot maszyn panna Rouy usłyszała bicie własnego serca. Rzekła:

— Lubię.

— W takim razie poproszę panią na małą konferencję do mojego pokoju. Merlin zezwolił mi w ciągu dzisiejszego dnia rozporządzać personelem prefektury.

— A ja? — panna Camlis była okropnie zawiedziona.

— Proszę się nie martwić — powiedział Carpeau. — I dla pani znajdę coś w niedługim czasie.

— E tam — wzruszyła lekceważąco ramionami panna Camlis. — Sama sobie poradzę.

XV

O pierwszej panna Rouy wyszła z pokoju Alaina Carpeau i wkrótce potem opuściła gmach prefektury. Carpeau połączył się z sierżantem Gobin, by przyjąć przez telefon nową porcję meldunków. Wynikało z nich, że Cabs i Terence nadal przebywają w obrębie hotelu, ostatnio zjedli lunch i popijają w tej chwili na tarasie kawę. Amerykański bogacz Gregory Thomson w towarzystwie swego sekretarza kończy spożywanie posiłku w restauracji: przed półgodziną wrócili obydwaj z miasta, obciążeni czasopismami. Thomson zjadł kurę w rosoli i zamówił kompot z brzoskwiń. Przed jedzeniem zażył lekarstwo, starannie odmierzone przez sekretarza. Szósta brygada została na noc zmobilizowana.

Carpeau odłożył słuchawkę, wstał zza biurka i spacerując wzdłuż swego małego pokoju intensywnie coś rozważał. W czasie wędrówki zatrzymał się na parę minut przy oknie.

Uniósłszy zasłonę zatopił spojrzenie w pulsującym na dole ruchu. Mimo skwarnej godziny ulica nie była wyludniona. Kolorowe plamy samochodów płynęły szarymi korytami. Miniaturowi przechodnie zmierzali do swych niewiadomych celów, jakaś para długo studiowała rozlepione na kiosku afisze. Trzech starszych panów wiodło ożywioną dyskusję przy krawężniku; z wyżyn drugiego piętra można było sądzić, że podlegają silnemu wzburzeniu, ale nagle uścisnęli sobie serdecznie dłonie i rozeszli się w trzech różnych kierunkach. Południowcy. W pewnej chwili Carpeau zauważył wychodzącego inspektora. Merlin wsiadł do służbowego wozu i odjechał. Zje obiad, prześpi się, wieczorem, wyświeżony, zajmie stolik w "Cacadou" i będzie ciekawie śledził przytomność umysłu młodszego kolegi.

Przed podjazdem stał stary ford Alaina Carpeau i drugi, służbowy citroen. Szofer majstrował coś przy motorze.

— Wpół do drugiej — powiedział sam do siebie Carpeau, spoglądając na zegarek.

Poczuł głód.

W podziemiu gmachu mieścił się prymitywny bufet, czynny przez cały dzień. Można było

dostać w nim kanapkę, ciastko, słabe wino i lurowatą kawę. Carpeau postanowił coś przegryźć. Dla porządku, przechodząc koło pokoju Gobina, uchylił drzwi i zakomunikował, że schodzi na dół.

Przy bufecie stał sierżant Marly i popijał z grubej szklanki czerwonego cienkusa.

Carpeau poprosił o bułkę z serem.

— Nie idzie pan na obiad? — zapytał towarzysko Marly.

— Nie mam czasu. Inspektor Merlin dał mi ekstra robotę — uśmiechnął się Carpeau.

— Wszystkich nas dzisiaj postawił na nogi. Na mieście ostre pogotowie, w biurze dyżury. Nicea zmienia się powoli w Chicago.

Usiedli przy topornym stole przykrytym ceratą.

— Nie napije się pan wina? — zachęcił policjant.

— Nie, jakoś nie mam ochoty... Poczekam, aż mnie pan poczęstuje koniakiem.

— Jakim koniakiem? — w pierwszej chwili nie zorientował się sierżant. — Ach, rozumiem, Gobin powiedział panu o naszym zakładzie. Poczywy Gobin, stary maniak. Polityk od siedmiu boleści. Nigdy nie wyjdzie, biedak, poza stopień sierżanta, bo ma klapki na oczach: widzi tylko spiski antynarodowe. Tymczasem Francja daje sobie jakoś radę, a inspektor Merlin ma własny pogląd na ostatnią aferę. — Marly rozgadał się. W tej gangsterskiej chryi z rozpylaczem jak amen w pacierzu siedzi baba... Wspomni pan moje słowa.

Na ladzie zadzwieczał telefon. Carpeau ujął słuchawkę: sierżant Gobin dawał znać, że jest już druga, i zgodnie z poleceniem codziennych komunikatów meldował:

— Wszyscy siedzą na tarasie pod parasolem. Cabs, Terence, Thomson i jego sekretarz, niejaki Krauf. Grają w brydża. Kelner podał im cztery soki ananasowe. Thomson licytował trzy piki. Niech pan zwróci uwagę, panie Carpeau, na nazwisko Krauf. Był już Brown, a teraz mamy Kraufa. Dziwnie dużo Niemców w tej Ameryce, nie uważa pan? He, he, rozumiemy się chyba.

— Dziękuję — przerwał Carpeau.

— Czy ma pan dalsze polecenia?

— Na razie to samo. Za godzinę zgłoszę się do was. Cześć. — Carpeau odłożył słuchawkę i powiedział:

— Ma pan trochę czasu, sierżancie Marly? Mógłby mi pan przez kwadrans towarzyszyć w wyprawie na miasto? Stoi wolny Citroen.

— Bardzo chętnie. Coś ważnego?

— Drobiazg. Wpadniemy na chwilę do biura podróży. Mam tam uzyskać pewną informację. — Zniżył głos i patrząc sierżantowi sugestywnie w oczy wyjaśnił: — Podczas gdy będę załatwiał przy okienku moją sprawę, pan odda się bacznej obserwacji wszystkich interesantek płci żeńskiej. Zgoda?

Marly wpadł od razu w miłe podniecenie.

— Takie buty! Już ja je poobserwuję, nie ma strachu. Jak orzech wyłuskam każdą podejrzaną facetkę. Nawet nie domyśla się pan, co za wąż posiadam w tych rzeczach. Kiedyś, ze trzy albo cztery lata temu, pamiętam, jechałem na urlop do siostry, która ma wcale ładne gospodarstwo w południowej Bretanii. Wchodzę do pociągu i co mi się rzuca w oczy?

- Nie mam pojęcia.
- Kobieta. Siedzi i obiera nożem jabłko.
- Ciekawe.
- Nawet bardzo ciekawe.

Marly wziął się poważnie do opowiadania swojej przygody. Mówił, gdy szli do samochodu, mówił w trakcie jazdy. W biurze podróży musiał zrobić małą przerwę, za to pofolgował sobie w drodze powrotnej. Była to zawiła historia, mająca na celu uwypuklenie zarówno talentów sierżanta, jak i kobiecej perfidii; miała tę dobrą stronę, że pozwoliła Alainowi Carpeau przebywać w świecie własnych idei kryminalnych pod warunkiem jedynie równomiernego kiwania głową na znak aprobaty i podziwu.

W ciągu dwudziestu minut byli z powrotem w hallu prefektury. Wtedy sierżant zreflektował się, szybciej nieco dobił do pointy i na zakończenie uspokoił towarzysza:

— Wszystkie lustrowałem od stóp do głów i powiem panu szczerze, każda ma na twarzy wypisane amory i zbrodnię, a w torbie może nosić pistolet.

Carpeau roześmiał się i klepnął policjanta w plecy:

— Chwała Bogu, że uszliśmy z życiem.

Okolo trzeciej detektyw odwiedził Gobina i zostawił nowe zlecenia. Oto one: dyżurny portier w "Tarasconie" winien począwszy od osiemnastej notować szczegółowo czas wychodzenia i powrotu wszystkich gości. Tymczasem Gobin miał świeży komunikat: panowie Thomson i Krauf przegrali robra, sekretarz odmierzył pryncypałowi krople i zabrano się do kontynuowania zabawy. Kelner, pozostający w niejakich związkach z prefekturą, pochwyił słowa Terence'a: "Kto nie ma szczęścia za dnia, ten ma szczęście w nocy"; Amerykanin wypowiedział te słowa skręcając się ze śmiechu.

O wpół do czwartej Carpeau pojechał windą na najwyższe piętro, gdzie mieściło się w kilku pokojach zasobne archiwum. Tam spędził wiele godzin szperając w dziale prasowym pod nagłówkiem: "Stany Zjednoczone". Pracował metodycznie przeglądając wycinki z kroniki kryminalnej wszystkich zebranych dzienników począwszy od roku 1950. Niektóre materiały prznosił do podręcznego notesu, inne powierzał pamięci, zaznaczając tylko źródła. Co godzinę komunikował się z Gobinem, o siódmej wieczorem zluźował sierżanta, zajmując jego miejsce przy telefonie. Wysłał do Cottarda umyślnego po pierwszą część terminarza "wyjść i powrotów". Serwis telefoniczny donosił, że brydż na tarasie skończył się dopiero o osiemnastej, po czym pan Thomson z sekretarzem poszli do numerów nieco wytchnąć, a Cabs i Terence pobiegli wesoło na promenadę. Jeśli chodzi o pisemne informacje Cottarda, to trzeba nadmienić, że były one prowadzone z pedanterią godną głównego księgowego. Na poliniowanym kolorową kredką arkusza wypisano jedno pod drugim wszystkie nazwiska. U góry widniały rubryki zatytułowane: miejsce zamieszkania, numer pokoju, cena, godzina wyjścia, godzina powrotu, osoby towarzyszące, znaki szczególne, uwagi. W tych uwagach na przykład Carpeau znalazł adnotację przy niejakiej panie Róży Nard z Australii: "świeżo od fryzjera", a przy panu Nilsie Renstrom ze Sztokholmu: "kazał przysłać do pokoju o #;; lekką kolację, wino i nakrycie na dwie osoby". Przy Georgym Thomsonie zaznaczono maczką "wieczorem zajmie apartament 113, polecił służbie przenieść rzeczy po godz. #;;, w czasie swej nieobecności".

O wpół do dziesiątej Carepau rzucił w teren szóstą brygadę i wysłał wóz po inspektora. Kiedy Merlin zajechał, detektyw czekał na niego w hallu. Merlin wyświeżony, w smokingu, objął młodszego kolegę krytycznym okiem:

— Pan się nie przebrał?

Carpeau odpowiedział dosyć beztrąsko:

— Służba nie drużba, panie inspektorze. Po pierwsze zabrakło mi czasu, a po drugie nie zamierzam się zbytnio udzielać.

— Pańska sprawa — zgodził się Merlin. — Oto fatalny nawyk przełożonego. Niech mi pan daruje, zapomniałem o zamienionych rolach.

— Nic nie szkodzi.

— Zadzwoń jeszcze do panny Camlis — rzekł inspektor. — Nie ma pan chyba nic przeciw temu, że spędzę z nią dzisiejszy wieczór. Będzie mi jednak trochę weselej — westchnął. — Obiecałem, że jadąc do "Cacadou" zatrzymamy się przed jej domem. Carpeau pokiwał głową nad obrotnością maszynistki. Nagle zabrzączał dyżurny telefon. Carpeau podbiegł.

— Tak, to ja. Dobrze, dobrze — potakiwał. — Doskonale. Dziękuję, Cottard. Widzę, że przypadł panu do samku zawód detektywa. W porządku. Dziękuję.

Po upływie kwadransa Merlin i Carpeau w towarzystwie panny Camlis wysiedli z samochodu i szybko weszli tylnym wejściem do nocnego lokalu "Cacadou".

XVI

Orkiestra w białych smokingach grała niemrawe tango, w lokalu było pustawo, nikt jeszcze nie tańczył. Kiedy Merlin w towarzystwie panny Camlis wszedł na salę, od ściany oderwał się chudy kelner i poprowadził gości do stolika. Był to ten sam stolik, który zajmowali w dniu pamiętnych urodzin inspektora, doskonale usytuowany między parkietem a przeciwległą do wejścia ścianą, w której mieściły się drzwi na taras, dzisiaj zamknięte i szczelnie zakryte kotarą.

— Duszno — stwierdziła panna Camlis, zasiadając po lewej ręce Merlina. Inspektor usadowił się twarzą do wejścia; widział w ten sposób całą salę.

— Uprzedziłem panią, że dzisiejszego wieczoru może być gorąco — odrzekł dwuznacznie, nie zważając na obceność stojącego opodal w służbistej postawie kelnera.

— Tak, oczywiście... — bąknęła skonsternowana panna Camlis. — Zresztą bardzo przyjemnie... Lubię ten lokal.

— Dyrektor nieobecny? — zagadnął kelnera Merlin.

— Owszem, jest u siebie — powiedział niespodziewanie głośno usługujący. Głos miał dźwięczny i nastrojony na nutę melodeklamacyjną. Nagle spuścił głowę i dodał zdecydowanym szeptem: — Nie bardzo w sosie, nie w smak mu towarzystwo...

Merlin uniósł brwi i wziął się do studiowania karty.

— Macie jakieś przyzwoite wino? — pytał od niechcenia, jak przystało na bywalca.

Dryblas popadł w krótkie zamyślenie, po czym wyrzucił z siebie słowa, które z uwagi na towarzyszący mu tembr i nasilenie mogły być śmiało początkiem pieśni:

— Szampan cordon_rogue chłodzi i dodaje ognia.

— Dobrze, niech będzie szampan. Kolację zjemy później.

— Rozumiem — kelner skłonił się i niesłychanie szybko zniknął.

— Dziwny typ — powiedziała panna Camlis. — Dla mnie wybitnie podejrzany. Merlin parsknął śmiechem.

— To nasz agent. Bardzo zabawny facet, zresztą dobry pracownik. Nosi na barkach bogatą przeszłość. Był nurkiem, barmanem na statku, kelnerem w kilku zakazanych knajpach, występował też w cyrku. Wyglupia się korzystając z tego, że na sali puchy i że mam do niego słabość. — Inspektor rozejrzył się wkoło. — Widzę, że nasz przyjaciel Alain wziął sobie do serca dzisiejszą zabawę...

"Cacadou" świeciło jeszcze pustką. Gdzieniedzie siedziały niewinne, nie przeczuwające niczego parki, poza tym w dziwnie regularnych odstępach tkwili przy stolikach mężczyźni, samotnie albo po dwóch, owiani kłębam dymu, zatopieni w myślach nad kieliszkami z alkoholem, o których zdawali się nie pamiętać. Reprezentowali oni wszystkie niemal typy męskiej urody i męskiego wieku, a mimo to odnosiło się wrażenie, że łączy ich jakaś jedyna troska. Tylko wspólny stolik sierżantów: Gobin i Marly, odmienionych nie do poznania w oryginalnego kroju smokingach, mógł przywozić na myśl trochę weselsze życie prowincjonalnych kupców.

Weszło właśnie liczne towarzystwo, składające się z ładnych kobiet i eleganckich mężczyzn, za nimi dziarsko wkroczyła podtusiała para zapewne Belgów lub Holendrów, widocznie żadna smaku wszystkich nicejskich rozkoszy. Orkiestra zagrała fokstrota, zrobiło się naturalniej.

Po cudzoziemskiej parze zjawiła się grupa młodych dziewcząt, które z największą swobodą roztasowały się w głębi przy dużym stoliku w loży i wśród podnieconych chichotów lustrowały bezczelnie lokal. Orkiestra wzmocniła perkusję, starsi państwo z Holandii lub Belgii wbiegli na parkiet i zaczęli z szaloną szybkością bawić się za swoje pieniądze. Samtni mężczyźni spoglądali posępnie na lożę dziewcząt.

Obok inspektora Merlin wyrósł spod ziemi chudy kelner i zaczął ustawiać kieliszki.

— Mrozi się — zaraportował melodyjnie. Spuściwszy głowę przeszedł na swój mistrzowski szept: — Privet kłóci się z jakimś facetem. Carpeau melduje, że wszystko w porządku.

Goście z wolna napływali. Około wpół do jedenastej zjawił się na sali Privet. Rzucił okiem na wolne jeszcze stoliki, zrobił przegląd zajętych, zręcznie omijając przedstawicieli policji, zamienił parę słów z kelnerami i zaopiekował się jakimś nowo przybyłym towarzystwem. Robiło się coraz ciasniej.

— Przyszedł adorator lady Wintermoor — powiedziała nagle panna Camlis.

Leclot, mizerny, wyraźnie niedospany, stał przy wejściu i przyglądał się obojętnie sali. Przez moment zatrzymał wzrok na miejscu, gdzie pod ciemnopomarańczowym abażurem znajdował się mały stolik, obecnie przez nikogo nie zajęty. Zamiast tajemniczego spojrzenia angielskiej arystokratki poczuł na sobie świdrujące oczka siedzącego w sąsiedztwie sierżanta Gobin, wobec czego zakręcił się na pięcie i poszedł w stronę baru.

Tymczasem były nurek z dyskrecją podwiózł do stołu Merlina otulone serwetami wiaderko, orkiestra zagłuszyła wystrzał korka, utonęły w niej także słowa przeznaczone wyłącznie dla uszu inspektora.

— Carpeau otrzymał z "Tarasconu" komunikat, że niejaki pan Thomson opuścił przed

chwilą hotel. Ten człowiek przybył do Nicei na "Prince de France" w wiadomym dniu. Dzisiaj przenosi się do apartamentu sąsiadującego z pokojami C. i T. Jegomość, z którym kłócił się Privet, nosi nazwisko Woschynsky. Siedzi w garderobie artystek. Mam nadzieję — podniósł głos do wyżyn operowych — że ten gatunek szampana odpowiada pani?

— Owszem — zgodziła się uprzejmie panna Camlis, która ten gatunek szampana piła po raz pierwszy.

Orkiestra bisowała sambę i na parkiecie uwijało się już kilkanaście par. Nastrój stawał się coraz swobodniejszy. Jeden facet z obstawy zaryzykował i poprosił do tańca panienkę z łoży. Ostatecznie nic niepokojącego dotąd nie zaszło, a parkiet był takim samym terenem obserwacji, jak każde inne miejsce w "Cacadou" czy okolicy. Sierżant Marly najwidoczniej także nie mógł usiedzieć, bo już drugi raz wychodzi do szatni, zostawiając Gobina samego. Ten z niewzruszonym spokojem sączył wino z wysokiego kieliszka, w którym od godziny prawie nic nie ubyło.

Merlin i panna Camlis z rzadka wymieniali uwagi. Inspektor próbował bawić młodą kobietę, ale panna Camlis wykazywała coraz silniejsze zdenerwowanie i nie mogła się skupić na żadnym temacie.

— Była pani na jakimś ciekawym filmie? — zagaił jeszcze raz inspektor.

— Ja? Tak. To znaczy, nie, nie byłam — odrzekła z roztargnieniem panna Camlis. — Przepraszam pana na chwilę, zaraz wrócę.

Przeszła przez salę budząc zainteresowanie znacznej części gości. Wróciła bardzo prędko i lokując się przy Merlinie informowała podnieconym szeptem:

— W damskiej toalecie także urzęduje tajniak. Zobaczyłam mężczyznę, myślałam, że się pomylił, więc ostro zwróciłam mu uwagę.

Inspektor powiedział:

— Za mało mamy kobiet.

— Ach, nie o to chodzi — zachnęła się panna Camlis. — Tylko naprawdę coś wisi w powietrzu. Coś się dzisiaj stanie.

— Skoro mężczyzna wszedł do damskiej toalety, to rzeczywiście coś się może stać — przyznał z powagą Merlin.

— Jest pan niemożliwy, wszystko obraca pan w żart. A tymczasem atmosfera naładowana jest wypadkami. Nie czuje pan?

— Kochana panno Reno — rzekł łagodnie Merlin — zupełnie niepotrzebnie podnieca się pani. My, to znaczy pani i ja, przyszliśmy do "Cacadaou" prywatnie. Nas doprawdy te sprawy nic nie obchodzą. Kto inny będzie zbierał laury albo poniesie klęskę. Miałem tu zjawić się wyłącznie jako statysta, ale od momentu, w którym zadzwoniła pani i zaofiarowała mi swoje towarzystwo, zapragnąłem spędzić kilka miłych godzin pod hasłem rozrywki, odpoczynku i... hm, jak by to określić... satysfakcji.

— Proszę nie kłamać — powiedziała wahająco panna Camlis. — I tak wiem, że woli pan Ninon Rouy...

W inspektorze Merlin na dobre obudził się mężczyzna.

— Nie wierzę, żeby pani to mówiła serio. Panna Rouy jest ogromnie sympatyczna, ale po pierwsze znacznie od pani brzydsza, po drugie starsza... — tak się zapalił, że powiedział

w końcu — a po trzeciej nudniejsza.

— Czy ja wiem — zamyśliła się panna Camlis. — Gusta mężczyzn są tak oryginalne.

— Kiedy zagrają tango, pozwolę sobie zaprosić panią do tańca. Nie jestem w tej dziedzinie mistrzem, ale wszak nie święci garnki lepia.

Panna Camlis zreflektowała się:

— My będziemy tańczyć, a przez ten czas mogą zajść nieprzewidziane wypadki.

— Jestem pewien, że żadne wypadki nie zajdą.

— A Laleczka? A gangsterzy? — pytała gorączkowo.

— Laleczka prawdopodobnie nie istnieje, a gangsterzy nie są dziećmi, żeby się pchać w sam środek policji.

— Tak pan mówi, żeby mnie uspokoić. Zupełnie niepotrzebnie, bo ja się niczego nie boję. Jestem idealnie opanowana, a gangsterzy w ogóle nie robią na mnie wrażenia. — Nagle wydała zduszony okrzyk.

Merlin odwrócił głowę.

W szerokich szklanych drzwiach, oddzielających salę dancinową od hallu, stali Cabs i Terence.

Inspektor chrząknął, panna Camlis drżąc wyrzucała urywane słowa:

— Tak, to oni... poznaję... Byli wtedy, siedzieli z kobietami... potem uciekli. Co za twarze... okropność. Teraz się zacznij.

— O ile sobie przypominam, ten czarny dosyć się pani podobał — zauważył Merlin.

Cabs i Terence stali nieporuszeni, wpatrując się w salę. Terence olbrzymi, błękitnooki, radośnie uśmiechnięty jak wyrostek w lunaparku, i czarny Cabs o twarzy nieprzeniknionej. Skończył się właśnie taniec i parkiet pustoszał. Terence pierwszy dostrzegł inspektora Merlina; odkrycie to jeszcze silniej go rozbawiło, wymierzył Cabsowi kuksańca i jął przepychać się między stolikami w stronę Merlina. Cabs szedł parę kroków za Terence'em.

— Matko Przenajświętsza — pomodliła się panna Camlis.

— Czołem, szefie! — wołał już z daleka Terence. — Jest do szefa zażalenie. Jakiś źle wychowany chłopiec obmacał nas przy wejściu. Amerykańscy turyści nie lubią, jak się ich łaskocze, gdzie nie trzeba.

Stanęli nonszalancko przy krześle inspektora. Panna Camlis zbladła.

— Czy być może? — zdziwił się troskliwie Merlin. — Zaszło chyba nieporozumienie.

Musiał was wziąć za kogo innego, nie za amerykańskich turystów.

— Co znaczy: nie za amerykańskich turystów? A za kogo? Przecież mówimy po angielsku, to chyba wystarczy.

— Może właśnie za Anglików... Chętnie przeproszę konsula. A poza tym pragnę panów poinformować, że jestem tu dzisiaj, tak samo jak i wy, prywatnie. Biedny, skołatany urzędnik też czasem chce się zabawić.

Terence zaniósł się śmiechem.

— Świetny dowcip. Słyszysz, Clive, chce się zabawić. Coś wspaniałego. Biedny urzędnik chce się zabawić tak jak i my.

— Dobrze, dobrze — powiedział Cabs i podszedł do najbliższego stolika.

Stolik ten znajdował się z prawej strony inspektora, więc kiedy Amerykanie rozsiedli się,

panna Camlis miała ich naprzeciw, a inspektor zwrócony był do przybyszów bokiem. Cabs nie zmieniając ani na jotę ponurej miny i twardego spojrzenia posłał pannie Camlis całusa. Młoda kobieta gwałtownie się zaczerwieniła i w pierwszym odruchu chciała zmienić miejsce, ale mieć gangsterów za plecami, też nie było dobrym pomysłem. Spuściła więc powieki i dopiero po dłuższej chwili ostrożnie je uniosła. Wtedy Cabs przymknął jedno oko. Kiedy młoda kobieta wytrzymała ten manewr z godnością, Amerykanin w bezgłośnym śmiechu ukazał połyskujące białe zęby, co pannie Camlis przywiodło na myśl tygrysa w dżungli.

Terence nadal zachowywał się hałaśliwie.

— Popatrz, Clive, ilu chłopców! Jacy śliczni chłopcy! A ci dwaj pod abażurem najładniejsi.

— Ostatnia uwaga dotyczyła niewątpliwie sierżanta Gobin i sierżanta Marly. — Ten też niebrzydki — radośnie podskoczył na krześle, wskazując chudego kelnera o wielu zawodach, który zbliżał się, by przyjąć zamówienie.

— Koniak — powiedział krótko Cabs i zrobił płaski ruch ręką, dający obrazowo do zrozumienia, że sprawa załatwiona i można zjeżdżać.

Na pierwsze dźwięki fokstrota Cabs uniósł się, spojrzał na pannę Camlis i wykonał coś pośredniego między ukłonem a tikiem głowy.

— Niesłychane — syknęła, dotknięta do żywego.

— Niech pani idzie — rzekł cicho, lecz sugestywnie Merlin. — Niech pani zrobi ofiarę.

Trzeba ich mieć na oku...

Panna Camlis bardzo wolno wstała i nie patrząc na Amerykanina poszła w stronę parkietu. Merlin uśmiechnął się pod nosem. W tej chwili kelner zaproponował mu kartę.

— Państwo życzyli sobie kolację!

Merlin otworzył jadłospis i przeczytał, co następuje:

"Przygotowałem eksperyment. Chodzi o zaskoczenie. Proszę obserwować Amerykanów. C".

Terence wrzasnął jak opętany:

— Dobry wieczór, panie Thomson! Dobry wieczór, panie Krauf! Stolik dla króla konserw! Dyrektor lokalu, Privet, prowadził dwóch nowych gości do wolnego stołu, tym razem po lewej ręce inspektora Merlin.

Witany owacyjnie przez Terence'a pan Thomson był szczupłym jowialnym jegomościem pod pięćdziesiątkę, a towarzyszący mu pan Krauf, młody człowiek o silnie rozwiniętej szczęce, uosabiał klasyczny typ wysportowanego Amerykanina, często reprodukowany na wszelkiego rodzaju afiszach, nawołujących obywateli Stanów Zjednoczonych do korzystania z dóbr zarówno materialnych, jak i duchowych.

Pan Thomson uśmiechnął się serdecznie do Terence'a, potem do Merlina, a na koniec do Priveta. Robił wrażenie człowieka o gołęmbim sercu. Jego sekretarz, pan Krauf, wziął z rąk szefa lokalu ozdobnie oprawny spis potraw i począł równym głosem odczytywać bogaty zestaw; kiedy dotarł do ananasa z lodu, który zamykał listę, pozwolił sobie zauważyć, że losoś z wody jest potrawą lekką i wskutek tego nadającą się do spożywania o późnej porze. Pan Thomson od razu zaaprobował zdanie młodego człowieka. Dobrotliwość musiała być jego główną cechą.

— Dwa razy losoś, woda mineralna, szklanka zwykłej wody do lekarstwa, następnie

kompot z jabłek — oznajmił sucho Krauf i dodał: — Alkohol nie używamy.
Terence, który cały czas ponad głową Merlina obserwował z zainteresowaniem dwóch hotelowych towarzyszy, ostatecznie zdanie sekretarza przyjął nowym wybuchem nieposkromionej wesołości.
— Kompotu z jabłek, niestety, nie mamy — oznajmił z żalem Privet. — Jest doskonały kompot z moreli.
— Co? — zdziwił się nieprzyjemnie Krauf. — Nie ma kompotu z jabłek? To proszę się postarać. Pan Thomson po kolacji jada wyłącznie kompot z jabłek.
— Szefie — wołał Terence do Merlina — słyszy pan? Trzeba w tym lokalu zrobić porządek. Nie mają kompotu z jabłek, ale rewidują amerykańskich obywateli? A potem ich jeszcze zabijają. Co? Dobry dowcip? Robimy porządek!
Pan Thomson wyjął cygaro, obejrzał je ze wszystkich stron, następnie schował do kieszeni. Ciągłe łagodnie się uśmiechał. Kiedy przyniesiono szklankę wody, sekretarz odmierzył jakieś krople, które pan Thomson duszkiem wypił.
Kelnerzy krzżeli się przy stole pana Thomsona z zapalem. On sam rozglądał się dokoła z dużym zadowoleniem.
— Ciekawe, o której zaczyna się program? Występy artystyczne?
— O dwunastej, proszę pana — objaśnił kelner.
Orkiestra umilkła. Panna Camlis wróciła. Cabs przytknął palec do skroni i tym sposobem udało mu się za jednym zamachem podziękować damie oraz powitać znajomego.
— No i cóż? — zapytał dyskretnie inspektor.
Panna Camlis lekko wzruszyła ramionami.
— Nic. Dostyc dobrze tańczy.
— Ale co mówił?
— Co miał mówić? Nic waznego. Zresztą słabo znam angielski... Jeżeli dobrze zrozumiałam, to na kogoś czekają... W ogóle nie wyglada mi na gangstera.
— Oto współpraca z kobietami — westchnął żartobliwie inspektor. — Już pani zawrócił głowę?... — W czasie gdy pani tańczyła, przyszło dwóch nowych Amerykanów. Siedzą za pani plecami. W ten sposób jesteśmy otoczeni.
Panna Camlis obejrzała się.
— Ten starszy pan? To także ma być gangster?
— Ja tego wcale nie twierdze — zastrzegł się Merlin. — Tyle że razem przyjechali do Francji i pozostają w zażyłych stosunkach.
— Czy my z tym wszystkim nie przesadzamy trocheę?
— Ja przesadzam? — zaśmiał się Merlin. — Ja?
— Nie, nie mówię, że pan. Tylko w ogólnosci... Od rana takie straszne nerwy, narady, pogotowie, obstawa. A tymczasem wszystko może być wysrane z palca.
— Co wysrane z palca? Przebicie nożem Joego Browna, czy podziurawienie na sito dwóch francuskich obywateli?
— Ojej, od razu się pan złości. Mam na myśli dzisiejszy wieczór. Po co policja pcha się w nie swoje sprawy?
— No pewnie. Sprawą policji jest pasanie owiec i splatanie wieńców.
— Ale pan jest dzisiaj niemożliwy. Co się panu stało? Sam pan przecież powiedział, że

Laleczka nie istnieje.

— Powiedziałem, że Laleczka prawdopodobnie nie istnieje. Również nadmieniałem, że gangsterzy nie są dziećmi, żeby włączyć w istne zbiegowisko policji. A jednak przyszli. Proszę!

— Czy to aby gangsterzy! Ten blondyn, no, jeszcze... Ale ten brunet raczej wątpię. Prędeż przypomina jakiegoś kowboja.

— Tak, zupełnie przypomina kowboja. A jeszcze bardziej prezydenta Roosevelta — powiedział Merlin. — W każdym razie jeżeli zechce z panią tańczyć, nie może mu pani odmawiać. Chodzi o sprawę.

— Właśnie — zgodziła się panna Camlis, nie chwytając ironii. — Wspomniał, że mnie jeszcze poprosi.

Cabs spełnił obietnicę i panna Camlis znowu opuściła inspektora. Terence korzystając z tego, że Merlin został sam, przysiadł się bez pardonu, nawet przeniósł swój kieliszek koniaku. Wcale nie proszony wygłosił entuzjastyczny, choć mało składny pan na cześć siedzącego obok pana Thomsona, przy czym pochwalił także Kraufa, ale już z mniejszym ogniem.

— Miłe chłopcy. Razem przepłynęliśmy ocean. Znają się na żartach — zakonkludował.

— Gdzie pan Thomson stale mieszka? — zainteresował się grzecznie Merlin.

— On? W Springfield. To pan nie wiedział? Cha, cha, cha. Świetny dowcip. Jego wszyscy przecież znają. Najbogatszy człowiek w stanie Illinois. Wytwórnia konserw "Meatcomplex". Niech pan na mnie spojrz!

Merlin spojrzał na Terence'a.

— No i co pan widzi?

— Przyznaam się, że nic szczególnego.

Terence aż się zwinął ze śmiechu.

— Nic szczególnego nie widzi! A to dopiero! Coś świetnego. Panie Thomson! — zawołał.

— Pan też nic we mnie nie widzi?

Pan Thomson powiedział bez wahania:

— Widzę w panu młodzieńca, który siły i zdrowie zawdzięcza stałemu odżywianiu się konserwami "Meatcomplex".

— A w panu Kraufie co pan widzi, panie Thomson? — indagował dalej Terence.

— W Kraufie widzę także młodzieńca, który siły i zdrowie zawdzięcza stałemu odżywianiu się konserwami "Meatcomplex". We wszystkich młodych i zdrowych obywatelach Ameryki Północnej widzę to dobroczynne działanie — oświadczył pan Thomson.

Terence ryczał z uciechy. Inspektor spojrzał na Thomsona z nieco większą uwagą.

— Klawy facet — mówił Terence. — Szaaalenie bogaty. Przyjechał tu odprężyć się. A ten młody to jego sekretarz.

— Już mi pan to komunikował.

— Tak? Świet... — zakrztusił się.

Wreszcie panna Camlis wróciła i Terence zmienił miejsce zabierając kieliszek.

— Za pięć dwunasta — powiedział inspektor.

— Za pięć minut zacznie się program — stwierdziła panna Camlis.

Saksofonista stanął na froncie podium i zawołał:

— Proszę państwa, za chwilę rozpoczną się występy.

Cabs i Terence wychylił koniak. Pan Thomson spojrział na zegarek, Krauf napełnił szklanek wodą mineralną. Publiczność przyjęła słowa saksofonisty wzmożonym szmerem, potem nagle przycichła.

Na sali ściemniono trochę światła, niewiele, o jeden ton zaledwie. Zarządzenie inspektora Merlin obowiązywało. W smudze reflektora załśnił parkiet.

Chudy, współdziałający z policją kelner podszedł do szklanych drzwi z zamiarem zasunięcia grubych, ruchomych skrzydeł, wstrzymał się jednak, bo właśnie w tej chwili stanęła w drzwiach kobieta. Płynące z hallu światło załamało się na jej oryginalnych włosach o barwie lila. Miała na sobie popielatą suknię, ciemny szal i czarne rękawiczki. Na szyi delikatnie połyskiwał sznur pereł. Stała przez trzy lub cztery sekundy, potem wśród prawie kompletnej ciszy, wywołanej z pewnością zainteresowaniem, jakie budzi wejście na dancinge samotnej kobiety, przeszła zdecydowanym krokiem przez spory odcinek sali i usiadła przy małym stoliku pod czerwonomarańczowym kinkietem.

Sierżant Gobin i sierżant Marly, zajmujący stolik sąsiedni, jak na komendę poruszyli się w krzesłach.

— Nadzwyczajne — szepnęła panna Camlis. — Po prostu nadzwyczajne.

Inspektor Merlin drogą prawidłowego, choć może o ułamek sekundy spóźnionego skojarzenia z notatką Carpeau — odwrócił głowę w prawo i zobaczył rozwartą w zakrzepłym uśmiechu gębę Terence'a, zobaczył też profil Cabsa aż nadto wyraźnie podany w stronę nowo przybyłej. Nie tracąc ani chwili na kontemplację, zwrócił głowę w lewo: pan Thomson kończył spokojnie spożywanie ryby, Krauf, przymknąwszy oczy, lał do gardła wodę mineralną.

Tymczasem saksofonista zszedł na parkiet i zapowiedział występ baletu. Orkiestra wykonała tusz. Z bocznych zamaskowanych drzwi wybiegły prawie nagie tancerki. Przed damą w popielatej sukni kelner postawił kolorowy napój w wysokiej szklance. W ręce opiętej czarną rękawiczką dama trzymała papierosa, drugą ujęła słomkę i pociągnęła łyk oranżady.

Tancerki wykonywały fantazję na temat rumbi, przekraczając w zakresie akrobatyki własne możliwości. Zresztą były to młode, ładne i zgrabne dziewczęta, mające wszelkie szanse zdobycia aplauzu publiczności. Niestety, pojawienie się samotnej damy rozbiło uwagę gości, nawet jeżeli nie wszystkich, to w każdym razie znacznej ich części. Gobin i Marly w ogóle zignorowali występ, a reszta pracowników prefektury czujnie rozglądała się po sali.

Toby Terence najwidoczniej opanował zaskoczenie, bo znenacka zawołał:

— Vive la France! — Był to dokładnie ten sam okrzyk, którym kilka dni temu Joe Brown uczcił nagość tancerek. — Popatrz, Clive, ta druga od końca, co?...

— Amerykański prostak — zaopiniował inspektor Merlin ówczesnymi słowami panny Camlis.

Tancerki skończyły wreszcie numer i pobiegły w kierunku zamaskowanych drzwi, wiodących do garderoby. Zbiły się w grupkę, dając komuś przejście.

— Pieśniarka Colibri! — zawołał donośnie saksofonista i wykonał pełną zawijasów

przygrywkę.

Pieśniarka Colibri w ciasno opiętej lamie wstępowała na parkiet. Wtedy na sali jeszcze bardziej przygaszono światła.

Koncentryczne działanie reflektora wzmoгло się; Colibri zamruwała długimi rzęsami, jednak szła dalej. Inspektor zmarszczył czoło, panna Camlis szepnęła:

— Po co gaszą światło?

— Nie wiem — odpowiedział Merlin.

Stanąwszy na środku parkietu Colibri rozpoczęła piosenkę o chłopcu, który dwa lata temu wyszedł po papierosy i dotychczas nie wrócił.

W słabym blasku ledwo żarzących się kinkietów pan Thomson wtórował pieśniarce równomiernym kiwaniem głowy, Krauf cicho podzwaniał palcami o szklanke.

Prawostronni towarzysze inspektora nareszcie siedzieli nieruchomo i w milczeniu.

Colibri wskoczyła na podium i podjęła refren:

Szukam mojego chłopca,@ czy nie ma go wśród was?...@

Saksofonista szerokim gestem zapraszał gości do tańca. Jednak ociągano się.

Szukam mojego chłopca,@ może nim jesteś ty?@ — Śpiewała Colibri, spoglądając smutno na inspektora Merlin.

Pierwsza wbiegła na parkiet para Belgów czy Holendrów, potem dwaj tajniacy poprosili panienki z łoży. W ślad za tajniakami podażyły jeszcze trzy czy cztery pary. Nie wiadomo dlaczego publiczność była dzisiaj oporna i nie dawała się wciągnąć w zabawę. Być może wskutek zarządzenia Merlina numer ten już zdewaluował się albo po prostu Colibri nie była w formie i nie umiała nadać słow_foxowi właściwego dowcipu.

Szukam mojego chłopca,@ może nim jesteś ty?@ — Zwróciła się nieprzekonywująco do jednego z tajniaków. Tajniak od razu spoważniał.

Terence ryknął śmiechem i urwał, bo właśnie rozsunęły się szklane drzwi i na salę weszli dwaj mężczyźni.

— Niech pan spojrzysz — zdenerwowała się ponownie panna Camlis.

Inspektor mimo przyćmionych świateł rozpoznał obydwoh mężczyzn. Jednym był architekt Leclot, drugim — Sergiusz Woschynsky. Obydwaj równocześnie przemierzili odległość dzielącą drzwi od stolika kobiety w popielatej sukni i obydwoj równocześnie ukłonili się. Pani o fioletowych włosach uniosła głowę; w mroku nie można było dostrzec wyrazu jej twarzy. Zgasła bez pośpiechu papierosa i wstała. Zwycięstwo odniósł Sergiusz Woschynsky.

— Więc to jest Laleczka? — gorączkowała się panna Camlis.

— Nie wiem, o kogo pani chodzi? O kobietę czy o mężczyznę?

— Nawet w takiej chwili chce się panu dowcipkować. Wiem, że Ninon Rouy nie jest Laleczką. Pytam o mężczyznę. Zna go pan?

— Owszem.

— No wieęc?

— Nie przypuszczam, żeby pan Woschynsky, podrzędny specjalista od rozmaitych walutowych machinacji, był krwawym Laleczką. Także nie sądzę, żeby stał na czele amerykańskiego gangu.

— To dlaczego z nią tańczy?

— Już nieraz zastanawiałem się, dlaczego ludzie tańczą...

Woschynsky i jego danserka podeszli do parkietu. Inspektor ciągnął dalej:

— A taki Cabs, na przykład, lubi tańczyć i nie tańczy. Też dziwne. Panie Cabs — nachylił się w stronę amerykańskiego stolika — dlaczego pan nie tańczy?

Zanim Cabs zdążył odpowiedzieć, na sali zrobiło się zupełnie ciemno. W jednej chwili wygaszono i lampy, i reflektory. Ciemności ogarnęły całe wnętrze: wszystkie stoliki, loże, parkiet, podium, a z nim razem orkiestrę. Prostokątna tafla między dancinikiem i hallem była jedynym bezpiecznym oparciem dla oka. W zespole muzycznym ucichł nagle fortepian, a zaraz potem czarną przestrzeń rozdarł kobiecy krzyk. Natychmiast po tym krzyku ostry lej reflektora objął postać Colibri. Pieśniarka stała na podwyższeniu — twarz miała ukrytą w dłoniach.

— Kto krzyknął — padło z głębi uroczyste pytanie. Merlin poznał głos sierżanta Gobin. Colibri spuściła ręce; uśmiechnęła się żałośnie, bezradnie.

— Przepraszam — powiedziała. — To ja. Przestraszyłam się.

— Świetny dowcip! — ryknął Terence. — Coś wspaniałego! Panie Thomson, jak się panu podobało!

— Doskonały chwyt — przyznał ukryty w ciemnościach Thomson.

Część gości zaczęła bić brawo. Niespodziewanie pękły lody i dużo osób poderwało się do tańca.

— Ładna ta Colibri — przekrzykiwał orkiestrę Terence. — Ale znałem ładniejszą. Więcej była podobna do kolibra.

— Tak, ta jest trochę za duża — zgodził się Thomson.

— O wiele za duża — chichotał Terence.

— Ma pan rację.

Wymiana zdań odbywała się, jak zwykle, przez stół inspektora, nad głową panny Camlis. Na parkiecie był już tłok.

Zgodnie z początkową koncepcją numeru, reflektor zaczął wędrować. Umieszczony gdzieś wysoko, penetrował salę i parkiet.

Colibri śpiewała z rezygnacją:

Szukam mojego chłopca,@ czy nie ma go wśród was?@

Reflektor wyluskiwał z ciemności mężczyzn: i tych przy stolikach, i tych tańczących slow_foxa. Skakał z jednego obiektu na drugi, obnażając gesty, miny, komiczne figury.

Publiczność nie posiadała się z radości.

Naraz snop światła znieruchomiał. Pan Thomson kilka razy machnął ręką, jakby odganiał dokuczliwą muchę. Publiczność ryknęła. Reflektor nie ustępował, Thomson był uwięziony w świetlistej klatce: pięć sekund, dziesięć... dwadzieścia — nieskończenie długo.

Amerikanin zachnął się, szarpnął pod sobą krzesło i uciekł. Ale zabójczy krąg dopadł go po drugiej stronie stołu. Wtedy Thomson chwycił leżącą obok talerzy kartę i zasłonił twarz. Sala trzęsła się od śmiechu.

Reflektor miał swoją metodę. Opuściwszy Thomsona uczeplił się drugiej ofiary. Sunął po parkiecie w tempie slow_foxa, okrutnie demaskując wszystkie subtelne tajemnice właścicielki fioletowych włosów: jej nieregularny nosek, trochę za duże usta, zmarszczki w okolicach oczu... Swoją drogą ukazywał jak na dłoni także i wdzięk zażenowanej

panny Ninon Rouy...

— Bardzo ładna — powiedział głośno Thomson. — W moim typie.

— Świetny dowcip — darł się Terence. — Brawo, bis! Coś wspaniałego.

Colibri zawodziła wypadając z rytmu:

Szukam mojego chłopca,@ może nim jesteś ty?@

Reflektor, nie rezygnując z metody, rozpoczął nową zabawę. Oswobodziwszy na moment fioletową głowę, łapał w niemiłosierny uścisk oblicze Thomsona — i tak na zmianę: raz Thomson, raz panna Rouy, i znowu Thomson, i znowu panna Rouy.

— Co to może znaczyć? — zapytała Camlis. — Bo na pewno ma to jakieś ukryte zna...

— Nagle urwała i przeraźliwie, rozdzierająco krzyknęła.

Orkiestra zamilkła w pół taktu. W ciszy zawołało kilku tajniaków na raz:

— Światło! Światło!

Rozbłysły wszystkie lampy.

Panna Camlis siedziała z odrzuconą do tyłu głową, a za jej krzesłem pochylał się Cabs i na ustach towarzyszki inspektora Merlin wyciskał ognisty pocałunek.

Ziemia pod inspektorem nie rozstała się. Nikt go też uprzednio nie pytał, czy woli spotkanie z setką amerykańskich gangsterów w ciemnej ulicy, czy tę oto kompromitację na oczach kilkunastu podwładnych z sierżantem Gobin i sierżantem Marly na czele.

Trudno, musiał przyjąć swój los. Próbował nawet robić dobrą minę do niedobrej gry.

— Naprawdę... pan sobie za wiele pozwala — rzekła stłumionym głosem panna Camlis, wydobywając się z objęć Cabsa.

Amerikanin ukazał w cichym uśmiechu zęby i według zwyczaju przytknął palec do skroni.

— Kiedy zbliżył się do mnie po ciemku, pewna byłam, że chce mnie zamordować.

Dlatego tylko krzyknęłam — tłumaczyła się panna Camlis. — Bardzo przepraszam...

Inspektor Merlin chcąc nie chcąc postanowił incydent zbagatelizować. W tym celu z godną podziwu naturalnością zaprosił pannę Camlis do baru.

Kiedy wrócili po upływie pół godziny, orkiestra grała walca, a pan Gregory Thomson tańczył z damą o fioletowych włosach.

Niedługo potem wszyscy czterej Amerykanie opuścili lokal, wkrótce po nich wyszła samotna dama, nie zaszczycając młodego architekta Leclot ani jednym tańcem.

Policja, niestety, musiała się bawić znacznie dłużej. Jednakże już nic, co by warte było uwagi, nie zaszło.

XVII

Inspektor Merlin z niecierpliwością oczekiwał przybycia Alaina Carpeau. Po wczorajszej eskapadzie do "Cacadou" Carpeau zapowiedział wizytę w prefekturze we wczesnych godzinach porannych. Przedtem Merlin złożył krótką relację staremu, który nie wyglądał na zadowolonego i dał inspektorowi lekko poznać, iż śledztwo przeciąga się, nie przynosząc żadnych konkretnych efektów. Całe szczęście, że telefony nie pozwalały pułkownikowi powiedzieć wszystkiego, co miał na wątrobie.

Merlin przeglądał swoje notatki i czerwonym ołówkiem podkreślał najważniejsze, jego zdaniem, punkty, na które należy zwrócić baczniejszą uwagę w dalszym toku pracy.

Właśnie zamierzał zamówić drugą z kolei kawę, gdy do gabinetu wszedł Carpeau.

— Przepraszam — zawołał od drzwi — ale zasnęłam!

Merlin odetchnął z ulgą. Na twarzy detektywa malował się optymizm, a uścisk jego dłoni sprawiał wrażenie, że Carpeau przynosi wiele interesujących nowin.

— Ale nas nabrali, co? — rzekł siadając koło biurka. — Obawiałem się, że chcieli odwrócić naszą uwagę, żeby urządzić nam prysznic gdzie indziej, ale na szczęście nic się nie wydarzyło. Zadrwili z nas dla samej satysfakcji.

— Jakiś cel w tym musiał być — powiedział Merlin niezadowolony, że Carpeau tak prosto tłumaczy sobie telefon wzywający ich do "Cacadou". — Niech pan nie lekceważy nawet ich żartów.

— Panie inspektorze — Carpeau sięgnął do portfela i wyciągnął kilka niewielkich kartek gęsto zapisanych. — Pozwolę sobie umotywić mój sąd. Otóż w archiwum przejrzałem dzienniki amerykańskie z okresu poprzedzającego aresztowanie gangu Flapperty'ego. Z wielu wzmianek i artykułów wypisałem to, co nam, moim zdaniem, wyjaśni pewne motywy. Otóż gang Flapperty'ego znany był z tego, że używał broni maszynowej do załatwiania osobistych porachunków. Jack Quisby, zwany Okularnikiem, został zabity przez Flapperty'ego serią z rozpylacza. Carlo Ramirez, zwany Barankiem, zginął od serii kul, potem Otto Schmalz i Gibsen. Seria, od której ci wszyscy zginęli, spełniała rolę podpisu Flapperty'ego na wyroku śmierci.

— A więc Pierri i Candy?...

— Nie mam już żadnych złudzeń, że to jego robota. A oto inne informacje. Flapperty lubił posługiwać się policją.

Inspektor Merlin rozłożył ręce.

— Czyżby chciał mi pan udowodnić, że amerykańska policja jest aż tak skorumpowana?

— Nie — zaśmiał się Carpeau — polegało to na czym innym. Posłużę się artykułem doktora Westa, człowieka, który naprawdę, jak z tego wynika, doskonale orientuje się w zagadnieniach działalności gangów w Stanach Zjednoczonych. Dla nas to wszystko brzmi bardzo dziwnie, ale nie wolno nam tego pomijać. West pisząc między innymi i o gangu Flapperty'ego, który przez pewien czas miał w rękach znaczną część kolektur loteryjnych, wspomina, że często wyręczał się on policją, tam gdzie mu to było wygodne. Po prostu policja nieświadomie wykonywała pewne akcje, którymi kierował Flapperty, pragnąc zniszczyć swych przeciwników. Kończyło się to zwykle kpinami z policji i szerokim echem w prasie. Dwóch inspektorów amerykańskich popełniło przez niego samobójstwo.

Merlinowi przemknęło przez myśl, że koledzy amerykańscy musieli widocznie maczać palce w interesach gangów, skoro w obawie przed kompromitacją nie widzieli innej drogi, jak pozbawienie się życia. Przez moment zastanowił się, czy potrafiłby strzelić sobie w skroń z powodu "nieudanego śledztwa". Bzdura! Otrząsnął się i zdwoił uwagę słuchając Carpeau.

— Mam dla pana jeszcze jedną ciekawostkę. Pseudonim "Colibri" nie został wymyślony przez Candy'ego. Śpiewaczka posługująca się tym pseudonimem występowała w Illinois przed pięciu laty, w lokalu, który był znany z tego, iż zbierali się tam ludzie ze świata podziemnego tego miasta.

— To ciekawe! — gwizdnął Merlin, pochylając się nad biurkiem.

— Oczywiście panna Bartin nie ma z nią nic wspólnego — rzekł Carpeau.

— Czyżby pseudonim ten był jakimś wywoławczym hasłem? — pomyślał głośno inspektor.

— Tak to wygląda. Czy zwrócił pan uwagę na szczupłego starszego pana w towarzystwie młodego człowieka? Siedział niedaleko pana.

— Tak.

— To pan Thomson, milioner, jak o nim mówi Cottard. Pan Thomson twierdzi, że jest producentem konserw mięsnych "Meatcomplex".

— Owszem, stara się tego nie ukrywać — powiedział Merlin.

— A jak się panu podobała panna Rouy jako bogata Angielka, nieznana bohaterka owego wieczoru w "Cacadou", kiedy to zginął Brown?

— Wie pan, że w pierwszej chwili jej nie poznałem. Dopiero panna Camlis.

— Chciałem stworzyć atmosferę tamtej nocy w tym lokalu.

— Czy pan wie, że Cabs tańczył kilka razy z panną Camlis? Nic sobie nie robił, że siedzi ona w moim towarzystwie, i porywał ją jak swoją.

— A ona?

— Tańczyła. To zresztą przystojny mężczyzna. Ale mam panu co innego do zakomunikowania. Otóż gdy weszła panna Rouy w aureoli fioletowych włosów, Cabs i Terence zaniechali dalszej zabawy. Cabs przestał tańczyć i tylko z uwagą śledzili ką, gdzie siedziała panna Rouy.

— O to mi chodziło. Wiedziałem, że wpadnie to panu od razu w oko.

— Tylko nie widzę jeszcze powodu, dlaczego to zrobiło na nich takie wrażenie. Carpeau zaśmiał się serdecznie.

— To proste. Moim zdaniem Flapperty owego wieczoru w "Cacadou" był przebrany za kobietę, za Angielkę, która nagle przepadła bez śladu. Wejście panny Rouy musiało ich wprawić w zdumienie. Zobaczyli swego szefa.

— Chyba byli przyzwyczajeni do tego widoku.

— Tak, lecz szef ich, Ducke Flapperty, siedział na sali w tym czasie.

— Kogo ma pan na myśli?

— Czy spojrzął pan choć raz na Thomsona po pojawieniu się panny Rouy?

— Był nią najwyraźniej zainteresowany. Kilkakrotnie mówił coś cicho do swego towarzysza, wskazując dyskretnie w jej kierunku. Czyżby pan uważał, że Thomson jest Flappertym?

— Tak. Ten jowialny pan jeżdżący z sekretarzem, rozdający wysokie napiwki. I ten styl gangsterów, którzy pokpiwają sobie z niego, bawią się jego kosztem, lecz przebywają stale przy nim. A sekretarz? Jakaż świetna forma obstawy. Wszystko razem doskonała mistyfikacja. I ten pomysł zabawienia się naszym kosztem. Wszyscy zebrali się razem, by przyjrzeć się, jak zorganizowaliśmy "ogień na Laleczkę". I bawili się w najlepsze widząc, że jesteśmy czujni a daliśmy się nabrać. Dopiero wejście panny Rouy zbiło ich nieco z tropu. Tego nie wzięli pod uwagę. Teraz oni stali się czujni. Przerwaliśmy im dobrą zabawę. Zrozumieli, że odkryliśmy zabójcę Browna. Spotkanie w "Cacadou" skończyło się naszym zwycięstwem.

— Nie widzę jeszcze prawdziwych efektów tego zwycięstwa.

— Przyjmując koncepcję, że Flapperty zamordował Browna, a zatem Flapperty był przebrany za kobietę, przez ukazanie się panny Rouy w roli owej damy potwierdziliśmy tę hipotezę. Ponadto mam jeszcze coś dla pana. Widział pan zapewne mężczyznę tańczącego z panną Rouy?

— Owszem. Woschynsky.

— Tak, to był Woschynsky. Tańczył z mojego polecenia. Wtedy specjalnie kazałem przyciemnić światła, by powrócić do nastroju tamtego wieczoru. Otóż Woschynsky, jak wiadomo, był narzędziem w ręku Candy'ego. To Candy polecił mu zaangażować młodą pieśniarkę. Candy zażądał produkowania piosenki, którą wręczył Woschynsky'emu, Candy kazał, aby panna Martin przyjęła pseudonim "Colibri". Candy i Pierri byli współpracownikami Laleczki. O tym jestem przekonany, Flapperty sprzątnął ich w pierwszym rzucie, później wykończył Browna, mając dowody, że był wtyczką Laleczki.

— A Laleczka?

Carpeau odpowiedział z rozbijającym uśmiechem:

— Laleczka zadzwonił do nas, aby sprowokować policję i gangsterów do przyścia do "Cacadou"!

Merlin zachnął się, prawie zirytowany.

— Przed chwilą sugerował pan, że Flapperty lubi stroić żarty z policji. To wszystko nie ma sensu.

— Zapomina pan, panie inspektorze, że Laleczka przez długi czas był jego towarzyszem, przesiąkł jego metodami i ten telefon był równie w stylu Flapperty'ego jak i Laleczki.

— A skąd o tym wiedzieli gangsterzy? Przecież zjawili się jakby również zaproszeni.

— Gangsterzy otrzymali taki sam telefon. Zapewne znacznie wcześniej, nim zaczęliśmy kontrolować połączenia telefoniczne.

— I nie obawiali się, że Laleczka uczyni na nich zasadzkę?

— Nie, bo wiedzieli, że "Cacadou" będzie mocno strzeżone przez policję.

— I Thomson vel Flapperty przyszedłby także?

Carpeau sapnął, nieco zniecierpliwiony rezerwą, z jaką Merlin przyjmował jego oświadczenia. Połapał się, że inspektor może się obrazić, więc powiedział szybko tonem bardzo przyjaznym i uległym:

— Rozprawa między Flappertym i Laleczką musi się odbyć tylko w cztery oczy. Flapperty i Laleczka wiedzą, że porachunek nastąpi bez świadków. Ani jeden, ani drugi nie odmówi sobie patrzenia na śmierć wroga. Flapperty czuje się bezpieczny, gdyż jest obstawiony policją. Laleczka jeszcze bezpieczniej, gdyż prawdopodobnie Flapperty nie wie, gdzie się on ukrywa. Ma jego ślady, czuje go w pobliżu. Laleczka dał mu znać o sobie śpiewaczką Colibri, Flapperty sprzątnięciem ze świata trzech kompanów. Wobec tak potężnego chwytu Laleczka stracił werwę i przyczał się. Obecnie czeka na okazję bezpośredniego kontaktu. Sądzę, że w najbliższym czasie znajdziemy nowego trupa. Będzie nim albo Laleczka, albo Flapperty.

— My do tego nie możemy dopuścić.

— Otóż to właśnie. Nie wolno nam dopuścić, aby którykolwiek z nich załatwił się z wrogiem pod naszym nosem.

— Znamy dość dobrze wyłącznie jedną stronę. Gangsterów. Wiemy nieco o Laleczce,

ale jak dojść do tego, kto nim jest? Nie przyniesie nam zaszczytu wiadomość, że wszystko odbyło się poza naszymi plecami. Ostrzegam pana od razu przed nadmiernym optymizmem. Z dnia na dzień widzę wszystko w coraz czarniejszych barwach. Szczerze przyznam się panu, że złość mnie bierze na myśl, iż amerykańscy bandyci robią, co chcą, w naszym kraju i my jesteśmy bezsilni. Traktują Francję jak prywatny poligon, a nas zamierzają wystawić do wiatru.

— Solidaryzuję się z panem w zupełności.

— A Renaud pewnego dnia trzaśnie pięścią i odda sprawę komu innemu.

— Nie zdąży. Rozprawa między bandytami nastąpi lada moment. W tej chwili kazałem inwigilować Thomsona. O każdym poruszeniu tego pana będę wiedział natychmiast. Laleczka nie wie, że rozpoznaliśmy Flapperty'ego. Może uda się nam właśnie wpaść na jego trop, na ślad przygotowanej przez niego pułapki na Flapperty'ego i nakryjemy dzięki temu obydwu naraz. Taki jest mój plan.

Merlin chwilę milczał. Myślał nad tym, co usłyszał od Carpeau. Rzeczywiście w tej chwili nie było lepszego posunięcia. Jeśli tak jest, jak mówi Carpeau, będzie to jedynym wyjściem z sytuacji. Czekać na rozpoczęcie ofensywy przez Laleczkę.

— Aprobuję — powiedział po namyśle.

Carpeau odetchnął z ulgą. Miał teraz wolną rękę. Widział, że Merlin jest w niedobrym nastroju i wyglądał, jak gdyby był już zmęczony tą trudną sprawą. Miał więc możliwość działać.

Nie odezwał się jednak, nie chcąc niebaczynym słowem popełnić jakiegoś nietaktu.

Merlin przygładził włosy i zaczął się kiwać na fotelu.

— Życzę, aby panu się udało ocalić dobre imię naszej policji.

— Przecież pan inspektor...

Merlin przerwał mu w połowie zdania niecierpliwym ruchem ręki.

— Nie wniosłem nic do tej pory. Pan to musi przejąć.

Carpeau zaprotestował gorącymi słowami:

— Panie inspektorze, nie wyobrażam sobie nic bez pańskiego udziału. Ja tylko jestem pana współpracownikiem. Nie mogę się podjąć...

— Widzi pan — powiedział Merlin — mój błędny tok myślenia o tej sprawie prowadził mnie na inne tory. Pan potrafił mnie przekonać, że się mylę. Pańskie stwierdzenia doprowadziły nas już do takiego stanu rzeczy, że nie wolno nam się wycofać. Ja mogę panu pomóc, oczywiście, nie uchylam się od tego, ale nic więcej. Pan musi przejąć całą sprawę i prowadzić ją według dotychczasowej logiki. Służę swym doświadczeniem, pomocną ręką, ale muszę postępować uczciwie. Jeśli pan wykryje zbrodniarza, będzie to wyłącznie pana zasługą. Owoców pana zbierać nie mogę.

— A gdybym się omylił? Panie inspektorze, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jaką wzięłem na siebie odpowiedzialność.

— Gdy się pan omyli — inspektor położył dłonie na biurku — przeniosą nas gdzie indziej.

— Nie, nie! Ja się nie mogłem omylić — zerwał się Carpeau. — To byłoby okropne.

Wierzę głęboko, że wszystko pójdzie dobrze.

Merlin wstał i wyciągnął rękę do Carpeau.

— A więc do pracy. Nie ma czasu. Trzeba uprzedzać wypadki, jak sam pan stwierdził.

— Ale liczę na pana. — Carpeau oddał serdeczny uścisk dłoni. Chwilę tak stali potrzęsając wzajemnie dłońmi.

— Cała moja wiedza jest do pana dyspozycji.

— Dziękuję. Postaram się pana nie zawieść.

Carpeau opuścił pokój i Merlin opadł na fotel. Czuł się, jakby ziemia pod nim była niepewna i groziła mu obsunięciem pod stopami. Wsparł się łokciami na biurku i patrzył w przeciwny kąt. Miał pustkę w głowie i myślał tylko, które z miasteczek jest najodpowiedniejsze dla starszego pana, który stracił nagle grunt pod nogami i marzy o ciszy i doglądaniu kwitnących krzewów. St. Etienne czy Briancon?

Tymczasem Carpeau udał się do swego pokoju. Parę minut przechadzał się tam i sam. Potem stanął w oknie i przyglądał się ruchowi ulicznemu na zbiegu bulwaru Dubouchage i alei Marszałka Focha. Wtem ujrzał niewielkiego psa, który wyskoczył na środek jezdni. Zgrzytnęły piskliwie hamulce samochodów. Ktoś głośno krzyknął. Pies, najwidoczniej bezpieczeństwa, uciekał wśród aut, nie pozwalając się chwycić.

Carpeau wybiegł z pokoju. Kilka wielkich susów po schodach i znalazł się na ulicy. Pies właśnie zręcznie zmylił kilku panów, którzy usiłowali go zatrzymać nastawiając szeroko rozwarte ramiona, i wpadł mu pod nogi. Był to maleńki pekińczyk. Carpeau uśmiechnął się. Pies miał obrozę wysadzaną zielonymi kamieniami. Zawrócił do bramy prefektury policji, nie zważając już na dalsze losy psiaka. Wezwał sierżanta Gobin. Kiedy Gobin stanął przed nim, Carpeau powiedział patrząc na zegarek.

— Bardzo mi się śpieszy, Gobin. Zawiadom, proszę cię, pana inspektora Merlin, że już wiem, kto jest Laleczką — i nie czekając na reakcję sierżanta wyszedł z prefektury, skinął na przejeżdżającą taksówkę i odjechał.

XVIII

Tego samego dnia wczesnym popołudniem panna Rouy spotkała się z Carpeau w jednej z kawiarni na bulwarze angielskim.

— Czy jakieś nowe zadanie dla mnie? — spytała zdejmując rękawiczki i kładąc torebkę na krześle.

— Tak — uśmiechnął się Carpeau przywołując kelnera. Zamówili kawę mrożoną i oranżadę.

— Nawet nie wie pan, jak mnie to emocjonuje — powiedziała panna Rouy. — Czuję się, jak gdybym była detektywem.

— To, co zamierzam pani powierzyć, będzie już czystą robotą detektywistyczną.

— Ach — wzniosła oczy ku górze — nigdy nie przypuszczałam, że ja, skromna maszynistka, będę odgrywała ważną rolę w śledztwie. A wolę to od nudnego przepisywania na maszynie.

— Zwróciłem od razu uwagę na panią — rzekł Carpeau podsuwając jej kawę — niestety, dotychczas nie miałem okazji zająć pani czymkolwiek. Same dewizówki bez znaczenia. Dopiero inspektor Merlin dał mi coś lepszego. I ja do pani jak w dym. Wczoraj popisała się pani nadzwyczajnie. Merlin przyznał się, że pani nie poznał.

— Kochany człowiek. Bardzo go lubię. To świetny inspektor.

— Pod jego okiem stawiam pierwsze kroki. I pani mi pomoże?

— Może pan polegać na mnie. Słucham, o co chodzi?

Carpeau ściszył głos przystawiając swoje krzesło bliżej sekretarki.

— W ogólnych zarysach zna pani sprawę. Nie będę zanudzał pani szczegółami. Otóż idzie nam o ujęcie dwóch ludzi. Niejakiego Flapperty'ego, szefa gangu, i Laleczki, jego antagonisty. Pojedynek pomiędzy tymi ludźmi ma nastąpić lada chwila. Musimy się w to wtrącić, przeszkodzić, zapobiec rozlewowi krwi, ująć Flapperty'ego i Laleczkę. To nasze główne zadanie.

— Rozumiem — panna Rouy skinęła głową z powagą.

— Otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa odnalazłem Laleczkę. Udało mi się to zupełnie przypadkowo.

— W to nie uwierzę.

— Naprawdę. Nie ma w tym żadnej mojej zasługi. No, ale nie o to idzie. Pani rola, jak to pani powiedziała, będzie bardzo ważna i z góry zaznaczam, że nieco niebezpieczna.

— To pasjonujące.

— Oczywiście nie nalegam. Wolno pani odmówić, jeśli uzna pani, że nie może się narażać.

— Za długo współpracuję z policją, aby nie przesiąknąć żyłką policjanta. Zresztą nigdy nie znałam uczucia strachu.

— Ale teraz będzie pani musiała dostać się w gniazdo os.

Panna Rouy poprawiła się na krześle, złożyła ręce na stoliku i spojrzała poważnie w oczy detektywa.

— Proszę, niech pan przystępuje do rzeczy.

— Dobrze, lecz nie obrażę się, gdyby pani nie podjęła się zadania.

— Nie ma mowy.

Carpeau nachylił się nad fioletowymi włosami panny Rouy.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa Laleczką jest niejaka panna Higgins, mieszkająca w pensjonacie "Tarascon" przy bulwarze Carnota.

— Kobieta?

— Nie, proszę pani, mężczyzna, bardzo niebezpieczny mężczyzna.

— O ile wiem — panna Rouy spuściła skromnie oczy — w tym pensjonacie mieszkają również ci dwaj gangsterzy.

— Tak, i pan Thomson, amerykański milioner. Skądinąd wiem, że temu ostatniemu wpadła pani bardzo w oko.

— Pan żartuje.

— Nie, polecił swemu sekretarzowi zdobyć o pani wszelkie informacje. Wczoraj był obecny w "Cacadou". Tam zdaje się zakochał się w pani bez pamięci. Cóż, proszę pani, nawet milionerom mięknie serce na widok pięknej kobiety.

— Co też pan opowiada — panna Rouy nie wiedziała, co ze sobą zrobić i speszona unikała wzroku Carpeau.

— A więc wracamy do "Tarasconu" i do pani zadania. Gangsterzy zainteresowali się pani osobą, gdyż do żywego przypominała im pani tę osobę, która znalazła się owego krytycznego wieczoru w "Cacadou", kiedy w ich oczach został zamordowany pchnięciem noża niejaki Brown.

— A to oczywiście zamordowała nie ta osoba?

— To w tej chwili nas nie obchodzi. Musimy coś takiego zdziałać, aby gangsterzy zaprosili panią do "Tarasconu" na kawę, na brydża czy na coś podobnego.

— Trudno mi będzie samej się zaprosić — zarumieniła się.

— Naturalnie. Lecz możemy wykorzystać inny moment. Podobno jeden z gangsterów, Cabs, po wyjściu panny Camlis z inspektorem do baru tańczył z panią, co należy tłumaczyć tym, że pani mu się podoba.

— Panie Carpeau...

Detektyw przekrzywił głowę i uśmiechnął się jak niewinne dziecko.

— Czyż i ja mam powiedzieć, co myślę o pani urodzie?

— Proszę dać mi już spokój z komplementami. Doskonale wiem, co mam sądzić o sobie. Przyszłam tu pracować.

— Mam pewien pomysł. — Carpeau spojrział na zegarek. — Zwykle o piątej po południu gangsterzy odwiedzają bistro "Pod Robin Hoodem". Po prostu przypadkiem zajdzie tam pani na kieliszek wina. Usiądzie pani tak, żeby być widoczną już z ulicy. I tu nastąpi trudniejsze zadanie.

— Jestem gotowa na wszystko.

— Czy pani się wyrzeknie dla dobra sprawy trochę własnej godności?

— Nie wiem, co pan przez to chce powiedzieć?

— Da się pani sprowokować, pozwoli się pani im przysiąść do stolika i nie będzie pani miała nic przeciwko zaproszeniu jej do "Tarasconu" na doskonałą kawę. Oczywiście ja będę czuwał i ręczę, że pani włos z głowy nie spadnie.

— Z mężczyznami dam sobie radę, jeśli zażądają świadczeń li tylko kobiecych.

— W to nie wątpię, lecz poza tym, że podoba się pani Cabsowi, zaprosi panią, aby wyjaśnić sprawę tamtej kobiety z "Cacadou". Będą chcieli wiedzieć, czy podobieństwo pani jest tylko czystym przypadkiem, czy też zamierzoną grą. Pani będzie grała rolę naiwnej, która nic o niczym nie wie. Cała ta historia nie będzie tak nieprzyjemna, gdyż pan Thomson nie omieszka skorzystać z towarzystwa pani. Kto wie, czy za kilka miesięcy nie zaprosi mnie pani na ślub?

— Nie ma obawy. Ja żoną milionera? — zaśmiała się nienaturalnie.

— Zobaczmy. Niech pani nie lekceważy losu.

— Takie rzeczy zdarzają się w romasnach.

— W każdym razie niech go pani nie lekceważy.

— Interesuje mnie w tej chwili bardziej sprawa Higgins.

— Otóż w pewnym momencie spyta pani, czy to nie w "Tarasconie" mieszka kobieta, która ma takiego ślicznego pieska, pekińczyka, z którym odbywa długie spacery po parku Lymphia. Gdy dowie się pani, że tak, będzie pani nalegać, aby się z nią widzieć, gdyż pani ma takiego samego pekińczyka i chciałaby pani po prostu pieski poznać między sobą. Jeśliby nie kwapili się ułatwić pani tego spotkania — Higgins udaje okropną babę, przed którą drży cały hotel — powie im pani, że pójdzie do niej pani sama, niech tylko pani wskażą, który numer zajmuje. Pani głównym celem i zadaniem będzie dostać się do Higgins za wszelką cenę.

— I stanę oko w oko z gangsterem?

— Tak, będzie pani miała przed sobą autentycznego gangstera, ukrywającego się pod

przebraniem kobiecym. Flapperty wyprowadził się z "Tarasconu" zaraz po pierwszym wieczorze w "Cacadou", obawiając się wpaść w ręce Laleczki. Ale Laleczka był sprytniejszy. Wprowadził się na jego miejsce jako antypatyczna Angielka Higgins, czekając tylko na okazję, aby idąc po śladach Cabsa i Terence'a uchwycić swego rywala i zniszczyć.

— A pies? Mówił pan o pekińczyku.

— Tak. Laleczka — wielki spryciarz, pożyczył, kupił, tego nie wiem, psa. Pekińczyk spełniał wielkie zadanie. Chodząc po ulicy z psem, zawsze możemy przystanąć, rozejrzeć się na wszystkie strony bez rzucania na siebie podejrzeń, że obserwujemy wszystko, co się dzieje wokoło nas, że zależy nam, aby wiedzieć, kto idzie za nami lub kto nas inwigiluje.

— To rzeczywiście sprytne. I pan wpadł na to?

— Nie ma powodu do dumy. Czegoś się nauczyłem od inspektora Merlin.

XVIII (c.d)

Panna Rouy odsunęła pustą filiżankę po kawie i powiedziała:

— Dobrze. Przypuśćmy, że dotrę do Higgins, co potem?

— Porozmawiacie sobie o pieskach. Czy pani lubi psy?

— Ubóstwiam. Mam nawet czarnego pudła.

— Nie, dla panny Higgins będzie pani właścicielką pekińczyka.

— Oczywiście. Rozumiem.

— W czasie rozmowy zbada pani dokładnie pokój, czy sprawia on wrażenie zamieszkanego przez kobietę, po drugie, czy panna Higgins jest kobietą.

— Pan więc jednak nie jest pewien na sto procent?

Carpeau rozłożył ręce.

— Mam prawie całkowitą pewność, lecz cuda się zdarzają.

Chciałbym uniknąć przykrych pomyłki. Dlatego pozwalam sobie prosić panią o tę przysługę.

— Dobrze — zgodziła się. — Nasuwa się jednak pewna trudność. Jak mam poznać, czy to kobieta, czy mężczyzna?

— O, tu muszę zawierzyć pani intuicji. Tu musi wystąpić pani jako detektyw.

— Pomyślę nad tym.

— Czyli przystępuje pani do spółki ze mną? — zaśmiał się Carpeau.

— Bez wahania.

— A zatem proszę pamiętać. Zadanie numer jeden: dostać się do pokoju Higgins, zadanie drugie: ocena płci osoby mieniającej się panną Higgins.

— To drugie będzie daleko trudniejsze.

— Liczę na panią. Sam, przyznam się, że nie wiem, jak to zrobić, ale pani na pewno coś takiego wpadnie do głowy, że wszystko pani przejrzy. Od tego zależy cały dalszy tok śledztwa. Gdy to nam się uda, odniesiemy zasłużony sukces. Tyle miałem pani do powiedzenia. Może to wygląda niewinnie, lecz ostrzegam panią. Uda się pani do paszczy lwa. Pomiędzy dwóch wrogów, Laleczkę i gangsterów. Ostatni będą ciekawi, kim pani jest, a pani będzie przedmiotem ciekawości "panny" Higgins. Oni nie wiedzą, że ich przeciwnik mieszka pod bokiem. I nie powinni się dowiedzieć. A my znając Laleczkę

łatwo wpadniemy na tropy Flapperty'ego.

— W jaki sposób?

— Po prostu wiedząc o tym na pewno, podsunie im tę myśl. Wtedy Flapperty postara się go jak najszybciej zlikwidować. W tym momencie odsłoni się, gdyż Laleczka będzie od tej pory pod ścisłą naszą opieką.

— Bardzo mi się podoba moja rola. Nareszcie coś ciekawego w tym życiu.

— Radzę przy tym nie unikać Thomsona.

— Nie będę miała czasu na flirty. Zresztą nie należę do kobiet, które szukają za wszelką cenę męża.

Carpeau położył swoją rękę na jej dłoni.

— On jest zakochany w pani.

Wyrwała rękę i sięgnęła po torebkę.

— Nie mam już wiele czasu. Muszę się zrobić na bóstwo, jak mówi moja przyjaciółka, Rena Camlis.

Carpeau przyłożył palec do ust.

— Tylko o tym ani słowa. Nawet najlepszej przyjaciółce.

Panna Rouy spojrzała na niego dumnie.

— Pan mnie nie zna, widzę.

— Znam i dlatego wybrałem panią.

Chciała uregulować rachunek, lecz Carpeau wręczył już banknot tysiaccfrankowy kelnerowi. Przyjął resztę w bilonie. Gdy wyszli z kawiarni, Carpeau powiedział:

— Jeśli wyjdzie reszka — uda się nasza współpraca.

Podrzucił monetę do góry, zręcznie złapał ją w powietrzu i nakrył drugą dłonią. Potem zapytał:

— Jak pani sądzi?

— Reszka.

— Reszka. A więc zwycięstwo. Gratuluję. Około ósmej zadzwoni pani do mnie, co wydarzyło się "Pod Robin Hoodem". Dobrze? Wtedy omówimy krótko nasze spotkanie po odwiedzinach w "Tarsconie".

— Ciao! — pokiwała mu ręką.

— Ciao! Trzymam palec za panią.

XIX

— Wyleciałam tak nagle z biura — mówiła do słuchawki telefonicznej panna Rouy — bo miałam pilny interes. Nie, o co ty mnie podejrzewasz? Miałam sobie coś załatwić. O piątej dzisiaj? Niestety, moja kochana, nie mogę. Mam również pilny interes do załatwienia. Wieczorem też będę prawdopodobnie zajęta. Kiedyś ci powiem, o co idzie, dzisiaj nie mogę. Nie bądź ciekawa. Zawsze mówisz o sobie "ja, Rena Camlis, nie zajmuję się nigdy cudzymi sprawami". Nie, nie jestem zakochana. Nie mam kochanka. Nie uwodzę Carpeau. Nie, nie, nie. Do zobaczenia w biurze — panna Rouy odłożyła z westchnieniem słuchawkę.

— Kochanek! — powiedziała głośno sama do siebie wzduszając ramionami. Podeszła do wielkiego lustra stojącego w kącie pokoju i chwilę przyglądała się swemu odbiciu.

Obcisnęła suknię na biodrach i postanowiła ją trochę zwęzić i skrócić. Uniosła nieco

suknię do góry, tak że lustro ukazało różową kombinację. Na jej widok skrzywiła się z niesmakiem.

Muszę kupić sobie coś nowego — pomyślała. — Za mało dbam o siebie.

Niemal przyłożyła twarz do tafli i szczegółowo badała zmarszczki pod oczami. Nie jest tak znowu źle, stwierdziła wygładzając palcami twarz z obu stron nosa.

W szafie znalazła po długim szukaniu parę porządniejszych pończoch. Usiadła na tapczanie i zaczęła je wciągać podnosząc wysoko nogi, tak jak to robią aktorki na filmach. Potem przypatrywała się swoim łydkom i kolanom.

Potem zrzuciła z siebie suknię i chodziła w samej kombinacji gwizdząc najnowszy przebój, którego tytułu ani słów nie знаła.

— Pani jest zachwycająca, pragnę ożenić się z panią — powiedziała głośno i zaraz odpowiedziała: — Muszę się zastanowić. Miłość nie jest taka prosta — i roześmiała się jak człowiek z siebie bardzo zadowolony po udanym przedsięwzięciu.

— Pod pani stopami moje miliony.

— Och, miliony. Pieniądze nie dają szczęścia.

— Zostanę żebrakiem, byleby znaleźć się przy boku pani.

— Tego nie wymagam. Tego nie wymagam — powtórzyła ze śmiechem kilka razy. —

Pieniądze, phi — kopnęła pantofel zagradzający jej drogę.

Kiedy rzuciła okiem na zegarek, złapała się za głowę. Pozostało akurat tyle czasu, by się pośpiesznie odziać i pojechać taksówką do bistro "Pod Robin Hoodem". Nagle powzięła decyzję i w parę minut była gotowa. Miała długoletnią praktykę. Przez dziesięć lat, od chwili rozpoczęcia pracy w prefekturze policji, ani razu nie spóźniła się nawet o minutę. Według niej nakręcali policjanci dyżurni swe zegarki, a Renaud badał punktualność urzędników.

O piątej weszła do bistro dość pustego o tej porze. Zajęła stolik tuż przy wejściu, tak że mogła doskonale kontrolować zachowanie wszystkich gości. Znajomych gangsterów jeszcze nie było, więc zamówiła koniak i wodę sodową.

Po ulicy przechadzali się cudzoziemcy, dziwacznie nieraz ubrani, z przewieszonymi przez ramię aparatami fotograficznymi. Szły całe rodziny Niemców, niegustownie kolorowi Amerykanie, szarzy Anglcy i czeredy Francuzów, mieszczuchów, którzy znajdowali przyjemność w pokazywaniu się obok zagranicznych turystów i w dawaniu im odczuć, że nie są wcale od nich gorsi.

Za kontuarem obitym srebrną blachą uwijali się kelnerzy, ekspres ciężko buczał i syczał co chwila kłębami pary, szczękały talerze i strzelały korki od butelek.

Gazeciarze nawoływali do kupna ostatnich wydań dzienników i wykrzykiwali ważniejsze nagłówki, szczególnie te, które donosiły o nowych zbrodniach lub wielkich katastrofach.

Po dziesięciu minutach nuda panna Rouy dostrzegła przez okno, że nadchodzą gangsterzy. Udała, że ich nie zauważyła, zajęta czytaniem karty z napojami. Kiedy podniosła wzrok znad kartonu, gangsterzy byli już daleko. Plan Carpeau zawiódł. Tego się nie spodziewała. Nie wiedziała, co teraz zrobić. Czy zadzwonić do detektywa, czy jeszcze czekać? Może wrócić? A może ujrawszy ją nie chcieli wejść? Sytuacja była niewesoła. Misterny plan Carpeau został przekreślony.

Panna Rouy nie należała do kobiet, które tracą głowę. W jednym momencie postanowiła

przyjść z pomocą Carpeau. Przecież liczył na nią i nie mogła okazać się kobietą bez żadnej inicjatywy. Wezwała kelnera i uściła rachunek.

Kiedy zabierała się do odejścia, podszedł do niej jakiś młody mężczyzna.

— Przepraszam panią — rzekł z wielką uprzejmością — czy nie będzie to z naszej strony nietaktem, jeśli ja i pan Thomson poprosimy panią o chwilę rozmowy?

Pannie Rouy mocniej zabiło serce. Starła się za wszelką cenę nie dać poznać po sobie, że gdy usłyszała nazwisko milionera, zrobiło się jej gorąco. Powiedziała zdziwiona:

— Nie znam panów.

— Właśnie dlatego. Pan Thomson tańczył wczoraj z panią walca, a dzisiaj chciałby panią osobiście przeprosić za tę formę znajomości.

— Któż to jest ten pan Thomson? — uśmiechnęła się naciągając rękawiczkę.

Młodzieniec odparł z szacunkiem:

— Pan Thomson jest właścicielem koncernu konserw "Meatcomplex" w Springfield.

— Amerykanom zdaje się, że sama ich przynależność państwowa skłania wszystkie kobiety do uległości.

— Pan Thomson jest bardzo nieśmiały. Przeciwnie. Sądzi, że pani, usłyszawszy jego narodowość, nie zechce go poznać.

Panna Rouy udała jak zawodowa aktorka, że to ostatnie zdanie całkowicie ją rozbroiło.

— Przecież nie uważamy was znowu za takich okropnych.

— Dziękuję pani. Czy mogę poprosić tutaj pana Thomsona?

— Jeśli mu tak bardzo na tym zależy — usiadła z powrotem przy stoliku. Czyżby Carpeau miał słuszność? Milioner, amerykański milioner, potentat kapitału i ona, skromna dziewczyna francuska. Uszczypnęła się pod stolikiem w rękę.

Trzymaj się — powiedziała do siebie. — Tu teraz nie idzie o ciebie. Idzie o okazję dostania się do "Tarasconu". A przecież Thomson tam mieszka.

Pan Thomson podszedł z zakłopotaną miną. Nachylił się i ucałował jej dłoń mruczając pod nosem swoje nazwisko. Eleganckim ruchem wskazała mu miejsce. Młodzieniec usiadł naprzeciw niej z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Thomson mówił słabo po francusku i młodzieniec szybko tłumaczył każde jego zdanie.

— Pani nie gniewa się na nas? — spytał z niepokojem.

Naraz w pannie Rouy odezwała się duma narodowa. Postanowiła drogo sprzedać swoją skórę, ale tak rzecz przeprowadzić, aby postawić na swoim.

— Przyzwyczajaliśmy się, że Amerykanie dość prosto zdążają do celu.

Sekretarz milionera przetłumaczył swemu chlebodawcy.

Thomson pokiwał głową.

— Wiem, wiem, że nasi chłopcy nie zawsze są comme il faut. Ale my, starsze pokolenie, próbujemy to nadrabiać.

— Widocznie wasze kobiety przyzwyczajone są do tego rodzaju flirtu — panna Rouy wbiła dalszą szpilkę.

Thomson rozłożył ręce.

— Tego nie wiem. Miałem w życiu mało do czynienia z kobietami.

— Tu jednak daje sobie pan jakoś radę.

Milioner przyłożył dłoń do piersi i skłonił się szarmancko.

— Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się to i sędzę, że po raz ostatni.

— Początek jest zawsze najtrudniejszy. Zapewniam pana, że później przyjdzie to panu o wiele łatwiej.

— Marzę o tym, aby poprzestać na tym pierwszym razie. — Potem zaczął coś długo mówić, czego panna Rouy nie rozumiała. Tłumacz słuchał z uwagą, kiwając głową, potem roześmiał się głośno.

Panna Rouy cały czas siedziała wpatrując się w obydwoh. Czuła się nieswojo, gdyż nie wiedziała, jak reagować na wypowiedź milionera. Młodzieniec poprawił się na krześle i z wesołymi ognikami w oczach zaczął tłumaczyć:

— Pan Thomson jeszcze raz panią przeprasza za swoją śmiałość i za wszystkich Amerykanów, którzy kiedykolwiek źle się zachowali w pani obecności. Pan Thomson powiedział, że nie jest już najmłodszy i że traktuje wszystko bardzo poważnie. W dniu wczorajszym zobaczył panią w nocnym lokalu i zrobiła pani na nim bardzo głębokie wrażenie. Prosi więc, aby traktowała go pani na nieco przychylniejszych warunkach aniżeli innych amerykańskich mężczyzn. Pan Thomson byłby niesłychanie szczęśliwy, gdyby pani zechciała przyjąć jego zaproszenie na dzisiejszy wieczór. Przrzeka, że przedtem przestudiuje savoir_vivre najwytworniejszych sfer francuskich, by czuła się pani z nim jak w swoim towarzystwie.

W duchu panna Rouy przyznała, że milioner był całkiem sympatyczny, i jego dowcipne słowa przyjęła z zadowoleniem. Nareszcie Amerykanin, który zrozumiał, że nie wszystkie dziewczęta można kupić za kolację i jazdę cadillakiem.

— Proszę powiedzieć panu Thomsonowi — rzekła do sekretarza — że wydaje mi się całkiem miły i zupełnie niepodobny do innych Amerykanów.

— A ja? — spytał młodzieniec.

— Pan jeszcze nie powiedział mi ani jednego komplementu.

Sekretarz błysnął białymi zębami.

— Uważam, że pan Thomson jest jeszcze zbyt powściągliwy oceniając pani walory.

— A więc pan też jest miły.

— Dziękuję — i sekretarz przetłumaczył niespokojnemu już milionerowi, o czym toczyła się rozmowa pomiędzy nim a Francuzką. Potem zwrócił się do panny Rouy:

— Pan Thomson pyta, czy pani pozwoli się zaprosić do "Cacadou". Uważa, że jest to wcale przyjemny lokal, a stał się jeszcze bardziej przyjemny, gdyż tam miał możliwość panią ujrzeć.

Panna Rouy przeraziła się. Propozycja Thomsona była bardzo nęcąca, i czuła, że Carpeau się nie mylił. Thomson żywił do niej głębsze uczucie, aniżeli sądziła. Niestety, nie mogła zgodzić się na pójście do "Cacadaou", choć zdawała sobie sprawę, że wyrządzi tym przykrość milionerowi. Gorączkowo myślała, jak sprowadzić rozmowę na takie tory, by została zaproszona do "Tarasconu". Thomson wziął ją za wykwinną damę, zatem nie ośmielił się jej zaproponować przyjścia do niego do hotelu. Gdy przypadkiem nadejdą gangsterzy i zaproszą ją tam, i ona zgodzi się, Thomson obrazi się, i słusznie. Czar pryśnie i weźmie ją za zwykłą tuzinkową dziewczynę, która przekłada towarzystwo młodych nad spotkanie z mężczyzną około pięćdziesiątki. W ten sposób skończy się cała historia.

Panna Rouy nie należała do kobiet, które łatwo rezygnują z nadarzających się możliwości.

— Niestety — powiedziała nadając swemu głosowi smutny ton — jestem już umówiona. Thomson zmartwił się. Młodzieniec oświadczył w jego imieniu, że może poczekać, aż skończy to spotkanie, bez względu na porę.

— Nie — zaprzeczyła ruchem głowy.

Thomson znowu zaczął dość długo przemawiać do swego sekretarza, który słuchał z uwagą. Potem młodzieniec rzekł do panny Rouy:

— Pan Thomson jest bardzo zmartwiony i pragnie zadać pani jedno bardzo ważne dla niego pytanie, choć, przyznaje, że nieco niedyskretne.

— Nie mam żadnych tajemnic.

— Otóż pan Thomson pyta, czy pani jest już kimś zajęta. To znaczy, czy pani ma narzeczonego lub człowieka starającego się o pani rękę.

Panna Rouy zaśmiała się jak z dobrego żartu.

— Tak jak pan Thomson do tej pory nie myślałam o małżeństwie.

Gdy Thomson dowiedział się o tym od tłumacza, odetchnął z ulgą i spojrzał zachwyconymi oczami na pannę Rouy.

— Zatem pan Thomson postanawia czekać na panią dzisiejszego wieczoru. Godzina nie gra roli — powiedział młodzieniec zadowolony z wyznania panny Rouy, jakby chodziło o niego samego.

— Niestety, będę daleko stąd.

— Pan Thomson będzie czekał w samochodzie, gdziekolwiek pani zażąda.

— Och, nie mogę go tak trudzić. Umówiłam się aż na bulwarze Carnota, w hotelu "Tarascon" — pannie Rouy wpadł do głowy ten zbawienny pomysł i w duchu uznała, że nikt by się nie powstydział takiego sprytu.

Sekretarz wyrzucił ręce do góry i zaczął się śmiać jak szalony. Kiedy wyjaśnił Thomsonowi powód swojej wesołości, z kolei ten wpadł w doskonały humor.

— Nie rozumiem, co w tym jest aż tak zabawnego — grała naiwną, udając, że nie domyśla się, czym tak rozweseliła obydwu mężczyzn.

— Przepraszam panią za ten śmiech — rzekł w końcu sekretarz — ale pan Thomson jest nie lada szczęściarzem. Okazuje się bowiem, że pani będzie w hotelu, w którym mieszkamy.

— Panowie w "Tarasconie"? — żadna z wielkich aktorek nie zagrałaby lepiej od panny Rouy roli zdziwionej kobiety.

— Od kilku dni. Zatem pani obawy są już nieistotne. Pan Thomson będzie czekał na panią naprzeciw hotelu.

— Gdzieżbym na to pozwoliła.

— Pan Thomson nie chciałby, aby ktoś widział, że spotyka się pani z nim.

Panna Rouy stała się naraz ostrożna.

Dlaczego — pomyślała — chce otoczyć nasze spotkanie tajemnicą? — Nie podobało jej się to. Thomson musi ją wprowadzić do hotelu i poznać z Higgins.

— Nie wiem, kiedy stamtąd wyjdę — powiedziała, z uwagą przyglądając się milionerowi.

— To nic nie szkodzi.

— Jestem osobą dorosłą i nie zwykłam ukrywać przed kimkolwiek tego, co zamierzam robić.

W tej chwili do kawiarni weszli Cabs i Terence. Ten ostatni ujrzawszy milionera przy jednym stoliku z panną Rouy otworzył szeroko ramiona.

— Mister Thomson! — zawołał. — Ale szczęściarz z pana! — potem uklonił się z nie ukrywaną kpina pannie Rouy, która oddała mu chłodny ułkon.

Potem wszyscy czterej mężczyźni poczęli mówić między sobą. Sekretarz jednak zorientował się, że zapomnieli o kobiecie, nie władającej ich językiem, i taktownie przetłumaczył jej w ogromnym skrócie treść rozmowy.

— Ci dwaj panowie oznajmili nam, że znają panią z widzenia i że szalenie im będzie miło powitać panią w "Tarasconie". Pytają również, kto jest tym wybrańcem losu, z którym pani ma tam spotkanie.

— O, tego nie powiem — odpowiedziała panna Rouy z tajemniczą minką.

Cabs wtrącił się do rozmowy i polecił sekretarzowi milionera oznajmić pannie Rouy, iż zapraszają ją na brydża, gdyż akurat zabraknie im czwartego.

— Czy pan Thomson gra? — zagadnęła niewinnie panna Rouy.

— Oczywiście. I to doskonale — powiedział sekretarz.

— Chciałabym się z nim zmierzyć

Gdy dowiedział się o tym milioner, początkowo zrobił niezbyt zadowoloną minę, lecz spojrzawszy w oczy pannie Rouy, zgodził się mówiąc, że jeśli wygra, nagrodę dla siebie sam wymyśli.

Panna Rouy ze śmiechem przystała na ten warunek. Umówiono się wśród żartów na godzinę dziewiątą wieczorem. Potem biedny sekretarz musiał przez cały czas tłumaczyć pannie Rouy rozmowę, która toczyła się około wrażeń, jakich doznają mężczyźni amerykańscy spotykając na każdym kroku tak ponętne i piękne kobiety francuskie. Panna Rouy odwzajemniała się im również komplementami, choć nie bez pewnych złośliwości, które przyjmowali, a zwłaszcza obydwaj gangsterzy, huraganami śmiechu.

Panna Rouy była już przekonana, że Thomson ma w stosunku do niej poważne zamiary. Jego sposób bycia, uwaga, skłonność do natychmiastowej reakcji przy każdej jej zachciance dawały tę niezachwianą pewność.

Milioner — pomyślała słuchając jednym uchem tego, co się mówiło przy stoliku — i ja — biedna, skromna urzędniczka. Takie miłości zdarzają się tylko w filmach, i to drugorzędnych. Pałace, samochody, służba, ogrom pieniędzy. Nie, to chyba niemożliwe. W tym musi się kryć coś innego. Ale co? Z drugiej strony — myślała — dlaczego nie mogłabym się spodobać milionerowi? Czyż to nie taki sam człowiek jak inni? Rena powiedziała, że ostatnio wyglądam bardzo korzystnie, a w nowej kreacji i fryzurze bardzo młodo.

Może właśnie padł główny los w loterii jej życia? Może nareszcie napotkała swojego mężczyznę? Była serdecznie wdzięczna Carpeau, że kazał jej w dniu wczorajszym odgrywać rolę podejrzanego Angielki. To może zaważyć na jej przyszłości.

XX

Cottard bardzo lubił, gdy jego goście wieczorem zbierali się w salonie, gdzie znajdował

się bar i aparat telewizyjny, i do późna w nocy grali w karty, czy prowadzili długie rozmowy. Twierdził, że przynosi to "Tarasconowi" jak najlepszą reklamę i świadczy o przyjemnej atmosferze w hotelu, jeśli goście rezygnują z wszystkich uroków, jakie rozciąga Nicea dla turystów.

Dlatego, mimo iż pilnie wykonywał polecenia prefektury i notował skrzętnie zachowanie gangsterów, patrzył na nich łaskawym okiem. Cabs i Terence przesiadywali wieczorami w salonie lub na tarasie i grali partie fixe w brydża z Thomsonem i jego sekretarzem. Pamiętali przy tym o napojach i mikser bez przerwy był zajęty przygotowywaniem im wymyślnych cocktailów.

Panna Rouy powróciwszy do domu przytknęła dłonie do rozpalonego czoła. Do tej pory wszystko odbywało się jak w bajce. Ona i milioner. Marzenia tysięcy dziewcząt nagle realizują się dla niej. Jeszcze dwa dni temu była zwyczajną maszynistką w prefekturze policji, nikomu nie znaną, nikomu niepotrzebną poza biurem. Jutro być może dzienniki wypełnią się sensacyjnymi nagłówkami: "Nowoczesny kopciuszek", "Wielka kariera skromnej Francuzki", "Milioner amerykański rozkochany w naszej rodaczce". Wywiady, fotografie, reporterzy i szalona zazdrość koleżanek.

Przed wszystkim zadanie powierzone mi przez Carpeau — pomyślała. Nie chciała więcej myśleć o Thomsonie, by nie zapeszyć przyszłości przedwczesnymi iluzjami. Wzięła kąpiel i pół godziny leżała na tapczanie starając się czytać książkę. Gdy zadzwoniła do niej panna Camlis pytając, jakie ma plany na wieczór, odpowiedziała, że czuje się niezbyt dobrze i wieczór spędzi w domu. Rena namawiała ją na spacer nad brzegiem morza, ale panna Rouy wykręciła się od towarzystwa przyjaciółki. Książka jej nie zainteresowała, zgasiła światło i leżała w mroku prawie bezmyślnie. O pół do dziewiątej była już gotowa.

Nakręciła numer telefonu podany przez Carpeau. Kiedy detektyw odezwał się w słuchawce, krótko zrelacjonowała mu przebieg spotkania w kawiarni. Carpeau, dowiedziawszy się, że gangsterzy nie przyszli o oznaczonej porze pochwalił ją za przedsięwziętą inicjatywę z Thomsonem.

— Postara się pani za wszelką cenę dostać do pokoju Higgins. Pozór wymyśli pani zależnie od okoliczności. Wiem, że da sobie pani radę.

— A gdyby jej nie było?

— Będzie! — posłyszała stanowczą odpowiedź. — Po dziewiątej nigdy nie wychodzi z hotelu.

— Gangsterzy też nawalili.

— Higgins ma swoje zasady. Poza tym dla pani wiadomości podam, że Higgins zgubiła psa. Gdyby nie udało się pani innym sposobem dostać się do jej pokoju, proszę powiedzieć, że wie pani, gdzie jest jej pekińczyk. Wabi się: Nanette.

— Co mam powiedzieć, jeśli spyta o miejsce, w którym znajduje się pies?

Carpeau przez chwilę milczał, potem powiedział:

— Powie pani, że jest w prefekturze policji do odebrania. U dyżurnego sierżanta.

— Dobrze. Nie powiem jej jednak, że znam imię psa. Wydałoby się jej to podejrzanе.

— Oczywiście — zaśmiał się detektyw — to tylko dla pani wiadomości. Panno Ninon, czyni pani zadziwiające postępy.

— Dziękuję. Staram się wam pomóc za wszelką cenę.

— Poproszę Renauda, by przeniósł panią do aparatu śledczego.

Uśmiechnęła się do słuchawki. Carpeau nie przypuszczał, że jej kontakt z milionerem może przynieść zupełnie odmienne decyzje. Nie wypadało jednak chwalić się tym przed mężczyzną. Przyjęła więc propozycję Carpeau bez komentarza. Zdziwi się dopiero, gdy oświadczy mu, iż wychodzi za mąż za Thomsona.

— Przesadza pan — odrzekła skromnie — postępuję logicznie. Oto cała moja zasługa.

— Logika — odparł detektyw — jest pierwszym stopniem do kariery w dziedzinie kryminalnej. Zatem dziękuję pani i proszę o skomunikowanie się ze mną zaraz po powrocie do domu. Numer telefonu ten sam.

— Czy pan nie uważa, że trzeba będzie ingerować natychmiast, gdy pańskie przypuszczenia okażą się trafne?

— Tak — odrzekł Carpeau. — W "Tarasconie" są nasi ludzie. Oni wiedzą, co robić. Higgins vel Laleczka nie będzie miał możliwości opuszczenia hotelu przed moim przybyciem. Ja tymczasem jestem na tropie Flapperty'ego.

— Aha — zgodziła się panna Rouy — postaram się, aby Higgins nie domyśliła się, iż rozszyfrowałam jej płeć.

— Tak postanowiliśmy. Gdyby zaszły jakieś nieprzewidziane wypadki, nasi ludzie zachowają się odpowiednio. Dziękuję pani serdecznie. Życzę powodzenia.

— Dziękuję. Będę się trzymała pańskich wskazówek.

Odłożyła słuchawkę. Jeszcze spojrzenie do lustra, skorygowanie fryzury, jeszcze skropienie chusteczki wodą kolońską i panna Rouy zeszła na dół. Zatrzymała taksówkę i podała adres hotelu.

Terence czekał na nią w hallu. Rzucił gazetę, którą czytał, i podbiegł do niej z entuzjazmem.

— Wygląda pani jak księżna! — zawołał. — Wprawdzie nigdy w życiu nie widziałem księżny, lecz wyobrażam sobie, że tak musi wyglądać.

— Czy panna Higgins jest w hotelu?

— Nie wiem. Ta stara baba nic mnie nie obchodzi. Zimno się robi na jej widok. Proszę na taras. Stół już gotowy. Cabs stawia pasjansa.

— Gram dość słabo.

Terence wybuchnął głośnym śmiechem.

— Dla mnie to też za mądra gra, ale nie grać w brydża, to podobno w złym guście. Czy pani mnie rozumie?

Panna Rouy rozumiała piąte przez dziesiąte, lecz nie przyznawała się do tego. Rozłożyła bezradnie ręce. Terence wziął ją manifestacyjnie pod ramię, prowadząc przez hall na taras, jasno oświetlony lampami, ukrytymi w gzymsach.

— Hej, Cabs! — krzyknął zjawiwszy się z panną Rouy na tarasie. — Mamy partnerkę. Tutejsze kobiety dotrzymują słowa.

Cabs porzucił karty, które miał rozłożone przed sobą na stoliku, i wstał.

— Będziemy porozumiewać się na migi! — wrzeszczał rozbawiony Terence. — Jeden kier — jeden palec przyłożony w okolice serca. Dwa — dwa palce. Gorzej będzie natomiast z pikiem. Co zrobimy z pikiem?

Cabs przywitał się z panną Rouy i nakazał Terence'owi zawiadomić sekretarza milionera, że gra może się rozpocząć.

Terence zniknął i Cabs uśmiechał się do panny Rouy nie starając się zabawić jej rozmową.

Panna Rouy tymczasem rozglądała się z ciekawością po tarasie. Od lat mieszkała w Nicei, lecz rzadko się jej zdarzało bywać w hotelach i pensjonatach przeznaczonych dla bogatych cudzoziemców. Podziwiała staranny dobór nowoczesnych mebli, kolorowe ściany hallu i pokoju recepcyjnego i wreszcie sam taras wyłożony barwną mozaiką, otoczony krzakami kwitnących magnolii i hibiskusów. Poprzez bogactwo roślin i zapachów wylaniał się w oddali urokliwy park Lympia. Rzęsiste światła bulwaru Carnota rzucały tajemnicze błyski na gęstwinę zieleni i drzew.

— Co za wspaniały widok — powiedziała.

— Wspaniały, wspaniały! — powtórzył po francusku Cabs zadowolony, że potrafi wymówić to słowo. Potem podszedł do krzewu i zerwał jeden z kwitów. Powąchał go i wręczył pannie Rouy z uśmiechem.

Przyjęła magnolię z uprzejmym skinieniem głowy. Kwiat pachniał z wieczorną intensywnością. Wpięła go do sukni i Cabs zaklaskał w dłonie na znak, że ten gest ocenia z najwyższym uznaniem.

Po chwili nadeszli Terence z sekretarzem Kraufem, który wyjaśnił, że Thomson czeka na ważny telefon i prosi, aby zaczęli grę bez niego. Panna Rouy siadając do stolika spytała młodzieńca o pannę Higgins. Ten obiecał zaraz dowiedzieć się od portiera, czy Angielka wróciła już ze spaceru. Gdy powrócił, oznajmił, że Higgins od pół godziny siedzi w swoim pokoju. Później dodał, że stara jest niepokieszona po stracie ukochanego psa, który przepadł nagle bez wieści.

Kiedy oznajmił to gangsterom, ci wybuchnęli nie ukrywaną radością. Terence zaczął tupać, a Cabs zatarł ręce.

— Dobrze tak babsztyłowi! Terroryzuje cały hotel.

Biedni chłopcy — pomyślała panna Rouy. — Ani nie przypuszczają, że znienawidzona przez nich Angielka tylko czyha na ich życie. Jakież oczy zrobiliby, gdyby im powiedziała o tym? Potem szybko się zreflektowała. Przecież ci dwaj młodzi Amerykanie również zjechali tutaj, aby rozprawić się ze swym wrogiem. I w końcu nie wiedziała już, kogo żałować. Postanowiła nie myśleć nad tym. Przybyła tutaj, aby uwolnić Niceę od tych panów. Zaprowadzić z powrotem ład i porządek.

Karty były już rozdane i sekretarz grał pierwszego robra z panną Rouy. Korzystając z tego oświadczył pannie Rouy, że Thomson cieszy się niebywale z obietnicy i czeka z niecierpliwością na chwilę, kiedy będą mogli znaleźć się w jakimś lokalu bez towarzystwa z hotelu.

Panna Rouy zalicytowała dwa piki, po bez atu, którym otworzył grę Terence. Powiedziała przy tym, że najpierw musi się widzieć z panną Higgins.

Sekretarz skinął głową, że to zrozumiałe, i poparł ją w pikach po pasie Cabsa. Terence długo myślał, niezadowolony z odzywki swego partnera, i dał kontrę.

— Po bez atu nie ma trzech — rzekł sentencjonalnie Krauf wykładając karty. Panna Rouy poprawiła się na krześle i czekała na wist Cabsa. Zagrał małym karem i zdobyła

pierwszą lewą.

Kelner tymczasem przyniósł cztery cocktaile i solone migdały.

Terence skakał do góry, gdyż panna Rouy leżała bez jednej, i wznosił do góry kieliszek.

— Za zdrowie pięknej pani o fiłkowych włosach.

Wypili zwracając kieliszki w jej kierunku.

— Pójdę się dowiedzieć, czy ta stara baba przyjmie panią — oświadczył nagle Cabs. —

Nie chciałbym pani narażać na jej impertynenckie zachowanie — wstał składając karty.

Sekretarz przetłumaczył to pannie Rouy. Podziękowała mu spojrzeniem i pomyślała

sobie przy tym: czemu ten gangster jest taki grzeczny? Czyżby i on się we mnie

zakochał? Cabs wyszedł i Terence starał się zabawić pozostałe towarzystwo

demonstrowaniem sztuczek z kartami.

Panna Rouy nie dawała poznać po sobie, lecz nieobecność Thomsona, który nie zjawił

się na tarasie, usprawiedliwając się przez swego sekretarza czekaniem na połączenie

telefoniczne, trochę ją zaniepokoiła. Czyżby rozmowa telefoniczna była ważniejsza od

powitania jej w "Tarasconie"? Może Thomson zreflektował się i żałuje, że zaprosił ją do

"Cacadou"? A może Amerykanie przywiązują większą wagę do interesów aniżeli do

miłości? Czują się jednak dotknięta i postanowiła nie wspominać ani słowem o

Thomsonie. Niech wie, że nie zależy jej na spotkaniu i że Francuzki nie są

przyzwyczajone, aby je traktować jak kobiety z drugiej półkuli.

Terence ustawił karty w wysoką piramidę i z cyrkową zręcznością budował na niej coraz

bardziej skomplikowaną architekturę. Śmiał się przy tym jak dziecko i prosił, by nikt nie

zburzył tej budowli niebacznym dmuchnięciem. Panna Rouy przypatrywała się jego

popisowi z uśmiechem.

Za chwilę czekało ją ważne zadanie. Stanie oko w oko z człowiekiem, którego dotąd

bezsukutecznie poszukiwała policja. Od jej inteligencji zależy powodzenie planu Carpeau.

Dam sobie radę — pocieszała się w myśli — przecież nie tak trudno odróżnić mężczyznę

od kobiety. Tylko czemu inni nie wpadli na to przedtem? Thomson, jego sekretarz i ci

dwaj, którym groziło największe niebezpieczeństwo? Widocznie nikomu nawet nie

przyszło na myśl, że pod przebraniem kobiecym panny Higgins ukrywa się mężczyzna.

Inaczej tego nie da się wytłumaczyć. Nie wierzyła, aby ktokolwiek mógł być na tyle

doskonałym aktorem w życiu codziennym, aby nikt nie zauważył różnicy pomiędzy

sposobem bycia, poruszania się i gestów, jakie dzielą obydwie płci. Była tak pochłonięta

tą myślą, że nie spostrzegła, kiedy Terence wyciągnął kilkanaście kart z podstawy

piramidy, która trzymała się teraz jedynie na czterech podpórkach. Sekretarz nie miał

słów zachwyty. Panna Rouy ocknęła się dopiero, gdy Terence pociągnął ją delikatnie za

rękaw sukni. Złożyła ręce, udając wielki podziw dla kunsztu gangstera.

Terence zamówił następny cocktail, dumny z pochwał, a potem jednym ruchem ręki

zburzył swe dzieło chichocząc z radości.

— Oto jak buduje się misterne twory, a potem można je obalić drobnym posunięciem —

powiedział.

Panna Rouy zmarszczyła brwi, domyślała się, że wśród żartów Terence powiedział jakiś

aluzję, lecz nie wiedziała, o co mu chodzi.

— Widzi pani — ciągnął dalej — do pewnego czasu wszystko się udaje. Gdybym jeszcze

na moment przedłużył to ustawianie kart, piramida zwałaby się sama. A ja w wiadomej dla siebie chwili nie pozwoliłem jej samej się unicestwić. Pozostawiłem sobie tę przyjemność — śmiał się, badając wzrokiem reakcję panny Rouy.

Najlepiej będzie, pomyślała panna Rouy, jeśli odegram rolę głupiej kobiety, która nie potrafi się doszukać niczego w jego słowach.

— To tak jak życie — powiedziała wznosząc oczy ku sufitowi.

— Doskonale pani utrafiła — rżał Terence klepiąc się po kolanach. — Tak właśnie bywa w życiu.

— Ale ja na szczęście nigdy nie opieram się na jakichś planach. Takie rzeczy nigdy się nie udają, a potem pozostaje tylko rozczarowanie.

— O! — Terence wyciągnął palec do góry.

Sekretarz milionera tłumaczył rozmowę szczerze rozbawiony i wtrącał swoje uwagi, nie bez złośliwości traktując aforyzmy gangstera.

Panna Rouy ukradkiem spojrzała na zegarek. Dochodziło pół do dziesiątej. Higgins jakoś nie kwapiła się poprosić ją do siebie. Jeśli zejdzie na dół i porozmawia z nią przy wszystkich, sytuacja nie będzie korzystna. Lepiej nie dopuścić do tego. I samej wtargnąć do pokoju pod byle jakim pozorem.

— Ten pan jakoś nie rwaca — powiedziała niby od niechcienia.

— Widocznie ma jakieś trudności — zauważył sekretarz.

Terence, widząc oznaki zniecierpliwienia u panny Rouy, domyślił się, o co jej chodzi.

— Sądzę, że ten stary babsztyl ma do niego kazanie. O ile znam Cabsa, słucha w milczeniu. Biedaczek tak dawno nie miał nic wspólnego z pedagogiką.

— Idę sama — zdecydowała nagle panna Rouy wstając z krzesła. — Może potrzebuje mojej pomocy.

— Ach, nie — Terence zagroził jej drogę. — Wpadnie pani w samo dno piekła.

— Nie boję się — odpowiedziała usłyszawszy przetłumaczone słowa gangstera.

Na szczęście na taras wkroczył Cabs z triumfującą miną.

— Zwycięstwo — powiedział. — Udało mi się nawiązać z nią znajomość. Kładła się już do łóżka, lecz ją powstrzymałem. Czeka na panią.

Terence podskoczył do góry z okrzykiem triumfu.

— Ty ją jeszcze uwiedziesz, stary.

— Brr — wstrząsnął się Cabs — strasznie stare pudło.

— To chodźmy — rzekł Terence.

— Panowie poczekają — oświadczył Cabs — a ja zaprowadzę panią na miejsce.

Uprzedzam, że może to potrwać trochę dłużej. Babsko jest okropnie gadatliwe. Sam ledwo się odczepiłem, gdy mnie już dopadła.

Panna Rouy przeszła z gangsterem do hallu i w lustrze poprawiła jeszcze włosy. Cottard, siedzący w recepcji za biurkiem, zapytał uśmiechając się do niej:

— Jak podobał się pani ogród?

Przypomniała sobie piękny widok z tarasu na park Lympia i odpowiedziała z uniesieniem:

— Nie ma piękniejszego w Nicei.

— Bardzo mi miło to słyszeć — odparł Cottard. — To nasza duma.

— O zmroku po prostu zjawiskowy — dorzuciła, na co Cottard posłał jej spojrzenie pełne

wdzięczności.

— Winda nie działa — wyjaśnił Cabs dość głośno, by popsuć humor właścicielowi hotelu. Cottard złapał się za głowę.

— Zaskarżę ich, żeby pan wiedział, że ich zaskarżę. Dopiero co ją naprawili! — krzyczał po angielsku.

Cabs poprowadził pannę Rouy na schody. Weszli na trzecie piętro. W długim korytarzu świeciły się nikle, nastrojowe światła i gruby chodnik tłumił odgłos kroków.

— O, tam mieszka — Cabs wskazał pannie Rouy piąte czy szóste drzwi od klatki schodowej.

— Dziękuję! — odparła panna Rouy. — Już trafię.

— Pójdę z panią.

Panna Rouy nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Domyśliła się, że Cabs chce jej towarzyszyć przy spotkaniu z Higgins. To utrudni jej wykonanie zadania. Z drugiej strony obecność mężczyzny doda jej odwagi. Jeżeli Higgins była rzeczywiście przebrany mężczyzną, to był to Laleczka, groźny bandyta, który spędza sen z powiek Merlinowi i Carpeau. Perspektywa pozostawania z nim sam na sam nie należała do przyjemności. To pewne. Zwłaszcza że trzeba było niesłychanie uważać, aby nie odkryć prawdziwego celu, w imię którego miała się z nim skontaktować. Niestety, Cabs był również niebezpieczny. Gdyby i on wpadł na ślad Laleczki? Nie, tego nie wolno jej było ryzykować. Odkrycie Laleczki było zdobyczą policji i tylko policja winna wyciągnąć z tego odpowiednie konsekwencje.

Postanowiła pozbyć się Cabsa. Przystanęła i rozejrzała się po korytarzu. Cabs zatrzymał się również, czekając, co zamierza uczynić panna Rouy.

Wtem drzwi od najbliższego pokoju otworzyły się i na progu stanął Thomson.

— Proszę bardzo — zaprosił ją wytwornym ruchem do środka.

Panna Rouy nie zastanawiała się, czy kobiecie wypada odwiedzić bądź co bądź obcego mężczyznę w jego pokoju hotelowym. Uznała, że milioner swoim przypadkowym pojawieniem się na korytarzu uwolni ją od Cabsa. Dlatego też śmiejąc się wkroczyła śmiało do apartamentu zajmowanego przez Thomsona. Milioner zamknął szybko za sobą drzwi i gangster pozostał na korytarzu.

Wyszła po upływie kwadransa. Droga do panny Higgins była wolna. Przed numerem 109 zatrzymała się. Thomson pokiwał jej jeszcze ręką i zniknął za drzwiami. Głęboko odetchnawszy zapukała. Nikt nie odpowiedział po drugiej stronie drzwi. Zapukała ponownie. Widocznie Higgins była głuchawa. Nacisnęła delikatnie klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzyła je wsadzając głowę do środka. I nagle z jej piersi wydobył się przeraźliwy krzyk.

Pod drzwiami leżał skulony Cabs, poznała go od razu, a na środku pokoju, obok przewróconego stolika, leżała kobieta z szeroko rozrzuconymi nogami i rękami. Panna Rouy nie przestawała krzyczeć na cały hotel. Nie mogła się ruszyć z miejsca, jakaś siła trzymała jej nogi na uwięzi.

Wielu gości wybiegło na korytarz; wśród nich Gregory Thomson. W kilka sekund później zjawił się przerażony Cottard. Bez ceremonii odsunął ją na bok i wpadł do pokoju Angielki. Nachylił się nad kobietą i naraz zdumiony podniósł do góry rudawą perukę.

Postać w sukni kobiecej leżąca na środku pokoju była mężczyzną. Panna Rouy przekroczyła ciało Cabsa i znalazła się przy Cottardzie. Na piersi przebranego mężczyzny powoli rozszerzał się krwawy krąg. Nie żył. Widziała jego szeroko rozwarte oczy wpatrzone w sufit, otwarte usta, jakby gotowe do krzyku. Zemdląła.

XXI

Inspektor Merlin przybył do "Tarasconu" parę minut po dziesiątej. Cottard, który wezwał go poprzez prefekturę, czekał na niego przed hotelem.

— Zrujnowali mnie! — krzyknął na widok inspektora wysiadającego z samochodu.

Podbiegł do krawężnika i chwycił Merlina za rękaw. — Trup, morderstwo w moim hotelu! Tego nikt nie przeżyje.

— Spokojnie, spokojnie — inspektor skierował kroki do hallu. Cottard biegł za nim pojękując. Policjanci obstawili cały budynek i sierżant Marly wkroczył za Merlinem do hotelu.

Obok recepcji zebrali się wystraszeni mieszkańcy. Kilku z nich nie zdążyło się nawet ubrać, stali w piżamach, bladzi i zdenerwowani.

Cottard poprowadził inspektora na górę. Drzwi do pokoju panny Higgins były otwarte. Merlin ujrzał zwłoki ze znaczną już plamą krwi na piersiach. Marly odsunął właściciela hotelu i zabrał się z rutyną do przeprowadzania wstępnych badań.

Cottard pragnął udzielić wyjaśnień.

— Na krzyk jednej pani przybiegłem tutaj i zobaczyłem tego — pokazał miejsce, gdzie leżał przedtem Cabs — i tego — wyciągnął ramię przyglądając się z odrazą trupowi mężczyzny w sukni.

— Jakiej pani? — rzucił pytanie Merlin, oglądając z bliska ranę w piersi zastrzelonego.

— Nie wiem, jak się nazywa. Jest tutaj. Nikomu nie pozwoliłem się oddalić. Ja wiem, co w takim wypadku należy robić. Nikt nie opuścił "Tarasconu". Nikt, daję słowo.

— A tu kto leżał? — Merlin zaciekawiony relacją Cottarda podniósł się z klęczek przy trupie.

— Mój gość, mój drugi gość. Jak on się nazywa? Z tego wszystkiego zapomniałem, jak on się nazywa. Zaraz, zaraz. Co to można zrobić z człowieka, wszystko naraz zapomniałem. Nazywa się... nazywa się... już wiem. Cabs. Tu leżał, ale potem wstał. Dostał w szczękę i stracił przytomność. Też jest na dole. Nikomu nie pozwoliłem ruszyć się przed przybyciem policji. Ja wiem, co należy robić w takich wypadkach.

— Spokojnie, spokojnie — Merlin ruchem ręki kazał mu zamilknąć. — Marly, obejrzyjcie dokładnie pokój. Ja zajmę się gośćmi. Chodźmy — skinął na Cottarda.

Zeszli na dół. Inspektor wybrał pokój za recepcją. W czasie tego dowiedział się od Cottarda, że na tarasie grano w karty, potem kobieta, która przyszła około dziewiątej i pytała o pannę Higgins, poszła grać w brydża, potem widział ją przechodzącą przez ogród, potem poszła w towarzystwie Cabsa na górę i w jakiś czas później, nie wie, czy było to pięć czy dziesięć minut, posłyszał jej krzyk, popędził do góry i ujrzał ją właśnie w drzwiach pokoju 109, który zajmowała panna Higgins, Angielka, która jak się okazało, jest mężczyzną. Potem kobieta zemdląła i wniesiono ją do pokoju milionera Thomsona, gdzie przebywa do tej pory.

— Chciałbym ją widzieć — rzekł Merlin.

Cottard wybiegł do hallu i po paru sekundach wrócił, prowadząc ze sobą młodego człowieka.

— Nazywam się Robert Krauf — przedstawił się po angielsku — sekretarz pana Thomsona.

Merlin spojrział pytająco na Cottarda. Tymczasem młodzieniec wyjaśnił:

— Pan Thomson prosi pana o chwilę zwłoki, ponieważ pani, która znajduje się w jego pokoju, czuje się jeszcze bardzo źle. Szok nerwowy.

— Dobrze — zgodził się inspektor. — Niech pan wezwie niejakiego Cabsa.

Cottard wybiegł z hallu i po paru sekundach wrócił z Cabsem.

— Spotykamy się znowu, tym razem w innych warunkach — zauważył Merlin sięgając po notes, który znajdował się przed nim na stole.

Gangster miał niewyraźną minę i unikał wzroku inspektora.

— Słyszałem, że pan znajdował się w pokoju zabitego.

— Zabitego? — zdziwił się Cabs. — Przecież ona strzeliła do Higgins.

— Ona? Więc pan widział, kto zabił Higgins?

— Naturalnie. Kobieta, która wczoraj była w "Cacadou", a przedtem również w "Cacadou" zamordowała Joego Browna.

Merlin spojrział uważnie na Cabsa.

— Czy jest pan tego pewien?

— Najzupełniej. Stałem obok niej o krok. Kiedy weszliśmy do pokoju Higgins, otrzymałem od niej potężny cios w szczękę, zrobiło mi się czarno przed oczyma. Słyszałem jeszcze huk strzału i straciłem przytomność.

— A więc pan nie widział strzelającej, tylko słyszał odgłos strzału?

— Uderzyła mnie, co do tego nie ma wątpliwości — ujął dłonią swój podbródek i wykrzywił się z bólu — dotąd jeszcze czuję ten cios.

— Kiedy pan przyszedł do przytomności, dowiedział się pan, że Higgins nie żyje. Skojarzył pan huk strzału z jej śmiercią, stąd wniosek, że strzelała kobieta.

— Tak — Cabs patrzył teraz otwarcie w oczy inspektora.

— W jaki sposób znalazł się pan z ową kobietą pod drzwiami Higgins?

— Ta kobieta została zaproszona do "Tarasconu" na partię brydża. Okazało się, że chce widzieć się z panną Higgins, bo jest właścicielką psa podobnego do psa Angielki. Coś w każdym razie z psem... Po prostu ułatwiłem jej spotkanie, bo ten stary babsztyl zachowywał się zawsze nieodpowiednio.

— Kto ją zaprosił?

Cabs zastanowił się.

— Ja.

— Zaprosił pan ją na brydża, a nie zna pan jej nazwiska?

— Nie znam. Poznałem ją przez Thomsona.

— Kim jest Thomson?

— Amerykański milioner. Ma wielki koncern mięsny w Stanach Zjednoczonych. Mieszka w "Tarasconie".

— Co pan rozumie pod wyrażeniem: "ułatwiłem jej spotkanie z Higgins"?

— Higgins była postrachem całego hotelu. Wiecznie niezadowolona, wiecznie gderająca,

męczyła tu wszystkich stałymi pretensjami. Nie chciałem, aby kobieta, która grała z nami w brydża, była narażona na jakiś jej nieodpowiedzialny wybryk. Poszedłem do Higgins i spytałem ją, czy przyjmie nieznaną, która za wszelką cenę pragnie powiedzieć parę słów. Najpierw Higgins zwymyślała mnie, że nachodzę ją o tak późnej porze, przetrzymałem jej atak, a później zgodziła się na wizytę. Zszedłem na dół, na taras, gdzie graliśmy, oświadczyłem partnerce, że Higgins czeka na nią, i poszedłem z nią, aby wskazać jej pokój, gdzie mieszkała ta stara furiatka.

— I gdy weszliście do pokoju...

Cabs przerwał mu ruchem ręki.

— Na korytarzu spotkaliśmy Thomsona, który ni stąd, ni zowąd wciągnął tę panią do swego pokoju. Po chwili ta pani wyszła, innymi drzwiami, bo Thomson zajmuje cały apartament i ma kilka drzwi na korytarz, i podeszliśmy razem pod numer Higgins.

Zapukaliśmy, usłyszeliśmy ostre "wejść", otworzyłem drzwi i przepuściłem towarzyszkę, przeszła obok mnie i gdy zrobiłem krok czy dwa do środka, została znokautowana.

Merlin notował skrzętnie uwagi na temat zeznań gangstera.

— Co ma pan jeszcze do wyjaśnienia?

— Nic. Pan coś mówił, że Higgins to mężczyzna. Jakżeż to możliwe, skoro tyle razy ją widziałem?...

— Później dowie się pan wszystkiego. Proszę poczekać w hallu.

Odprowadził Cabsa do drzwi i zawołał Cottarda.

— Co jest z tą kobietą?

— Kazała mi, żebym powiedział panu, iż nazywa się: Rouy.

Merlin przekrzywił głowę,

— Rouy — rzekł powtórnie Cottard. — Tak oświadczyła.

— Dobrze. Czekam na nią.

Naraz wyrósł tuż przy inspektorze szczuły, starszy mężczyzna.

— Thomson — przedstawił się Merlinowi. — Panna Rouy nie czuje się jeszcze na siłach, aby zejść do pana. Prosiła o trochę cierpliwości.

— W takim razie — rzekł Merlin — porozmawiam z panem. Proszę za mną. — Zamknął drzwi i wskazał milionerowi miejsce przy biurku.

— Pan nazywa się Thomson? Czy tak?

— Gregory Thomson, właściciel koncernu konserwowego "Meatcomplex" w Illinois, w Springfield.

— Mieszka pan tutaj?

— Tak, od kilku dni.

— Dlaczego tutaj? Nicea ma wiele innych, wygodniejszych hoteli i bardziej odpowiadających pańskiemu stanowi posiadania.

— Urzekło mnie położenie tego hotelu. Lubię ciszę i ładne otoczenie.

— Zgodził się pan na trzecie piętro?

— Zająłem cały apartament składający się z trzech pokoi. Zresztą jest winda. Kiedyś, proszę pana, byłem człowiekiem, który musiał biegać po piętrach i wcale do dziś dnia nie zważam, gdzie mi wypada mieszkać, a gdzie nie.

— Pan miał ciężką młodość, co?

— Tak.

— A wiek dojrzały pełen niebezpieczeństw?

— No, owszem...

— Tak sądziłem. Kto przedtem mieszkał w tym apartamencie?

— Tego nie wiem.

— Pan ma sekretarza?

— Tak. Nazywa się Robert Krauf, pochodzi z Springfield.

— Kiedy panowie przyjechaliście do Nicei?

— Dokładnej daty nie pamiętam. W każdym razie w dniu, gdy zawinął do portu statek "Prince de France". Na nim bowiem odbywałem podróż.

— Czy przywiózł pan zapas puszek konserwowych?

— Ja, a po co? Nie jadam konserw. Bardzo dbam o żołądek. Co zresztą nie znaczy, bym uważał, iż moje konserwy są tylko dla ludzi o strusim żołądku. Przeciwnie. Ja niestety jestem nieco chory.

Merlin przypatrywał mu się z wielkim zainteresowaniem.

— Gdzie pan był w czasie popełnienia morderstwa?

— U siebie w pokoju.

— Czy był ktoś z panem?

Thomson zaniepokoił się. Było to widoczne nawet dla niezbyt bystrego obserwatora.

— Byłem sam.

— Czy pan zna pannę Rouy?

Milioner uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Znam — odpowiedział.

— Gdzie ją pan poznał?

— Pierwszy raz ją zobaczyłem wczoraj w "Cacadou". Zatańczyłem z nią.

— I na tym znajomość się skończyła?

Thomson zatarł ręce jak człowiek, któremu odpowiedź na postawione pytanie sprawia dużą trudność.

— Czy później widział się pan z panną Rouy?

— Widziałem się.

— Gdzie?

— Dzisiaj w kawiarni. Około godziny piątej. Dosiedliśmy się do jej stolika wraz z moim sekretarzem.

Merlin odłożył notes i pokiwał głową.

— Policja, niestety, musi być niedyskretna. Czy pan po spotkaniu w kawiarni miał jeszcze jakiś kontakt z panną Rouy?

— Oczywiście — odrzekł szybko Thomson. — Obecnie przebywa w moim pokoju. Przeniesiono ją — zresztą na moją prośbę, spod stodziewiątki zemdloną na skutek wrażenia, jakie wywarło na niej zabójstwo. Kiedy usłyszełem jej krzyk, wybiegłem z pokoju.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Dziękuję panu.

Merlin odprowadził milionera do drzwi.

— Proszę nie opuszczać hotelu — zaznaczył, gdy milioner wychodził. — Panie Cottard, teraz niejaki pan Terence.

Gangster wszedł nieco blady i bardzo nadrabiał miną.

— Miło mi pana widzieć — rzekł, rozglądając się po pokoju.

— Czy pan grał w brydża ze swym kolegą i z tą obcą kobietą? — Merlin przystąpił od razu do indagacji.

— Nie wypieram się. Grałem. Gra jak skończona noga. Nie zrobiła trzech pików. A miała takie karty. Tercmajor w pikach z dwiema błotkami, drugiego asa kierowego...

— Gdzie pan ją poznał?

— To ta, co siedziała w "Cacadou", jak zabito Browna. A później wczoraj. Dziś ją spotkałem w kawiarni. Chciała zagrać w brydża, to ją zaprosiliśmy. Pana też byśmy zaprosili, gdyby pan wyraził życzenie. Jak się nie ma czwartego, każdy jest dobry. Na dalsze pytania Terence opowiedział, że grali w brydża, a owa kobieta życzyła sobie porozmawiać z Higgins, starą wariatką, podobno w sprawie psa. Wobec tego Cabs, który jest zawsze dżentelmenem w stosunku do kobiet, udał się do Higgins, by zapowiedzieć wizytę. W czasie tego on zabawiał tę panią i pana Kraufa sztukami karcianymi. Później zjawił się Cabs. Powiedział, że wszystko dobrze, i zaprowadził tę panią do Angielki.

— I nie ruszał się pan z miejsca, gdy oni udali się na górę?

— Nie. Siedziałem z sekretarzem na tarasie i czekaliśmy na ich powrót, by dokończyć partii.

— Proszę pana, powiedział pan, że zaprosił ją pan na brydża? Dlaczego? Obcą kobietę? Terence podrapał się po swych bujnych, jasnych włosach.

— Lubimy baby. A pan nie lubi?

— Jak się to odbyło?

— Weszliśmy do kawiarni, gdzie siedział z nią już Thomson i jego sekretarz. Krauf powiedział mi, że wybiera się ona do "Tarasconu", więc zaprosiliśmy ją na brydża.

— Czy powiedziała wam, po co wybiera się do "Tarsconu"?

— Spytałem ją o to. Zawsze byłem ciekawy. Odpowiedziała, że to jest tajemnica. Później wszystko się wydało. Stale nawracała w rozmowie do tej, co ją teraz, pan wie — złożył dwa palce i strzelił ustami, naśladując wystrzały. — Bredziła też coś o psie.

— Ma pan coś do dodania?

Terence wstał i wybuchnął śmiechem.

— To ci heca! Nie przypuszczałem, że w waszej ojczyźnie są takie same rąbunki jak u nas. To mnie pociesza.

Następnie zeznawał Robert Krauf. Powiedział, że milioner był bardzo zadowolony z wyboru hotelu. Przyjechali na statku "Prince de France". Ponadto Thomson bardzo polubił panów Terence'a i Cabsa, gdy dowiedział się, że pochodzą z tego samego miasta co on. Ponadto pan Thomson zakochał się od pierwszego wejrzenia w kobiecie o fiołkowych włosach, którą ujrzał w "Cacadou". Thomson jest kawalerem, człowiekiem poważnym i szanowanym, i postanowił ożenić się z tą kobietą. Traf zrządził, że spotkali ją najzupełniej przypadkowo w kawiarni. Milioner polecił mu przystąpić do stolika, przy którym siedziała owa kobieta, i prosić o pozwolenie zajęcia miejsc przy niej. Thomson

wierzył, że potrafi ją przekonać o swych prawdziwych uczuciach, i zamierzał zaprosić ją do "Cacadou". Wtedy ona odmówiła, usprawiedliwiając się brakiem czasu, gdyż chciała się z kimś spotkać właśnie w "Tarasconie". Została więc zaproszona na brydża. Grała przez chwilę, potem Cabs zaprowadził ją na trzecie piętro. Terence pozostał na tarasie i pili razem cocktail, czekając na dokończenie partii.

— Czy ta pani zaproponowała Cabsowi udanie się do Higgins?

— O ile sobie przypominam, sam się zaofiarował to uczynić.

— I zgodziła się, by Cabs ją prowadził do Higgins?

— Tak.

— Czy pan przypadkiem nie przywiózł ze sobą puszek z konserwami?

— "Meatcomplex"? Tak. Jedną skrzynkę. Nadałem ją na bagaż na statek.

— I zjadł pan te konserwy?

— Nie. Rozdałem.

— Komu?

Krauf popatrzył na inspektora, zagryzając wargi.

— Dalem kapitanowi statku kilka, potem stewardowi. Dawałem, komu popadło. To reklama.

— Co się stało ze skrzynką?

— Nie wiem. Pewnie wyrzucono.

Wreszcie Merlin ujrzał pannę Rouy, którą sprowadził na dół Thomson, podtrzymując ją delikatnie pod ramię. Weszła do pokoju i westchnęła.

— Panie inspektorze, panie inspektorze...

Światło mlecznej lampy migotało w jej bajecznie fioletowych włosach.

— Panno Rouy — rzekł surowo Merlin — nie spodziewałem się tutaj zastać pani.

— Muszę zadzwonić do pana Carpeau — zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu telefonu. — Kazał mi zaraz skontaktować się z nim po odwiedzeniu tej... tego Laleczki. Merlin pochylił się nagle do przodu.

— Kogo?

— Laleczki — odparła panna Rouy.

— Skąd pani wie, że to Laleczka?

— Wyjaśnię to panu. Tylko chciałam z Carpeau...

— Chwileczkę! — zatrzymał ją stanowczym ruchem ręki.

Panna Rouy pomyślała wtedy, że Merlin woli wcześniej wszystko wiedzieć od Carpeau. Zazdrość zawodowa. Ale teraz było jej już wszystko jedno. Nie zależało jej na policji i jej ambicjach. Thomson prawdziwie ją kochał i według wszelkiego prawdopodobieństwa wyjdzie za niego za mąż. Usiadła więc na krześle.

— Zemdlałam — powiedziała poprawiając suknię. — O, gdzie mój kwiatek?

— Jakiż znowu kwiatek? — Merlin niecierpliwił się. Wiadomość o Laleczce podnieciła jego wyobraźnię.

— A, dostałam na tarasie piękną magnolię. Ale to nie ma znaczenia.

— Panno Rouy — powiedział ostro inspektor — nie muszę chyba pani przypominać o obowiązkach świadka morderstwa.

— Oczywiście, że nie.

— No więc?

Panna Rouy opowiedziała mu o spotkaniu z Carpeau, o jego odkryciu Laleczki i prośbie, by sprawdziła, czy jego przypuszczenia nie są fałszywe. Streściła spotkanie w kawiarni i wspomniała o swoim sukcesie, jaki odniosła, dostając się bez żadnych podejrzeń do "Tarasconu". Potwierdziła, że Cabs sam jej zaproponował mediację pomiędzy Higgins a nią, potem, że wyszła z nim na trzecie piętro.

— Nie wiedziałam, co robić, bo nie chciałam, by był świadkiem tego spotkania. Wtedy przyszedł mi z pomocą pan Thomson, zjawił się nagle, dla mnie niesłychanie w porę, i zaprosił do siebie.

— I pani skorzystała z zaproszenia?

Spojrzała na niego uważnie.

— Skorzystałam, ale tylko dlatego, że było mi to wtedy bardzo na rękę. Cabs pozostał na korytarzu. Przeczekałam dobre dziesięć minut u pana Thomsona, a potem wyprowadził mnie na korytarz innym wyjściem. Zstukałam do Higgins, a kiedy nikt nie odpowiadał, zdecydowałam się wejść. Ujrzałam Cabsa leżącego na ziemi, myślałam, że nie żyje, bo się nie ruszał, a na środku pokoju Higgins. Zaczęłam krzyczeć. Nie wiem, co się ze mną stało, ale krzyczałam, jakby mnie ktoś obdzierał ze skóry. Sądzę, że dlatego, iż pierwszy raz w życiu widziałam trupa i świeżą krew. Dopiero kiedy wpadł właściciel hotelu i zdjął jej perukę, pojęłam, że przede mną leży mężczyzna, a nie kobieta. Laleczka. Carpeau miał słuszność. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i padłam na ziemię. Cabs żyje, bo go widziałam w hallu, a tamten? Co z tamtym?

Został zastrzelony.

— Kto go zabił?

Merlin rozłożył ręce i nie odpowiedział na pytanie.

— Jak długo przebywała pani w pokoju Thomsona?

— Chyba z dziesięć minut. Może piętnaście.

— Czy nie słyszała pani wystrzału? Higgins została zastrzelona w czasie pani pobytu u Thomsona, jak z tego wynika.

— Nie słyszeliśmy.

Inspektor zaczął się uważnie przypatrywać lampie stojącej na stoliku.

— Gregory Thomson składał przed chwilą zeznania — zaczął bardzo powoli, cedząc słowo po słowie. — Nie wspomniał, że pani złożyła mu wizytę właśnie w czasie dokonania morderstwa.

— Nie wspomniał? — panna Rouy aż podskoczyła na krześle.

Merlin rozłożył ręce.

— Nie.

— To niemożliwe.

— Porozmawiam jeszcze raz z nim, panno Rouy, natomiast Cabs stwierdził, że doczekał się pani po wyjściu do Thomsona...

— Cabs? To nieprawda.

— Cabs tak twierdzi. I że zaprowadził panią do pokoju Higgins. Kiedy wkraczaliście do środka, wymierzyła mu pani cios w szczękę...

— Ja? — panna Rouy oniemiała z wrażenia.

— I potem strzeliła pani do Higgins. Rewolwer znalazł Cottard na podłodze.

— Ja... ja... to znaczyłoby, że ja... Laleczkę... dlaczego? — jąkała się nie mogąc ochłonać.

Merlin przyjrzał się jej rękom, a potem uśmiechnął się.

— Zgodzi się pani, że sprawa jest bardzo niejasna.

— Panie inspektorze — powiedziała panna Rouy w przyplýwie nagłej energii — zna mnie pan nie od dziś. Piętnaście lat pracuję w policji i naraz morderczyni? W imię czego?

Merlin powędrował wzrokiem na sufit, później przymknął oczy i myślał brużdżąc czoło zmarszczkami. Panna Rouy oczekiwała na dalsze pytania, mrużąc pod nosem o jakimś nieporozumieniu.

— Cabs kłamie. To gangster! — wykrzyknęła w porýwie złości.

— Przypuścmy — odezwał się Merlin. — Nie mógł jednak on zamordować Higgins. Ledwie go ocucono po uderzeniu. Sam sobie nie zadał tak silnego i prawidłowego ciosu. Higgins nie uderzyła go, a potem nie popełniła samobójstwa. Ułożenie zwłok i rewolwer porzucony przy drzwiach wykluczają to zupełnie. Czyli był ktoś trzeci. Cabs twierdzi, że pani.

— Thomson jest świadkiem. Mam alibi.

— Czemu tego nie zeznał?

Panna Rouy wyprostowała się dumnie.

— Pan Thomson jest dżentelmenem. Nie był pewny, czy życzę sobie, by ktokolwiek wiedział o mojej wizycie w jego kawalerskim pokoju.

— To przecież pani jedyne alibi.

— Nie przypuszcza, że Cabs chce mnie oskarżyć o morderstwo — panna Rouy zaczerwieniła się jak pensjonarka. — Tak, to robota Cabsa. Za jednym zamachem pozbył się Laleczki i zamierza mnie uwikłać w tę aferę.

— Powtarzam pani, że Cabs nie mógł zabić.

— To ten drugi gangster!

— Terence siedział po waszym wyjściu na tarasie wraz z sekretarzem Thomsona.

— No to nie wiem kto.

Merlin zaśmiał się z takiego postawienia sprawy przez pannę Rouy.

— A Thomson?

— Thomson — wykrzyknęła oburzona panna Rouy — przecież mówię panu, że był ze mną.

— Może pani chce mu dać alibi?

— Panie inspektorze, nie poznaję pana — załamała ręce. — Przecież gdyby to miał być Thomson, pierwszy by zasłaniał się mną. A on nic takiego nie powiedział — wykrzyknęła z triumfem.

— Rzeczywiście — przyznał Merlin — pani ma zadatki na detektywa.

— To samo mi oświadczył pan Carpeau — odrzekła oddychając z ulgą, że przekonała Merlina.

— Zawołamy teraz Cottarda — powiedział inspektor — nie, niech pani nie wychodzi — dodał widząc, że panna Rouy zamierza opuścić pokój.

Cottard wszedł zupełnie załamany. Trzymał się za bok i jęczał.

— Wykończono mnie, wykończono. Mój hotel, dorobek całego życia, i mnie. Żeby pan wiedział, jak mnie to boli. Kamienie żółciowe — wyjaśnił inspektorowi.

— Panie Cottard, czy zna pan tę panią?

— Owszem — odrzekł krzywiąc się do panny Rouy.

— Skąd?

— Widziałem panią, jak weszła do hotelu i witała się w hallu z panem Terence'em. Panna Rouy skinęła głową na znak, że potwierdza słowa Cottarda.

— Później widziałem tę panią w naszym ogrodzie.

— W ogrodzie? — panna Rouy uniosła brwi?

— No tam — wskazał ręką w kierunku ściany.

— Nie byłem nigdy w ogrodzie.

— Jak to nie? — skoczył Cottard. — Przecież gdy szła pani z panem Cabsem na górę, spytałem panią, czy podoba się pani nasz ogród. Odpowiedziała pani, że jest najpiękniejszy na świecie. Pamiętam to dobrze, bo ogród to moja duma. Moje hobby. Powiedziała pani czy nie?

— Tak, to powiedziałam, ale myślałam, że pan tak nazywa park Lympia.

— Co mnie obchodzi park Lympia. Czy to mój park? Mój jest ogród i pani go pochwaliła. Powiedziała pani, że o zmroku jest wspaniały.

— Przyznaję, że tak się wyraziłam.

— A dlaczego się spytałem o to pani? Dlatego — podbiegł do niej zapominając o bólu — że przedtem widziałem panią w moim ogrodzie, właśnie o zmroku, w moim ogrodzie, powtarzam, a nie w parku.

— Nigdy nie byłam w pańskim ogrodzie. Nawet nie wiem, gdzie jest! — odpowiedziała twardo.

— Ludzie, ludzie, co wy ze mną robicie? — złapał się za głowę i potrząsnął nią, jakby dostał napadu epileptycznego.

Merlin podszedł do niego i wziął go pod ramię.

— Spokojnie, spokojnie. Czy pan poznaje tę panią?

— Jak to poznaję? — wykrzyknął. — A kto ma drugie takie wariackie włosy! Nie widziałem w życiu takich włosów. Po tych włosach poznałbym panią na końcu świata.

— Zatem kobieta spotkana w ogrodzie miała takie same włosy?

— Inna? To ona. Widział pan u kogo innego takie włosy?

— Widziałem — uciął krótko inspektor.

— Zwraiuję — opadł z sił i zaczął się macać w okolicy biodra — przekłute kamienie.

Merlin poniechał dalszej rozmowy z Cottardem, wyprowadził pannę Rouy do hallu i kazał Cabsowi i Terence'owi udać się za nią.

Cabs patrzył spode łba na pannę Rouy, a Terence uśmiechał się bez przekonania. Marly czekał na nich w pokoju Higgins.

— Jest co nowego? — spytał inspektor.

— Znalazłem przyrządy do golenia — oznajmił Marly.

— Proszę, niech panowie wejdą — powiedział Merlin do gangsterów ustępując im miejsca w drzwiach. Cabs i Terence wkroczyli do środka z ociąganiem. Spuścili oczy.

— Czy panowie znają tego człowieka? — spytał Merlin.

Milczeli przyglądając się zwłokom.

— Nie poznają, że Laleczka — zachnęła się panna Rouy. — To są ludzie?

Merlin spojrział na sekretarkę i rzucił szybko do gangsterów:

— Czy to jest Laleczka?

Terence zaśmiał się głupkowato, Cabs przystąpił bliżej trupa i nachylił się nad nim.

Potem powoli odwrócił głowę i rzekł:

— Tak, to Micky.

— A pan? — rzekł do Terence'a.

Teraz z kolei nachylił się blondyn i zaraz potem stwierdził z naciskiem:

— Oczywiście, że Laleczka. Cały ogień na laleczkę! — dodał aforystycznie.

— O, tak. Cały ogień na Laleczkę. I gangsterów, i policjantów — twarz inspektora rozjaśnił uśmiech. — Dziękuję, to bardzo ważne. Nie wiem czy panowie zdają sobie sprawę, że od tej chwili jesteście podejrzani o zamordowanie swojego przeciwnika?

Terence dostał ataku śmiechu. Panna Rouy spojrzała zgorziona jego zachowaniem przy nieboszczyku.

— Ależ tak, inspektorze. Zdajemy sobie sprawę. Tylko musicie nam to udowodnić. Clive, pójdziemy do mamra. Na wypoczynek.

— Skuć ich? — spytał Marly sięgając do kieszeni munduru.

— Nie! — odrzekł Merlin. — Panowie pozostają do dyspozycji władz śledczych w hotelu.

— To jest dopiero policja! — wrzasnął Terence. — Żyć, nie umierać.

Marly nie rozumiał po angielsku i zdziwienie jego nie miało granic, gdy inspektor nie kazał mu wykonać zwykłego obowiązku wobec morderców. Cofnął się i wzruszył ramionami.

Cabs wystąpił do przodu i skierował pełne nienawiści spojrzenie na pannę Rouy.

— A ona?

— Czego chcesz ode mnie? — zdenerwowała się panna Rouy.

Merlin nakazał jej spokój. Zwrócił się po angielsku do gangstera:

— Pan jest całkowicie pewien, że ta osoba jest mordercą Laleczki?

— Tak. Mam oko.

— Pamięta pan wszystkie szczegóły jej garderoby?

— Tak — odrzekł Cabs patrząc na pannę Rouy, która czuła się bardzo nieswojo pod jego groźnym spojrzeniem.

— Na pewno?

— Nie myślę się. Ona.

— Czy któryś z panów ofiarował tej pani kwiat na tarasie?

— Tak, to ja jej dałem — rzekł Cabs i ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy.

— Czy kobieta, którą pan widział wychodzącą od Thomsona, miała kwiat wpięty w suknię?

Gangster oburzył się w pierwszym odruchu.

— Miała.

— Niech się pan zastanowi. Idzie tu również o pańską wolność.

Terence drapał się po głowie i przestępował z nogi na nogę.

— Clive, to ważne. Weź się w garść.

Cabs chrząknął, wykazując zdenerwowanie.
Merlin czekał, założywszy ręce na piersi.
— Proszę dobrze pomyśleć.
Cabs utkwiał wzrok w sukni panny Rouy, w miejscu, gdzie wpięła na tarasie magnolię.
— No, Clive? — ponaglał go Terence. — Miała, czy nie miała?
Cabs poruszył głową.
— Nie wiem — powiedział cicho. — Zupełnie teraz nie wiem.
Terence przyskoczył do panny Rouy i rękami zaczął machać w okolicy jej lewej piersi.
— Przecież to taki duży, biały kwiat. Popatrz, jaki duży. Taki kwiat rzuca się w oczy.
Cabs zamknął oczy i zachwiał się na nogach. Potem szybko się wyprostował.
— Nie miała.
Merlin zbliżył się do niego.
— Więc zmienia pan zdanie?
Wtrącił się Terence:
— To jasne, że nie miała. Inaczej by przecież zauważył.
— A czemu pan tak bardzo chce, żeby nie miała? — zwrócił się do niego Merlin, robiąc zdziwioną minę.
Terence zakołysał się na obcasach i zaśmiał się:
— Lubię prawdę. A tu widzę, że panu na tym kwiecie zależy.
Inspektor poklepał go po ramieniu.
— Panu zależy, bo ta pani — wskazał na pannę Rouy — nie ma kwiatu. Zapomina pan jednak, że zemdliała i kwiat odpadł. Przenoszono ją nieprzytomną. Mógł się oderwać. To chyba nie nasuwa wątpliwości?
Terence wybuchnął śmiechem.
— Popatrz, Clive, ten pan bierze nas za bardzo głupich chłopców. Chce się bawić z nami w ciuciubabkę.
Cabs uśmiechnął się kwaśno i w dalszym ciągu wpatrywał się w pannę Rouy, mierząc ją nieprzyjaznym spojrzeniem.
Merlin stanął pomiędzy nim a panną Rouy. Wyciągnął papierosa z pudełka, uderzył nim kilka razy o wierzchołek dłoni i powiedział pocierając zapałkę:
— Proszę, niech pani poda rękę temu panu.
Panna Rouy bezwiednie schowała rękę za siebie.
— Proszę, niech pani poda — rzekł z naciskiem, wypuszczając kłęb dymu.
Maszynistka powoli wysunęła ramię.
— A pan? — powiedział Merlin.
Cabs uczynił to samo, również bez większego przekonania.
— Proszę, niech pani mu uściśnie dłoń. Mocno, jak pani potrafi najmocniej.
Panna Rouy zacisnęła dłoń wokół dłoni gangstera. Wtedy Merlin odezwał się po angielsku do gangstera:
— Pańska pogromczyni uściśnie panu rękę.
Wziął pannę Rouy za drugą rękę, nie czekając na reakcję gangstera. Doszli do klatki schodowej.
— Marly? — krzyknął w głąb korytarza. — Każesz im zejść na dół. My zaś wejdziemy do

apartamentu Thomsona.

Skinął na policjanta czuwającego na schodach i polecił mu wezwać na górę milionera. Poczekali, aż gangsterzy zejść do hallu. Cabs jeszcze przystanął na półpiętrze i jeszcze raz utkwiał wzrok w pannie Rouy.

— On mnie nienawidzi — powiedziała zdenerwowana. — Patrzy na mnie, jakbym zamordowała mu żonę.

Merlin pokiwał głową.

— No, chodźmy.

W pierwszym pokoju Thomsona bez trudu odnaleźli magnolię. Tkwiła wetknięta we flakon stojący na niewielkim biurku.

— A widzi pan. Spadła niepostrzeżenie i ktoś się nią zaopiekował. Cabs bezczelnie kłamie.

— Nie — odparł Merlin.

— Jak to? — zaniemówiła panna Rouy. — Więc pan wierzy, że to ja uczyniłam?

— Nie.

Panna Rouy aż usiadła ze zdumienia na krześle. Zasłoniła dłońmi twarz.

— Nic nie rozumiem.

— Pani nie kłamie i on nie kłamie.

Nagle panna Rouy złapała się za policzki.

— Czyżby druga panna Rouy?

Merlin uśmiechnął się.

— Zapomniała pani, że odgrywała pani rolę pewnej Angielki.

— Rzeczywiście. I to ona?

— Tak.

— I ona była w ogrodzie?

— To jasne. Widział ją Cottard.

— I ona znokautowała gangstera?

— Tak.

— Kobieta i taka silna?

— Ta kobieta wibiła nóż po rękojeść pod łopatkę Joego Browna.

— Zaraz, zaraz — gorączkowała się panna Rouy. — Komu zależało na śmierci Laleczki?

Wiem! — wykrzyknęła z radością. — Flapperty!

— Jestem zbudowany pani domyślnością — Merlin oparł się o krawędź stołu i uśmiechnął się. Od dawna nie widziała go w tak dobrym humorze.

— Więc jednak my z Reną miałyśmy rację.

Szczerze gratuluję. Dwaj mężczyźni przebrani za kobiety. Tego jeszcze nie było.

— Panie inspektorze. Czy mogę zadzwonić do pana Carpeau? Na pewno się już niecierpliwi. Na co jeszcze czekamy?

— Na pana Thomsona.

— Pan już go przecież przesłuchiwał?

— Tak, lecz mam do niego jeszcze mały interes — Merlin odwrócił się i podszedł do okna.

Pannę Rouy ogarnęło jakieś złe przeczucie. Podbiegła do inspektora.

— Czy pan podejrzewa go o coś?

Merlin nie zdążył odpowiedzieć, gdy usłyszał za sobą głos milionera.

— Pan mnie wzywał?

Inspektor przytaknął.

— Idzie mi o ten kwiat. Gdzie go pan zerwał?

Thomson rzucił okiem na flakon.

— Znalazłem go.

— Gdzie? Proszę podać miejsce, gdzie i kiedy go pan znalazł?

Panna Rouy patrzyła rozpaczliwie na Thomsona. Zaczęła gryźć palce.

— Proszę pana — odezwał się Thomson — czy mogę przedtem zapytać o coś tę panią?

— Nie widzę przeszkód.

Thomson postąpił jeden krok naprzód, potem się zawahał i spuścił głowę. Zapanowała cisza w pokoju.

— No — panna Rouy nie wytrzymała potęgującej się emocji.

Milioner zdecydował się.

— Chciałem poprosić o rękę pani!

— Co on powiedział? — zaniepokoiła się panna Rouy zwracając się do Merlina.

— Prosi panią o rękę. Czy pani przyjmuje ofertę?

Panna Rouy rzuciła się w ramiona milionera. Trwało to parę sekund.

— Panie inspektorze — powiedział Thomson ponad głowę przytulonej do niego kobiety.

— Kwiat znalazłem w moim pokoju. Teraz już mogę powiedzieć wszystko. Moja narzeczona była u mnie w chwili dokonania zbrodni. Nie wyjawilem tego ze względu na jej reputację. Obecnie kiedy jest moją narzeczoną, mogę to wyznać bez żadnych obaw.

— Weszła do pana z kwiatem?

— Tak. Kiedy ją wyprowadziłem tamtymi drzwiami ze względu na pana Cabsa i wróciłem do pokoju, spostrzegłem, że kwiat leży na dywanie. Podniosłem go i wsadziłem do wazonu.

Panna Rouy przysłuchiwała się rozmowie z głową na piersiach milionera.

— Proszę pana — rzekł Merlin — nie wygląda pan na człowieka zbyt przedsiębiorczego w sprawach miłosnych. Przepraszam, że mówię o tym, mimo dość amerykańskiego tempa, w jakim pan uznał tę panią za swoją narzeczoną.

— Ma pan słuszość. Jestem raczej nieśmiały.

— Skąd zatem znalazł pan tyle odwagi, że zaproponował pan tej pani wizytę u siebie?

— Pani napisała do mnie list, w którym prosiła o rozmowę w cztery oczy.

— Panno Rouy — rzekł po francusku Merlin — pani napisała list do pana Thomsona, nic mi pani o tym nie mówiła?

Kobieta zachnęła się.

— Żadnego listu nie pisałam.

— Czy pan ma ten list? — zwrócił się do Thomsona.

— Mam — milioner bardzo czule odsunął pannę Rouy od siebie i wydobyl z bocznej kieszeni marynarki arkusik złożony w czworo. Papier w różowym kolorze świadczył, że służy do pisania listów miłosnych.

Merlin od razu poznał, że pisała go obca ręka. Pismo panny Rouy znał od lat i nie mogło

być mowy o jakiegokolwiek pomyłce.

Przeczytał list napisany po angielsku.

Drogi panie. Ośmielałam się prosić pana o chwilę rozmowy sam na sam. Będę, jak pan wie, w "Tarasconie" około dziewiątej. Muszę się z panem rozmówić bez świadków.

Proponuję więc, aby czekał pan na mnie u siebie na górze. Wstąpię do pana. Proszę koniecznie czekać. To bardzo ważna sprawa. Od tej rozmowy zależy moje przyszłe życie. Ninon Rouy.

Panna Rouy spojrzała przez ramię inspektora na list i wykrzyknęła oburzona:

— To nie ja pisałam!

— Wiem — Merlin wsadził list do kieszeni wyjaśniając milionerowi, że list został sfalszowany.

— Jaka perfidia!

— Wszystko się zgadza, panno Rouy — odpowiedział Merlin.

— I on czekał na to, co ja mu powiem, a nie pomyślał, że nie potrafię po angielsku nawet mówić, a cóż dopiero pisać.

— Zakochani nie rozumują — rzekł uśmiechając się inspektor. — Ale teraz do roboty.

— Chodźmy zadzwonić do Carpeau — rzekła panna Rouy.

— Oczywiście.

W pokoju, gdzie Merlin odbywał przesłuchania, nie było telefonu. W hallu czekali zgromadzeni goście "Tarasconu".

— Gobin — rzekł głośno inspektor — wyprowadzisz tych dwóch panów i odwieziesz do prefektury — wskazał na Cabsa i Terence'a.

Panna Rouy przystanęła zdziwiona.

— A więc są winni?

Inspektor skinął głową. Znaleźli telefon w recepcji.

Panna Rouy nakręciła numer. Kiedy w słuchawce odezwał się Carpeau, zaczęła mówić bez ładu i składu.

— Byłam u Higgins. To Laleczka. Został zamorodwany. Inspektor Merlin aresztował tych gangsterów. Właśnie ich odwożą do prefektury. Zemdlałam. Bardzo się tego wstydzę. Nie, nic ze mnie nie będzie. Mam inne plany — odłożyła słuchawkę.

— Zaraz tu przyjedzie. Najdalej po dwunastej — powiedziała do Merlina, który przeglądał spis gości umieszczony na ścianie, a potem rozkład lotów linii Paryż_Nicea_Paryż.

Tymczasem Cottard usprawiedliwiał się, jak tylko mógł, przed swoimi lokatorami i przepraszał za ostatnie wypadki. Wzywał niebo na świadka, iż jego hotel stał się tylko przypadkową areną popisową dla policji, i przysięgał, że się to nigdy nie powtórzy.

Merlin przeszedł do pokoju za recepcją i przesłuchiwał jeszcze boya oraz sprzątaczkę, która mieszkała w podziemiach hotelu.

Panna Rouy usiadła obok Thomsona i patrzyli na siebie w milczeniu wzrokiem pełnym czułości. Robert Krauf przyniósł im z baru kieliszki z winem i sączyli powoli napój.

Później wyszedł do hallu Merlin i spojrzał na zegarek.

— Muszę jeszcze przesłuchać Cabsa i Terence'a — powiedział do panny Rouy. — Gdzież ten Carpeau?

— Lada moment się zjawi — uspokoiła go panna Rouy.

— Czy pani może wejść ze mną jeszcze do tamtego pokoju?

— Ależ oczywiście, panie inspektorze. Jestem nadal na służbie.

— Doskonale.

Panna Rouy posłała Thomsonowi czułe spojrzenie i pokazała na migi, że musi go opuścić na chwilę. Pokiwał jej ręką.

— Panno Rouy — rzekł Merlin siadając naprzeciw niej w pokoju — kto pani poradził przefarbować włosy na ten właśnie kolor, trzeba przyznać dosyć ekscentryczny?

— Dzięki temu zdobyłam serce człowieka — odrzekła panna Rouy. Nikt mi nie poradził. Kiedy byliśmy w "Cacadou", bardzo mi się spodobały takie włosy u tej Angielki. A ponieważ tamta wyjechała, jak się dowiedziałam od pana, byłam spokojna, że nikt inny nie będzie miał takich włosów w Nicei. Każda kobieta lubi być oryginalna. Gdybym nie wiedziała, że tamta zniknęła, nigdy bym sobie nie dała tak ufarbować. Podobają się panu?

— Bardzo.

Sierżant Gobin wszedł do pokoju bez pukania. Panna Rouy spojrzała na niego niezadowolona. Jak nigdy pragnęła w tej chwili wysłuchać dalszych komplementów. Chciała umocnić się w przekonaniu, że wygląda ładnie i ponętnie.

— Tamci odjechali, panie inspektorze — oznajmił Gobin nic nie robiąc sobie z maszynistki. — Kazałem Jourbetowi pilnować ich jak oczka w głowie.

— Doskonale — kiwnął głową Merlin. — Niech czekają, aż wrócę.

Gobin zmrużył oko i spytał pewny siebie:

— Prawda, że to sprawa polityczna?

Merlin rzucił okiem na zegarek. W jednej chwili zdecydował się. Odsunął z hałasem krzesło.

— Gobin, samochód! Pani pojedzie ze mną. I ty też. Tylko szybko.

— Tak jest, panie inspektorze! — sierżant obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju. Był od dawna przyzwyczajony do nagłych poleceń swego przełożonego.

Panna Rouy zrobiła zdziwioną minę.

— Spieszmy się. Nie ma czasu — ponaglił Merlin nie patrząc nawet w jej stronę.

— A Carpeau? Lada moment tu się zjawi.

— Marly wie, co ma robić. Niech się pani nie boi. Panno Rouy, szybciej, szybciej! Usprawiedliwię panią przed narzeczonym — wypadł do hallu, zamienił kilka słów z Thomsonem, który zmartwił się niespodziewanym wyjazdem panny Rouy.

— Biedaczek! — pożałowała go posyłając całusa.

W pośpiechu wsiedli do citroena. Merlin nachylił się i po cichu rzucił adres szoferowi. Gobin usiadł na przodzie, Merlin z panną Rouy zajęli miejsca na tylnych siedzeniach. Samochód ruszył od razu pełnym gazem, pomknął ulicami i wypadł na szeroki bulwar Angielski.

— Dokąd jedziemy?

— Zobaczysz pani — odparł Merlin dość ostro, dając wyraźnie poznać swej sekretarce, że nie ma większej ochoty do rozmowy.

Asfalt odbijał światła uliczne. Wysokie palmy i cyprysy migały jak smugi cienia na bulwarze.

Kiedy znaleźli się poza miastem, panna Rouy nie wytrzymała.

— Jedziemy na lotnisko?

Naraz pojawił się rześcicie oświetlony budynek portu lotniczego. Wóz zahamował z piskiem opon. Merlin wyskoczył jak młodzieniec i nie czekając na pannę Rouy pobiegł naprzód. Za nim podążał wielkimi susami Gobin. Maszynistka pozbiierała torebkę i rękawiczki i puściła się pędem za towarzyszymi. Zniknęli za szerokimi, oszklonymi drzwiami. Słyszała ryk motorów i głos spikiera: "Pasażerowie odlatujący do Paryża proszeni są o zajmowanie miejsc w samolocie".

W poczekalni kręcili się jacyś ludzie, tragarze wieźli bagaże, ktoś wykrzykiwał czyjeś nazwisko.

Wtem w oddali ujrzała inspektora Merlin, sierżanta Gobin i Carpeau stojących przy wejściu na płytę. Pobiegła do nich co sił w nogach.

— Jestem!

Merlin pokiwał głową na jej widok i zwrócił się do Carpeau:

— Jednak wygrałem — powiedział cicho.

Carpeau uśmiechnął się znacząco.

— Nie, to ja wygrałem. Wyprzedziłem pana.

Nie rozumiała, o co idzie, i już miała prosić o wytłumaczenie, co znaczą ich słowa, gdy nagle Merlin znieruchomiał patrząc na wyjście.

Do płyty zbliżał się elegancki mężczyzna z biletem lotniczym w jednej i niewielką walizką w drugiej ręce.

— Dokąd to, panie Woschynsky? — spytał go głośno inspektor.

Mężczyzna przystanął i wypuścił bilet z ręki.

XXII

Inspektor Merlin siedział za biurkiem i z uwagą słuchał tego, co mówi Carpeau.

— Pierri i Candy nie mieli żyłki gangsterskiej. Ich przynależność do bandy Flapperty'ego była nieporozumieniem.

— Pierri to Slim, a Candy Brooke? — upewnił się Merlin.

— Tak, Slim i Brooke. Ludzie bez charakteru, bez tzw. rangi. Pragnęli zdobyć pieniądze i oddać się spokojnemu życiu, co w końcu zrealizowali we Francji: jeden w branży kupieckiej, drugi jako komiwojażer. Nawet w tym nie przejawiali większego rozmachu.

Pierri otworzył w Nicei sklep z owocami, Candy pośredniczył w rozmaitych transakcjach, zawsze na umiarkowaną skalę, pilnie bacząc, by nie popaść w kolizję z prawem. Ich udział w gangu Flapperty'ego był, powtarzam, nieporozumieniem. Ale Duck Flapperty swych ludzi nie zwalniał. Niektórych ceniał, innych traktował jak niewolników — wszystkich trzymał w żelaznej dyscyplinie, dając wyraz nieokiełznanej fantazji i okrucieństwu.

"Wypisać się" spod znaku Flapperty'ego można było tylko ryzykując życie. Zdrajców szef karał serią z automatu. Niepewnych czy krnąbrnych prędzej czy później policja znajdowała z nożem w plecach. Z metod, jakimi posługiwał się Flapperty, można wysnuć wniosek, że był on człowiekiem wybitnym, obdarzonym pasją władzy, nie przebiegającym w środkach. To nie był, panie inspektorze, tuzinkowy gangster, lecz prawdziwy dyktator i zarazem awanturnik niepośledniej miary. Flapperty lekceważył pieniądze. Rabował je na prawo i na lewo, a potem trwoniał w dziki, niepoczytalny sposób. Łupy dzielił według

własnego widzimi się i może wyda się panu mało prawdopodobne, ale ten właśnie moment niepewności i przypadkowego wyróżnienia sprawił, że jego ludzie szli na każdą wyprawę jak na przygodę nęcącą dodatkowym hazardem. Flapperty miał dwie wielkie namiętności: jedną była nieograniczona władza nad członkami gangu, drugą pogarda dla praworządności; wyrażało się to zwłaszcza w specyficznym stosunku do policji. Gdyby pan miał możliwość dokładnego przestudiowania historii gangu Flapperty'ego, nie zdziwiłaby pana wizyta w prefekturze Cabsa i Terence'a. Ci dwaj młodzi ludzie po prostu zadrwili sobie z pana. Według obowiązującego w bandzie zwyczaju postanowili wciągnąć w akcję cały nicejski aparat śledczy, żeby następnie tym efektowniej wystawić go do wiatru.

— Jak to? — zdziwił się Merlin.

— Gangsterzy spod barw Flapperty'ego — ciągnął dalej Carpeau — policję całego świata uważają za nieudolnych naiwniaków, cierpiących na chroniczne przyćmienie władz umysłowych. Jedyna rola, jaką zdaniem tych gangsterów policja może wykonać, to nieświadome, lecz skuteczne działanie na korzyść przestępców.

Inspektor nerwowo poprawił się w fotelu.

— I dlatego Cabs z Terence'em sami do pana przyszedli, sami wyznali część prawy, a następnie pod ochroną policji spokojnie zażywali wczasów. Dlatego też, dowiedziawszy się od pana, że automatyczny pistolet został zapakowany w skrzynkę z konserw "Meatcomplex" — dowcipnie ustawili na własnym stole te trzy ofiarowane przez Kraufa puszki.

— Mogłem ich wtedy przymknąć — wtrącił Merlin.

— Tylko na to czekali. Bez trudu udowodniliby panu, że konserwy są darem Kraufa, Krauf jest sekretarzem Thomsona. Pan już samodzielnie powzięłby przypuszczenie, że pod nazwiskiem Thomsona kryje się Flapperty. Otóż i zabawa gotowa.

— Tak — zgodził się lakonicznie inspektor. — Cóż dalej?

— Właśnie. Odbiegliśmy trochę od tematu. Mówiłem o Candym i Pierrim, o tych dwóch tchórzach i zdrajcach. Wspomniałem także, że Flapperty był człowiekiem twardym i jak wielu despotów kapryśnym. Od swoich podwładnych żądał absolutnego posłuchu, sam jednak pozwalał sobie na wybryki. Niejaki Micky Dubois, z pochodzenia Francuz, wkrótce po wstąpieniu do gangu stał się prawą ręką Flapperty'ego oraz, mimo różnicy wieku, jego osobistym przyjacielem. Ten Micky to klawy facet, panie inspektorze. Postaram się to panu udowodnić. Odwagą i zamiłowaniem do hazardu dorównywał szefowi, pomysłowością przewyższał go. Gardził policją amerykańską i jak mało kto umiał sobie z niej zakpić. Pieniądze przez całe życie miał w pięcie, lubił się szeroko zabawić i bez skrupułów na rozkaz szefa wbijał niegrzecznym kolegom nóż pod łopatkę. Taki był Micky Dubois, chociaż wcale na takiego nie wyglądał, bowiem natura obdarzyła go urodą nie bardzo męską. Kiedy los zetknął Dubois z Flappertym, miał on zaledwie 21 lat, delikatne kobiece rysy i niewinne oczy. W gangu z miejsca nazwano Dubois Laleczką. Laleczka wiele swoich interesujących wyczynów dokonał w przebraniu kobiecym, miał po temu wszelkie warunki. Kiedyś na przykład zdarzyło mu się tak zawładnąć wyobraźnią jednego z wyższych funkcjonariuszy policji, że ów dostojnik, nawiasem mówiąc stary kawaler, z górą przez miesiąc trudnił się poszukiwaniem zaginionego dziecka pięknej Laleczki,

wreszcie znalazł je z odpowiednią kartką we własnym łóżku i prawdopodobnie do dnia dzisiejszego hoduje ten niewygodny owoc związków pewnego gangstera z pewną kelnerką. Incydent zresztą niewinny, jeżeli go cytuję, to tylko po to, by udowodnić panu, jak dalece gang Flapperty'ego zdolny był do bezinteresownych czynów, gdy chodziło o wystrychnięcie na dudka policji. Pod tym względem Laleczka na zawsze pozostał nieodrodnym synem macierzystej bandy. Niestety, Micky Dubois, zwany Laleczką, miał swoje życie prywatne. Tym prywatnym życiem była mała aktorka występująca w nocnych lokalach pod pseudonimem Colibri. Flapperty wiele sobie pozwalał w stosunku do chłopców, ale Laleczka nie był zwykłym chłopcem, Laleczka był indywidualnością i Duck przeliczył się. Kiedy Flapperty odbił Laleczce małą Colibri — Laleczka śmiał się razem ze wszystkimi członkami gangu. Jednakże niedługo potem, kiedy gangsterzy pod wodzą szefa wyruszyli na dom bankowy w Illinois i zdawać by się mogło, że wyprawa zapięta została na ostatni guzik — wynikła wpadka z grubym w następstwie wyrokiem sądowym. Tak Laleczka wypłacił przyjacielowi i towarzyszom pierwszą ratę należności za brak poszanowania dla jego słabostek. Micky Dubois skaptował dwóch marnych gangsterów, Slima i Brooka, którym od dawna roiło się po głowie spokojniejsze życie, i we trzech zrobili ów bank na pół godziny przed oznaczonym terminem natarcia. Laleczka był zawsze mistrzem w szybkich i na minuty obliczonych akcjach, dlatego zdażył po obrabowaniu banku uciec z obydwoma towarzyszami, a przedtem jeszcze zdażył zawiadomić o planowanym napadzie polocję, zdażył także załatwić małą Colibri. Tak, panie inspektorze Merlin, nie docenił pan talentu Laleczki.

— Nie doceniłem — przyznał Merlin. — Ale mam szczęście i Laleczka znajduje się w moich rękach.

— Tak, ma pan szczęście. Łut szczęścia lepiej czasem służy niż tona rozumu.

— Niech sobie pan nie żałuje, Carpeau; zwycięzcy pozbawieni są drażliwości. Proszę mówić dalej.

— Ojciec mój był Francuzem i język ten znałem od dziecka. Po ucieczce z Illinois przyjechałem ze Slimem i Brookiem do Francji. Dałem im trochę pieniędzy, nawet niedużo, i od razu ci dwaj drobnomieszczanie zabrali się ochoczo do uczciwej pracy. Ja sam ku wielkiej ich uldze zaciągnąłem się do Legii Cudzoziemskiej. Z Afryki wróciłem po roku jako Alain Carpeau. Domyśla się pan, panie inspektorze, jaką drobnostką dla Dubois było zdobycie w tych warunkach całego pliku przyzwoitych dokumentów. Tego biedaka, Carpeau, długo miałem na oku. Nosił wypisaną na twarzy nieskazitelną przeszłość, na której tak mi zależało. Niech pan będzie spokojny, tym razem mokrą robotę wykonał sam los. Prawdziwy Alain Carpeau zginął na polu chwały. Wróciłem do Paryża z jego papierami. Ci dwaj durnie mieszkali w hoetlu "Negresco" i nazywali się Pierri i Candy. Na mój widok miny im zrzedły, ale wkrótce odzyskali upragniony spokój, ponieważ nie miałem do nich chwilowo żadnego interesu. Przeciwnie, dałem im jeszcze trochę pieniędzy i tym sposobem kompletnie uspiłem ich czujność' sądzeni, że skoro płacę, to widocznie boję się. W Paryżu jako zasłużony żołnierz Legii Cudzoziemskiej zapisałem się do policji i sam rozpocząłem specjalizację w sprawach walutowych. Miałem sporo czasu, albowiem wyrok sądowy na Flapperty'ego i towarzyszy opiewał na cztery lata. Pieniądze zrabowane w Illinois ukryłem w pewnym znakomitym miejscu,

dobrze strzeżonym przez policję. — Roześmiał się. — Wśród banknotów była jedna nowiutka paczka, spodziewałem się, że ta seria jest trefna, i rzeczywiście jako agent specjalista wkrótce sprawdziłem, że jestem posiadaczem dziesięciu tysięcy dolarów odnotowanych w rejestrze wszystkich policji świata. To było mi ogromnie na rękę. Po kilkunastu miesiącach spędzonych w Paryżu, poprosiłem o przeniesienie do Nicei. Zapyta pan może, dlaczego właśnie do Nicei?

— Wcale nie pytam — powiedział szybko Merlin.

— Ale ja panu i tak powiem. Ze zrozumiałych względów chodziło mi o miasto portowe. A poza tym wiedziałem, że pułkownik Renaud jest starym bałwanem, a pan lubi popierać młode talenty.

Inspektor Merlin milczał, siedzący naprzeciw mężczyzna mówił dalej:

— Któregoś dnia kazałem Slimowi i Brookowi związać manatki. Dużo ich to musiało kosztować, ale stulili uszy i bez gadania spełnili moje życzenie. Wydawanie rozkazów jest moją mocną stroną, o wiele mocniejszą niż wykonywanie ich. Na osłodę Pierri i Candy dostali znowu trochę ukochanych pieniążków, przy tym Candy'ego, tj. Brooka skontaktowałem z pewnymi typami trudniącymi się wymianą dolarów na franki; poszedł na te kombinacje we własnym interesie; wypłaciłem obydwoim spore sumy w dolarach. W Nicei zagospodarowali się zupełnie niezłe. Kazałem im wynająć dwie wille w ogrodach i zabroniłem utrzymywania zbyt rozległych stosunków towarzyskich. Pierri wyżywał się w kontaktach z dziwkami, Candy, jako komiwojażer, poprzestawał na znajomkach z pociągów i autobusów. Od czasu do czasu pozwoliłem im zagrać w Monte Carlo, by w stosownej chwili przejąć w swoje ręce część śledztwa. Jak pan widzi, urządziłem się zawczasu. Mimo upływających lat i odmiennych warunków byłem dla nich ciągle Micky Dubois, nieustraszonym mścicielem i zdolnym do wszystkiego awanturnikiem. Oni byli dla mnie zdrajcami, których zamierzałem tolerować dopóty, dopóki mogli mi się przydać jako narzędzia mego planu. A plan coraz bardziej dojrzewał, ponieważ Duck Flapperty kończył odsiadanie kary.

Mówiący zamilkł. Po dłuższej chwili ciszę przerwał inspektor Merlin:

— Na czym polegał ten plan?

— O, plan był niezmiernie prosty. Wbrew pozorom niezmiernie prosty.

— Więc dlaczego nie mówi pan dalej?

— Namyślałem się, czy nie zrezygnować z pewnej części zeznań.

— Cóż to znowu za trick?

— Żaden trick. Tylko wątpię, czy policjant francuski zdołał należycie odczuć format porachunku między Duckiem Flappertym a Micky Dubois.

— Ja też wątpię, panie Dubois.

— Wobec tego uważam za celowe pominąć te partie, w których mógłbym udowodnić nieuchronność spotkania, jego absolutną konieczność, co do której żadna ze stron przez cztery lata nie miała najmniejszej wątpiwości. Pojedynek Flapperty'ego z Laleczką i Laleczki z Flappertym był już przesądzony w dniu, w którym podwładny nie zaaprobował absolutnej władzy szefa, egzekwując własny wymiar sprawiedliwości. W tym dniu została postawiona jasno jeszcze jedna sprawa... No, ale tego to już nigdy nie byłby pan w stanie domyślić się, poczciwy Merlin.

— Po co mam się domyślać, skoro zaraz mi pan to wyjaśni.

— Powoli. Wcale mi się tak znowu nie spieszy... Nareszcie przestałem się spieszyć. — Parsknął śmiechem. — Spotkanie po latach Ducka z Laleczką na nowym gruncie, w innej scenerii, musiało radować serca wszystkich członków gangu, z wyjątkiem oczywiście Slima i Brooka, którzy postawili na niską kartę, bo lubili małe, ale za to pewne wygrane. To byli zresztą zdrajcy, a zdrajca pozostaje zdrajcą niezależnie od tego, komu służy. Ci dwaj podpisali na siebie wyrok już wtedy, kiedy zgodzili się pomagać mi w zemście na Flappertym.

— Pan też zdradził swoich towarzyszy — powiedział z satysfakcją Merlin.

— Jest pan w błędzie — odrzekł z miążdżącą pogardą Micky Dubois. — Tacy ludzie jak ja nie zdradzają. Oni tylko objawiają swoją wolę i wymierzają własną sprawiedliwość. Ja wykonywałem dintojrę. Slim i Brooke chcieli załapać forszę i przedzierzgnąć się w praworzędnych obywateli. To zdrajcy.

— Dlatego ich pan potem machnął z rozpylacza?

— Brawo. Pan się wyrabia, inspektorze Merlin. Podziurawiłem ich przede wszystkim za zdradę, chociaż były i inne powody... Zaraz je wyluszczę. Kiedy odsiadka Flapperty'ego i gangsterów dobiegła wreszcie końca, zacząłem puszczać w obieg dolary z notowanej serii. Jako agent od spraw walutowych bez trudu ujawniłem te banknoty i zrobiłem około zdarzenia szum na łamach międzynarodowej kryminalnej prasy. To było moje pierwsze hasło: "Flapperty, jestem w Nicei". Potem rzuciłem na rynek następny portfel notowanych dolarów. Jak się pan domyśla, posłużyłem się Candym, miałem przecież tego tchórza w garści. Kazałem mu wyniuchać jakąś dziewczuszkę zdolną do występów w nocnym lokalu i opłacić całą aferę tymi właśnie dolarami. Candy nawiązał w podróży znajomość z niejakim Sergiuszem Woschynskym, rosyjskim emigrantem, będącym czymś w rodzaju impresaria. Ten za dolarki ujawnił w paryskim tinglu Joannę Bartin, nawiasem mówiąc krowę nie aktorkę, babsko na schwał. Grenadier otrzymał miano "Colibri" i rozpoczął występy u Priveta. To było moje drugie hasło: "Flapperty, w "Cacadou" śpiewa Colibri. Domyślasz się, kto w tym lokalu na ciebie czeka?" Candy opłacił trefną walutą Woschynsky'ego, a Woschynsky Priveta. W ten sposób i Woschynsky'ego, i Priveta miałem w ręku. Piosenkę o pewnym chłopcu, którego pragnąłem odnaleźć, napisałem sam, szanowny inspektorze Merlin. I te talenty posiadam. Piosenka była trzecim hasłem.

— Po co tyle zachodu?

Micky Dubois zaśmiał się. Był to głośny, gwałtowny wybuch, dziwnie Merlinowi znajomy. Inspektor przez chwilę szukał w pamięci, niecierpliwie taksował, nagle uspokoił się. To był śmiech Terence'a.

— Śmieje się pan równie głupio jak pański kolega, Toby Terence — powiedział.

— Świetny dowcip — zaniósł się dziką radością Mickey. — Coś wspaniałego. Mogę pana zapewnić, że to jest mój śmiech. Oni wszyscy naśladowali i naśladują albo Flapperty'ego, albo mnie. Żaden nie ma i nawet nie wolno mu mieć własnego oblicza. W gangu Ducka Flapperty'ego były tylko dwie osobowości, i to o jedną za dużo. Pan chce wiedzieć, dlaczego zadałem sobie tak dużo trudu przy wyreżyserowaniu pojedynku z Duckiem? Chętnie odpowiem. Jestem w moim zawodzie artystą i nie interesują mnie ślamazarne przestępstwa bez polotu. Lubię się bawić, panie Merlin. Od lat największą moją

namiętnością jest ryzykowna zabawa. Przyzwyczailem się kpić z policji całego świata, używając jej dla własnych celów. Imponować, trzymać za mordę i wodzić za nos — to mój żywioł. Płynący na "Prince de France" chłopcy gotowali się na rozróbę godną Laleczki, nie mogłem zawieść ich zaufania. Nie mogłem też odmówić sobie frajdy poigrania z pańską osobą. Owszem, w miarę możliwości trzymałem w cuglach fantazję i napinałem czujność, bo miałem przeciwnika godnego siebie. Nie pana, Merlin, nie — lecz Ducka Flapperty'ego. Od tego spotkania zależała moja przyszłość. Pana traktowałem jako smutnego urzędnika. Gdyby pan wiedział, ile radości przeżywałem przychodząc do pańskiego gabinetu z coraz to nową porcją domysłów i koncepcji, które pan traktował z wyszukaną delikatnością starszego, bardziej doświadczonego kolegi. Bzdury, które plotłem, budziły w panu głęboki namysł, prawda — bo przyzna pan, że i prawdę wspomniałomyślnie przed panem odkrywałem — otóż prawda nie mieściła się w pańskiej urzędniczej głowie. Klepał mnie pan dobrotliwie po ramieniu, wreszcie doprowadziłem do tego, że zaczął pan melancholijnie myśleć o życiu na prowincji. — Micky uniósł spięte kajdankami dłonie i przetarł oczy; zwiłgotniały mu od śmiechu. Ściszył głos. — Kiedy Flapperty odsiedział wyrok, skusiłem Pierriego raz jeszcze do zdrady. Zażądałem, by dla odmiany zdradził mnie. Muszę przyznać, że tym razem bronił się wszystkimi siłami, nie szczędząc argumentów solidnego francuskiego obywatela. Ale obiecany milion franków przeważał. U solidnych obywateli zawsze przeważają franki. — Nie zawsze — powiedział Merlin.

— Mam na ten temat własne zdanie. W rezultacie napisał list do miasta Springfield w Illinois z zawiadomieniem o miejscu pobytu Laleczki.

— Po co?

— Asekuracja na wypadek, gdyby Flapperty przeoczył notatki o kursujących w Nicei dolarach lub gdyby nie dotarły do niego odnośne publikacje prasowe sprzed czterech lat. Drugim zadaniem Pierriego było sterczeć w porcie i wypatrywać przyjazdu gangsterów. Zależało mi na czasie, to jest ściśle mówiąc nie tyle na czasie, co na pierwszeństwie inicjatywy. Flapperty znalazłby zapewne sto sposobów powiadomienia mnie o swojej obecności w Nicei, ale wówczas rozgrywka miałaby charakter wykonywania sądu na Laleczce. Proszę nie zapominać, że to Laleczka, właśnie Laleczka kontynuował swój porachunek. Trzeba było udowodnić w całej rozciągłości, kim jestem.

— To się panu udało — powiedział Merlin.

— Spodziewam się. Nawet pan nie przypuszcza, jak dalece. Mówiliśmy o Pierrim; zrobił on wszystko, co do niego należało. Kolegów zza morza powitałem w Nicei prawidłowo wykonanym wyrokiem na zdrajcy. Prefektura podała szczegóły sensacyjnego mordu do publicznej wiadomości. Wtedy zadzwoniłem do Candy'ego i wzburzony oświadczyłem mu, że musi się mieć na baczności, bo Flapperty rozpoczął tyk aktem działalność w Nicei. Zabroniłem Candy'emu wychodzić z domu i obiecałem, że wieczorem odwiedzę go w celu naradzenia się nad dalszym postępowaniem. Również nadmieniałem mu, że śledztwo w sprawie Pierriego prowadzi pan, inspektorze Merlin. Następnie czekałem stojąc w moim pokoju służbowym przy oknie, skąd jak wiadomo, mam pełny widok na wszystkich wchodzących do urzędu i opuszczających jego mury. Wiedziałem na przykład, że pan przed paru minutami wyjechał... Ani Slim, ani Brooke nie mieli pojęcia,

że prefektura jest terenem mojej pracy. Żaden z nich nigdy nie słyszał nazwiska Carpeau, a jeśli nawet Candy słyszał je kiedyś od Woschynsky'ego, to z pewnością w najśmielszych nawet przypuszczeniach nie kojarzył tego dźwięku z osobą Laleczki. Stałem więc w oknie i czekałem. Znam się na ludziach, inspektorze Merlin. Candy był zawsze mądrzejszy od Pierriego i zdawał sobie sprawę z siły mego charakteru: nie uwierzył, że Pierriego zabił Flapperty. W piętnaście minut po otrzymaniu ode mnie telefonu, z którego dowiedział się, kto prowadzi śledztwo — przybiegł na policję. A zatem trzeba było działać bardzo szybko. Psuło mi to trochę ładnie zaplanowaną zabawę, w której Slim rozpoczynał cykl, a Brooke miał go kończyć. Brooka załatwiłem jeszcze tego samego dnia. Trudno, mała poprawka reżyserska, konieczna, chociaż nie pozbawiona minusów, bo jak wiemy sensacyjne morderstwo numer dwa z rozpylacza policja zachowała w tajemnicy.

— Obydwie ofiary pozbawił pan życia w mieszkaniu jednym strzałem oddanym z bliska — powiedział Merlin. — Później stanął pan na parapecie zamkniętego okna i serią z automatu podziurawił pan zwłoki, odpowiednio ułożone w fotelach. Następnie otworzył pan okno i precyzyjnie usunął ślady.

— Naturalnie.

— W jakim celu próbował pan narzucić mi wersję jakoby Candy i Pierri najpierw zostali zabici z zewnątrz, a następnie morderca, dostawszy się do wnętrza mieszkania, oddał do nich jeszcze po jednym strzale?

— W jakim celu? — Micky skrzywił się ironicznie. — Im hipoteza mniej prawdopodobna, tym bardziej ponętna, nie uważa pan? Miałem do czynienia z tak zwanym ambitnym policjantem.

Inspektor roześmiał się prawie bezgłośnie.

— Przypominam, że przed tym ambitnym policjantem siedzi pan skuty i zdemaskowany.

— Niech się pan nie przechwala. Przechwałki cechują ludzi słabych. To, że zdążyliście mnie zatrzymać, nie znaczy wcale, że ktokolwiek ze mną wygrał.

— Pan jest, widzę, filozofem.

— Zbyt długo wodziłem pana za nos, żeby się pan teraz mądrzył.

— No cóż, w pewnym sensie ma pan rację. Wracam więc do tonu powściągliwego. Może zechce mi pan wyjaśnić, w jaki sposób w upalny dzień, kiedy nikt nie nosi wierzchniego okrycia, przeniósł pan automatyczny pistolet?

— Pod sztywną nylonową halką.

— Co takiego?

— Mówię wyraźnie: pod halką.

— Takie buty. A więc i tym razem jako kobieta?

— Zawsze ich odwiedzałem w przebraniu kobiecym. Wizyta kobiety u samotnego mężczyzny nie budzi we Francji szczególnego zainteresowania, a już na pewno nie kojarzy się z dużym kalibrem broni. No nie? Slim i Brooke już w Ameryce byli przyzwyczajeni do moich kobiecych kreacji. Tutaj ilekroć zapowiadałem odwiedziny, tyle razy przygotowywali małe, eleganckie przyjęcie jak dla autentycznej panienki; moje metamorfozy były w gruncie rzeczy bardzo po ich myśli. Piekielnie się przecież bali, żeby nie wyszły kiedyś na jaw te ich kontakty z gangsterem Laleczką. Któregoś dnia

przyszedłem do Pierriego bez zapowiedzi i zastałem w mieszkaniu dziewczynę. Speszył się niebywale, sądziłem w pierwszej chwili, że może lęka się sceny zazdrości, bo dziewczuszka zmierzyła mnie bardzo niechętnym okiem. Ale skądże. Ten bałwan z miejsca zaczął się do mnie migdalić, byle tylko nie powstała co do mojej płci jakaś wątpliwość. Bali się obydwaj straszliwie. I dlatego też, inspektorze Merlin, nonsensem byłoby sądzić, iż w mieszkaniu Candy'ego znalazłem tekst piosenki, śpiewanej przez Colibri. Candy był pośrednikiem między mną, Woschynskym i Privetem, ale Candy starannie niszczył wszystkie dowody obciążające. Również zaproszenie do "Cacadou" na nowy program, spoczywające w marynarce zabitego, znalazło się tam za moją sprawą. Kupiec i komiwojażer w stosunku do Laleczki przedsięwzięli daleko idącą ostrożność, to Laleczka po ich śmierci odważnie wskrzesił prawdę. Czy wie pan, dlaczego wsunąłem do kieszeni Candy'ego kartę reklamującą występ Colibri?

— Wiem — rzekł Merlin. — Dlatego, żeby policja szybko uchwyciła związek między mordowaniem z rozpylacza i wbijaniem pod łopatkę noża.

— Ale dlaczego mi na tym zależało?

— Zależało panu na tym z tej prostej przyczyny, że skojarzenie zabitych po gangstersku dwóch obywateli Nicei z zasztyletowanym Amerykaninem łączyło się z brzydkimi dolarami rodem z Illinois. A te ostatnie dawały panu szansę uczestniczenia w śledztwie.

— Zupełnie nieźle — pochwalił inspektora Laleczka. — Tylko pomija pan, i to zdaje się świadomie, jeszcze jeden ważny motyw. Zostawiłem u Candy'ego reklamę występów Colibri, żeby zapewnić sobie i dawnym kolegom obecność na sali policji...

— Może ja się przechwalam — powiedział Merlin. — Natomiast pan się zgrywa.

— Ja? Świetny dowcip — zarechotał Micky Dubois. — Coś wspaniałego. Dobry, stary Merlin, nigdy nie zdołasz pojąć duszy gangstera.

— Przy sposobności dowiaduję się, że ma pan duszę.

— Ciągle dowiaduje się pan ode mnie czegoś, o czym nie miał pan pojęcia.

— No tak, doskonale. A zatem chciałbym się dowiedzieć, jakie były dalsze perypetie Laleczki.

Zabił Joego Browna.

— Właśnie. A przecież chodziło o inne życie. Przecież chodziło o życie Flapperty'ego?

— Pan się musi skupić, panie Merlin. Z Flappertym mieliśmy się zmierzyć jak równy z równym. Owszem, w sytuacji być może skomplikowanej, niejasnej, naszpikowanej gangsterskimi fortelami, w sytuacji trudnej, groteskowej lub dramatycznej, uzależnionej od czyjejś pomysłowości albo przypadku. O wygranej w takich spotkaniach decyduje szybki refleks, polot, dobra reżyseria, czasem natchnienie, czasem strategia, czasem psychologia. Przeważnie wszystko razem. Joe Brown był pętakiem. Niecały rok przed napadem na Bank Miejskiej Komunikacji wstąpił do gangu i jako nowy nie brał udziału w imprezie. Do 59 roku pozostał czysty, w żadnej kartotece nazwisko jego nie figurowało; dlatego zabrali go ze sobą do Nicei. Taki facet był im bardzo potrzebny. Mógł w razie czego uchodzić za niewinnego turystę, w razie czego za szefa gangu pod przybranym nazwiskiem, wszystko zależnie od okoliczności. Kiedy Pierri natychmiast po wylądowaniu bandy doniósł mi o obecności Joego Browna, poznałem w tym przedsięwzięciu inteligencję Ducka. Wiedziałem, że jeżeli, powiedzmy, machnę Browna, policja połknie

haczyk. W tej kwestii do ostatniej chwili byłem z Flappertym solidarny...

— I dlatego Joe Brown został zabity?

— Między innymi dlatego. Wcale jednak nie przesądzałem faktów, zbyt lubię improwizację. Lubię ją z tych powodów, z których pan jej nienawidzi. Improwizacja przeczy społecznemu porządkowi. Odwiedzałem "Cacadou" przez cztery wieczory z rzędu. Wiedziałem, że prędzej czy później gangsterzy nadejdą. Przed tym zauważyłem na bulwarze niejaką lady Wintermoor, kobietę mojego wzrostu, o fioletowych włosach. Prasa nicejska doniosła, że lady jest osobą wysoko urodzoną i znaną z ekscentryczności. Ucharakteryzowałem się na nobliwą damę o fioletowej fryzurze, odwiedzając samotnie podejrzane lokale. Skokietowanie na dancingu Leclota nie przedstawiało szczególnej trudności. W czasie tańca napomknąłem coś o moim mężu lordzie i traktowałem pijacznę z angielskim chłodem, godnym najbłękitniejszej krwi. Leclot jest stałym bywalcem "Cacadou", pozostaje w zażyłych stosunkach z personelem, nie wyłączając Priveta; już pierwszego dnia nie wytrzymał i pochwalił się sukcesem. Zaczęto mnie traktować z wyszukaną grzecznością i na zasadzie milczącej umowy rezerwowano stolik. Zabawę miałem znakomitą. Nie lubię działać prymitywnie. Wszystkie odtwarzane w życiu role uwierzytelniałem solidnymi studiami i oszczędnym aktorstwem. Ja się nigdy nie zgrywam, Merlin! Nigdy. Grubo się pan pomylił. Jestem mistrzem w dyskretnym, lecz bezbłędnym imitowaniu ludzkich typów i pod tym względem cieszyłem się w gangu Flapperty'ego zasłużoną sławą. Nikt nie próbował ze mną w tej dziedzinie konkurować. Pierwszy spróbował Flapperty i skończył się. Wracam do przerwanej wątku. Siedziałem w "Cacadou" czekając na gangsterów. To, że pojawili się tego samego dnia co i pan, to oczywiście zwykły zbieg okoliczności albo moje szczęście, które na ogół zawsze mi sprzyjało. Przyszedł Cabs, Terence i Brown. Zabiłem Browna, bo Brown tańczył i wskutek tego był najdostępniejszy.

— A gdyby tańczył Cabs? — zapytał porywczo inspektor.

— To zabiłbym Cabsa.

— Gdyby zaś na parkiecie znalazł się Terence, to oczywiście Terence zostałby zasztyletowany. Rozumiem. Nie jest pan małostkowy, Dubois.

— Nie, Terence nie zabiłbym.

— O? To ciekawe. Można wiedzieć dlaczego?

— Chwilowo nie można. Zresztą ani Cabs, ani Terence nie ulegli pokusie tańczenia. To był pomysł godny szczeniaka, który nigdy jeszcze nie wpadł i słabo znał Laleczkę.

— A gdyby jednak żaden z gangsterów nie wyszedł na parkiet?

— Zadanie byłoby nieco trudniejsze, ale z tym się liczyłem od początku. Na ten cel przygotowałem numer z wygaszeniem światła i powszechną koncentracją uwagi na jednym, oświetlonym punkcie. Stworzyłem warunki, w których można podejść do stolika, wbić facetowi w plecy nóż, wsunąć do kieszeni kwit bagażowy, a następnie wrócić na swoje miejsce.

— Kto wówczas padłby ofiarą?

— Merlin, zaspokaja pan niemądrą ciekawość. Dla pana powinno mieć znaczenie to, co się stało, a nie to, co stać się mogło.

— Pańska osoba bardzo mnie interesuje.

Micky Dubois wybuchnął śmiechem.

— Cabs siedział blisko, Brown po drugiej stronie parkietu, obok pana. Myślę, że zabiłbym Browna.

— Tak pana podnieca towarzystwo policjanta?

— Dobrze pan to ujął.

— Szczególny przypadek zboczenia.

Micky zaprzeczył ruchem głowy:

— Raczej hobby — poprawił inspektora.

— Hobby godne Amerykanina — Merlin dał wyraz swym ogólniejszym uczuciom.

Micky nie przestawał zaśmiewać się.

— Nie każdy Amerykanin jest Laleczką. Przecenia pan ten naród. Poza tym płynie we mnie krew francuska.

— Ma pan braki w wykształceniu. Charakter i mentalność kształtują się w zależności od środowiska.

— Pańskie teorie odnoszą się do ludzi przeciętnych. Ja jestem wybitny. Mam własny stosunek do świata, gwizdzę na prawa i całą wymyśloną moralność. Rozumie pan? Nie mieszczę się w tej skorupie. Urodziłem się na coś lepszego.

— Prawdopodobnie na wodza? — domyślił się wesoło Merlin.

Micky spojrzał na inspektora z nienawiścią.

— Tak — powiedział.

— Cóż teraz będzie? — zakpił Merlin.

— Pan, jako pacholek praworządności, ma chwilę uciechy. Ale takich jak ja jest więcej, Merlin. Na szczęście jest więcej. Zamęczy się pan na śmierć, a nic pan na to nie poradzi.

— Staaliśmy, zdaje się na śmierci Joego Browna? — przypomniał łagodnie inspektor.

— Tak, zabiłem Joego Browna, żeby przejąć inicjatywę we własne ręce. Żeby pokazać Flapperty'emu, z kim ma do czynienia. Żeby on i jego ludzie dobrze uświadomili sobie klasę gangstera Laleczki. Przez cztery lata mogli ulec na ten temat złudzeniu. Zabiłem Joego Browna, a potem wsunąłem mu do kieszeni kwit bagażowy. Za okazaniem tego kwitu odebrał pan w przechowalni dworcowej paczkę po konserwach "Meatcomplex", w paczce znajdował się pistolet automatyczny. Stworzyłem poszlakę przeciw grupie Flapperty'ego i za jednym zamachem pchnąłem śledztwo na fałszywe tory. Śmierć Joego Browna łącznie z kompromitującym świstkiem, znalezionym w kieszeni zamordowanego, zmusiły Ducka do konspiracji. Znając moją przeszłość i warunki, w jakich zginął Brown, domyślił się, że działałem w przebraniu kobiecym. Wyprowadził się z "Tarasconu" jako Stevenson i po paru godzinach wrócił do tego samego pokoju jako Patrycja Higgins, brzydka, stara Angielka z pieskiem. Ten groteskowy pomysł był w istocie pociągnięciem genialnym. Różnych chwytów mogłem się po Ducku spodziewać, ale nie tego, bo ten był moim chwytem. Flapperty, chłop duży, kościsty, o końskiej twarzy i wielkich łapach, z wszelką pewnością nigdy nikomu nie kojarzył się z kobietą. Wynika stąd, że uroda podstarzałych angielskich pań przekracza granice prawdopodobieństwa. Szarpiący się na smyczy pekińczyk w wysadzonej zielonymi kamieniami obroży odwracał uwagę od osoby, dodając jej zarazem autentyczności. W czasie spacerów po parku Lympia piesek pozwalał na czujne rozglądanie się dokoła. Sama uporczywość przechadzek, zupełnie

naturalna u starej dziwaczki, dawała Flapperty'emu możliwość obserwowania wejścia do hotelu. Po zabójstwie Browna Cabs i Terence na rozkaz szefa zgłaszają się w prefekturze; mieszkali w sąsiedztwie Browna, uciekli z "Cacadou": lepiej uprzedzić interwencję policji. Zyskują anioła stróża, co daje im ochronę przed Laleczką, ale jednocześnie odbiera możliwość stanowienia ochrony Flapperty'ego. Duck musi radzić sobie sam, co też znakomicie czyni pod postacią panny Higgins. Równocześnie mieszka obok towarzyszy i nocami może z nimi się porozumiewać. Dla zainteresowanych Flapperty jest być może nieznanym Stevensonem, który wyprowadził się ze zbyt nasłonecznionego pokoju pod niewiadomy adres, być może ukrywa się po prostu pod jowialną powłoką niejakiego Thomsona, który w dodatku ma przy boku sekretarza Kraufa, kto wie, czy też nie gangstera. O ile tajemniczy Stevenson mógł wprowadzić w błąd nawet inteligentnego człowieka, o tyle Thomson pomyślany był wyłącznie dla policji. Dobry dowcip, co?

— Przepraszam, że przerywam — powiedział grzecznie Merlin. — Dlaczego zapakował pan pistolet w skrzynkę z etykietą "Meatcomplex"? I jak pan tę skrzynkę uzyskał?

— To też dobry dowcip — zarechotał Micky Dubois. — Z tą skrzynką udało mi się. — Naraz przycichł, jakaś myśl wyraźnie odebrała mu chęć do śmiechu. Oceniając globalnie sytuację, chyba rzeczywiście nie było powodu do radości. Powiedział spokojnie: — Nazwiska Cabsa, Terence'a i Browna odszukałem telefonicznie w hotelu "Tarascon". Na tyłach "Tarasconu" jest piękny ogród. Część tego ogrodu, oddzielona żywopłotem od terenu reprezentacyjnego, tworzy śmietnisko. Zgodnie z żelazną zasadą hotelowych porządków w dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe gości w śmietniku muszą znajdować się odpadki wyniesione z ich pokoi: pisma, opakowania, zużyte bilety czy coś w tym rodzaju. Chodziło mi o zdobycie przedmiotu, który znaleziony w paczce obok automatycznego pistoletu, potwierdzałby związek broni z Amerykanami. W roli żebraczki grzebiącej w śmietnikach jestem tak samo przekonujący, jak w roli angielskiej arystokratki. Ku mojej radości wśród rupieci znalazłem firmową skrzynkę fabryki konserw w stanie Illinois. Przy okazji tym samym nożem, od którego zginął później Joe Brown, wyciąłem część żywopłotu, przygotowując sobie na wszelki wypadek przejście do ogrodu. W jakiś czas potem z tego przejścia skorzystałem.

Przerwał opowiadanie i zamyślił się.

— Kiedy z racji moich funkcji wysłał mnie pan do kasyna w Monte Carlo — podjął Micky nowy temat — by zasięgnąć informacji o Brownie, rozmawiałem z Blockiem prawie wyłącznie o Woschynskim. Ten człowiek był mi potrzebny. Dużo o nim wiedziałem jako Micky Dubois, ale prawie nic jako Alain Carpeau. Alain Carpeau musiał zdobyć władzę nad Woschynskim. Wróciwszy do Nicei zatelefonowałem do pana i poprosiłem nieśmiało o zezwolenie na przesłuchanie rosyjskiego emigranta po linii głównego śledztwa.

Uszanował pan ambicje młodszego kolegi i po paru minutach gwarzyłem już z Woschynskim w kawiarni "Stylowej". Nietrudno wydobyć z człowieka to wszystko, o czym doskonale się wie. Woschynsky tego dnia oddał mi się w ręce. Żeby tego jegomościa jeszcze mocniej sobie podporządkować, obiecałem pewien liberalizm w odniesieniu do kradzionych dolarów. Wszedłem przebojem w samo centrum dochodzenia w sprawie trzech sensacyjnych zbrodni. Zdaje się, że już nadmieniałem, ile

radosnych przeżyć dostarczyły mi konferencje w tym zacisznym gabinecie?

— Owszem, nadmienil pan — przyznał inspektor. — Co do mnie, to wstrzymam się z opisem stanu wewnętrznego, jaki towarzyszy mi w tej chwili.

Micky puścił uwagę Merlina mimo uszu.

— Mój udział w śledztwie miał jeszcze jedną podniecającą stronę: groził spotkaniem oko w oko z głównymi świadkami. Kiedy miałem przeprowadzić rewizję w pokojach Cabsa i Terence'a, poprosilem o wezwanie podejrzanych Amerykanów na oznaczoną godzinę do prefektury. Prośba przeszła gładko. Doprawdy, we wszystkim szedł mi pan na rękę. Rewizja dała plon niespodziewany: znalazłem trzy puszki konserw "Meatcomplex". To był żart w stylu Flapperty'ego. Podjął moją ideę ze skrzynką i spokojnie ją kontynuował, proponując francuskiej policji efektowne roszyfrowanie szefa gangu w osobie Thomsona. Na schodach spotkałem pannę Higgins i jej idiotycznego pieska. W tym momencie Flapperty zdobył jeden punkt: nie poznałem go, natomiast on zrozumiał w lot, że jestem funkcjonariuszem policji. Miałem się o tym przekonać bardzo szybko. Tego dnia około dwunastej otrzymał pan telefon, który, o ile sobie przypominam, brzmiał następująco: "Dzisiejszej nocy w lokalu "Cacadou" gangster Laleczka stawi czoło bandzie z Illinois. Porachunek zostanie doprowadzony do końca. Jeżeli policja francuska chce się rozerwać, może w tej zabawie wziąć udział. Cały ogień na Laleczkę! A kto zwycięży — zobaczymy". Komunikat miał charakter dwuznaczny. Dla pana mógł być dziełem Laleczki, dla mnie był wyzwaniem, nadanym przez Flapperty'ego. Duck do tej pory nie wiedział, gdzie się ukrywam, teraz oto zostałem wyraźnie zdemaskowany: informował mnie o swoim przedsięwzięciu dzwoniąc do prefektury policji! Tak, domyśliłem się błyskawicznie — to spotkanie miało miejsce na półpiętrze w hotelu "Tarascon". On, amerykański gangster, w rudej peruce i damskiej spódnicy, ręczę, że zirytowany przede wszystkim z powodu za ciasnych butów, i ja, sławny Laleczka — legalny agent policji. Musiał się nieźle ubawić. Tego dnia, w nawale niejasnych obrazów i pogmatwanych myśli, odstąpił mi pan swój prymat. Przyjąłem, jednak zmusiłem pana do obecności na dancingu i do wspólnej jazdy samochodem; w ten sposób zyskałem obstawę. Gangsterzy sądzili, że nie wybrnę w podwójnej roli Laleczki i policjanta, ale ja wybrnąłem. W kuluarach "Cacadou" szybko rozegrałem partię z Privetem i wezwanym tam przeze mnie Woschynskym. Łapówka za występ Colibri, dolary, w dodatku dolary kiedyś zrabowane — to wystarczyło. Objąłem we władanie kabinę mechanika. — Na gładkiej twarzy Dubois zaigrał krzywy uśmieшек. — Niejaka panna Ninon Rouy podpadła mi wskutek ufarbowanych na fioletowo włosów. To było dobre, samo wlaźło w garść. No, i rozegrała się wojna nerwów. Istniałem na sali wszechwładnie poprzez symboliczną kobietę o liliowych włosach, poprzez wygaszone światła i piosenkę o chłopcu, którego szukam. Byłem i nie było mnie. Biedny Thomson, zgwałcony przez Cabsa i Terence'a do przyścia na nocną zabawę, grał, nie wiedząc o tym, Flapperty'ego, naiwna panna Rouy przedzierzgnęła się w Laleczkę. A kiedy w dodatku pchnąłem na parkiet Woschynsky'ego, wszystko musiało się panu pomylić, drogi Merlin. Flappertym mogła być Colibri, a Laleczką sierżant Gobin... No, nie?

Merlin nie czuł się zobowiązany do odpowiedzi. Micky Dubois mówił dalej:

— Ja w każdym razie nadal byłem pańskim młodszym kolegą, ambitnym i uzdolnionym.

Teraz Merlin zabrał głos:

— Świetnie rozumiem, że w tej sytuacji odczuwa pan potrzebę zaznaczenia swych przewag nade mną. Kompensacja przegranej, zjawisko głęboko psychologiczne. Jednak przez wzgląd na późną godzinę, streszczaj się chłopcze.

— Mówię z własnej, nieprzymuszonej woli i powiem tyle, ile mi się będzie podobało — odparł Micky. — Ani słowa mniej, ani słowa więcej. Powtórzę moją historię staremu Renaud i jeszcze raz usłyszysz ją grono sędziów. To nie są zeznania, Merlin, to jest kawałek życiorysu sławnego gangstera Laleczki.

— Pana imię odżyje w pieśni ludowej — roześmiał się Merlin.

— Z pewnością dłużej przetrwa niż pańskie.

— To zupełnie możliwe — śmiał się ciągle inspektor. — Taki to już los urzędników.

— Zwłaszcza prowincjonalnych.

— Niezdolnych i zdolnych — przystał Merlin. — A te urywki prasowe, wyciągnięte z archiwum, które zaprezentował mi pan rano, były odpowiednio spreparowane?

— Pewnie. Bądź co bądź lepsze mam dane o gangu Flapperty'ego niż wszyscy dziennikarze razem wzięci, z policją na dodatek. W moich ostatnich relacjach trzymałem się prawdy. Powiedziałem, że Flapperty wielokrotnie używał rozpylacza, powiedziałem, że istniała prawdziwa Colibri i że rozrachunek między Duckiem i Laleczką odbędzie się w cztery oczy. Dałem też panu lojalnie do zrozumienia, że gang Flapperty'ego posługuje się policją dla własnych celów, nie zapominając przy tym o znanej maksymie, że śmiech to zdrowie... Mecz Dubois_Merlin rozegrałem w rezultacie zupełnie fair. Na tym mi też zależało.

— No, no. Znadto się obstawalo przy tym, że Thomson jest Flappertym.

— Nie, miałem panu może powiedzieć, że Higgins jest Flappertym, a Alain Carpeau Laleczką?

— Chwała Bogu, obeszło się bez tej informacji.

Micky Dubois gwałtownie zmienił na krzesle pozycję. Merlin dorzucił:

— I bez wielu innych informacji. — Zaczął wyliczać: — Dzięki kombinacji z Thomsonem zyskał pan na czasie. Chciał pan uratować dla siebie dzisiejszy dzień, wieczorem zabić Flapperty'ego i dać nogę.

— Jest pan bardzo domyślny.

— Wczoraj pod eskortą sierżanta Marly nabył pan dwa bilety samolotowe: dla siebie i dla Woschynsky'ego.

— Jakby pan przy tym był.

— Woschynsky'ego zmusił pan do wyjazdu, żeby ewentualnie zyskać jeszcze jeden dzień: Woschynsky znika z Nicei, jakież to podejrzone, Alain Carpeau udaje się za nim w pogoń... Śle z drogi do inspektora Merlin telegram, żeby go nieco uspokoić, i dalejże w świat! Jeżeli się myślę, proszę mnie bezwarunkowo poprawić.

— Powinien pan wróżyć z kart.

— Wezmę to pod uwagę. Swoją drogą marnego partnera pan sobie wybrał. Już na dworcu załamał się i wyśpiewał, kto go zmusił do tej podróży.

— Ech, co to ma za znaczenie?... Nie przyjechał pan po Woschynsky'ego.

— Racja. Przyjechałem po pana. Przyznam się, że do tej pory nie wiem, gdzie pan

zamierzał nawiąć? Bilecik wykupiony do Hawru niewiele mówi.

— Aha. Trafiliśmy na niejasny punkt. Już raz powiedziałem, że są sprawy, o których policjanci słabe mają wyobrażenie. Zamierzałem, mój Merlin, wyjechać do Ameryki, do stanu Illinois, do miasta Sprigfield.

— Po co? — zdziwił się szczerze inspektor.

Laleczka ryknął śmiechem. Jego obelżywa wesołość działała Merlinowi na nerwy.

— Może pan nie odpowiadać, Dubois, to i tak nie jest sprawdzalne.

— Jest sprawdzalne. Od momentu, w którym zabiłem Flapperty'ego, stałem się szefem gangu. Ta gra szła o wysoką stawkę. Cały gang rozumiał, że tej stawki jestem godzien. I Cabs rozumiał, i Terence. Jest sprawdzalne, może pan zapytać tych młodych ludzi.

— Szef gangu... Proszę! — drwiący ton inspektora nie pokrył zaskoczenia.

— Gangsterzy, indagowani przez policję, w zamordowanym rozpoznali Laleczkę — kontynuował z niesłychaną pychą Micky Dubois. — Od dawna wiedzieli, że Flapperty przegra, ja będę ich szefem. W decydującej chwili pragnęli ułatwić mi ucieczkę.

— Król umarł, niech żyje król — powiedział ironicznie Merlin. — Poddani niedługo cieszyli się panowaniem nowego władcy.

Micky wycedził przez zęby:

— Został Terence. To bardzo zdolny chłopiec. Dzięki czujnej opiece policji jego zachowanie we Francji było nieskazitelne. Wróci do Ameryki i przejmie w swoje ręce władzę. Ten chłopiec wie, czego chce. Oto przyczyna, dla której postanowiłem oszczędzić Terence'a.

— Terence jest niedorozwinięty.

— Niech pan się nie martwi, do tego celu, któremu ma służyć, jest rozwinięty aż nadto.

-Zapewne. — Inspektor jakby posmutniał. — Pan się na tych sprawach lepiej zna niż ja...

— spojrzął na zegarek. — Zbliża się północ. Dobijamy więc do kresu — powiedział i nagle westchnął. — Zmęczyłem się, Dubois.

— Ja też — wyznał gangster.

— A przecież nie powiedzieliśmy jeszcze wszystkiego.

— Tak, nie powiedzieliśmy — rzekł posepnie Micky.

— Jedźmy więc dalej. Manewr z Ninon Rouy jest dla mnie jasny. Pokazał ją pan wczoraj w "Cacadou" kolegom tak, jak się rzuca na tacę bilet wizytowy. Następny wieczór w hotelu "Tarascon" musiał być wieczorem rozstrzygającym. Wszystkie karty zostały pokazane. Gangsterzy wzmogli czujność; mieli dwa zadania: ochrona szefa i pamięć o własnym alibi. Akcja rozpoczyna się. Obecność w "Tarasconie" panny Rouy zapowiada aż nadto sugestywnie pojawienie się Laleczki. Jej chęć nawiązania kontaktu z Patrycją Higgins daje do myślenia. Jeżeli na terenie "Tarasconu" zaczną działać dwie podobne, jednakowo ubrane damy o fioletowych włosach, niełatwo będzie opanować sytuację. Owszem, ta maskarada ma dobrą stronę i dla Laleczki, i dla gangu, bo niewątpliwie przerasta trochę wyobraźnię policji, ale jednocześnie kryje zapowiedź jakiegoś niebezpiecznego fortelu. A więc fortel przeciw fortelowi: ubiec Laleczkę. W tym celu najlepiej będzie szybko uwięzić pracownicę prefektury w pokoju Flapperty'ego, wtedy "ta druga" w osamotnieniu nic nie zdoła. Cabs nie odstępuje panny Rouy: on ją wprowadzi do pokoju Angielki. To jasne, że Flapperty otworzy drzwi tylko na umówiony sygnał.

Laleczka ma jednak głowę na karku. Czuję liścik, wysłany w imieniu Ninon do sentymentalnego Thomsona, sprawi, że niezbyt młoda i żadna miłości kobieta zniknie na jakiś czas za drzwiami solidnego starszego pana. Wtedy... Cóż wtedy? Domyślam się, że panna Rouy weszła, a pan, przeobrażony w nią, wyszedł. Prawdopodobnie sąsiednimi drzwiami, bo zamożny Amerykanin zajmuje trzypokojowy apartament. Ale jakże pan się tam dostał i jak to możliwe, że Cabs nie spostrzegł różnicy; w końcu nie byliście z Ninon identyczni?

— Ja panu tę scenę odegram — powiedział Micky Dubois. — Ale proszę mi zdjąć na chwilę kajdanki.

— Nie, mój drogi, ten numer nie przejdzie — odrzekł Merlin. Obydwaj roześmieli się. Były Alain Carpeau wstał z krzesła i ku zdumieniu inspektora zaczął mówić głosem panny Rouy:

— Proszę... pana... to okropne, straszne... ja nie rozumiem... w tamtym pokoju jest kobieta, taka sama jak ja... Boże, ona stoi z rewolwerem w ręku. Ona go zabije... Na pewno już go zabiła!...

Odegrawszy tę scenę, Micky z powrotem usiadł naprzeciw Merlina i powiedział zwykłym głosem:

— Cabs kompletnie zbaraniał. Nie było czasu na refleksje, każda sekunda mogła zdecydować o powodzeniu lub klęsce. Szybko zapukał do drzwi Patrycji Higgins umówionym szyfrem i ona mu otworzyła... — Po chwili dodał lekkim, bagatelizującym tonem: — Pytał pan, w jaki sposób znalazłem się u Thomsona? Cóż to za trudność? Zwyczajnie nacisnąłem klamkę i wszedłem. Gdyby drzwi były przypadkiem zamknięte na klucz, nie sądzi pan chyba, że stanowiłoby to dla mnie zasadniczą przeszkodę. Thomson zajmuje trzy pokoje. Mężczyźni starszej daty oczekują kobiet w salonie. Nie to, co ja i pan. Thomson, uprzedzony moim listem, czekał na pannę Rouy; sypialnia była pusta. Naprawdę, nie ryzykowałem.

— Po wykonaniu zaplanowanego dzieła uszedł pan przez ogród. Dziura w żywopłocie, śmietniki, korytarz przy kuchni restauracyjnej, tylne wyjście — wyliczał Merlin. — W porządku. Potem przeistoczony w mężczyznę czekał pan niewinnie na telefon biednej Ninon, żeby upewnić się co do przebiegu zdarzeń.

— Tak. Wyjątkowa kretyńka.

— Ale odważna.

— Każda jest odważna, kiedy ma na widoku spodnie. Najpierw chciała zaimponować panu, potem wpadł jej w oko Thomson.

— I ona jemu. Pobierają się.

— Szczęść Boże — powiedział z obrzydzeniem Micky.

— To byłoby już wszystko. — Merlin po każdym słowie robił małą pauzę. Patrzył uważnie w twarz Laleczki. — Chociaż nie... mam jeszcze jedną wątpliwość...

Micky Dubois nagle spuścił oczy.

— Mam jeszcze jedną wątpliwość — ciągnął inspektor. — Carpeau! — podniósł głos, używając po raz ostatni nazwiska, które przestało istnieć. — Czy pan wie, dlaczego pan wpadł? Czy pan to wie?

Gangster Laleczka uniósł głowę. Powiedział szorstko, bez porywczosci:

— Nie wiem.

W ciszy, która potem zaległa, słychać było syreny statków, dalekie i przejmujące.

— A chce pan wiedzieć?

— Tak.

— Cały ogień na Laleczkę — wyskandował Merlin. — To zdanie pana zgubiło.

Micky drgnął.

— Nie wiem, czy w Springfield ten slogan już istniał. Bardzo możliwe, że gangsterzy ukuli go wtedy właśnie, gdy w przebraniu kobiecym Micky Dubios kokietował mężczyzn. Cały ogień na ponętą Laleczkę. A może zrodził się wówczas, gdy policja pierwszy raz poszukiwała młodego bandyty. Albo powstał znacznie później, w Nicei. Micky po latach przygotowywał rozgrywkę z gangiem, nie szczędząc oryginalnych pomysłów dla sławy swego imienia. Być może zdanie "cały ogień na Laleczkę" stworzył, dyktując Cezaremu Pierri denuncjatorski list? Nie wiem, i myślę, że to nieważne. W każdym razie usłyszałem to hasło z pana ust, mój drogi, w pierwszej rozmowie dotyczącej śledztwa. Zaślepiła pana pycha. Wczoraj powtórzył je przez telefon tajemniczy głos, zapowiadający walną rozprawę w "Cacadou". To był alarmowy dzwonek. Moje francuskie ucho, łase na dowcipne sformułowania, przekazało ten okrzyk pamięci; pamięć zaczęła szukać — skojarzenie nie przyszło od razu. Dopiero dzisiaj wieczór... Przy zwłokach zamordowanego mężczyzny Toby Terence wypowiedział raz jeszcze znamieny tekst: "Cały ogień na Laleczkę!" Wtedy doznałem olśnienia. Dopiero wtedy. Widocznie taki jest porządek rzeczy, że w decydujących momentach człowiek sprawniej myśli. Jeżeli "cały ogień na Laleczkę", pomyślałem, trzeba się spieszyć...

KONIEC